www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 17-18 (1007-1008)
23.04-5.05.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

NUMER NA MAJÓWKĘ

Okrągły Stół – wielka gra Jaruzelskiego

Gwardziści szwajcarscy podrywani przez kardynałów

Moje, twoje, nasze – rodziny patchworkowe

Kibole to grupy przestępcze

BALLADA O NOWEJ HUCIE

70 lat miasta bez biednych i bogatych

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

CHODŹ Z NAMI BUDOWAĆ

NOWĄ HUTĘ

eprasa.pl 213724a6c4

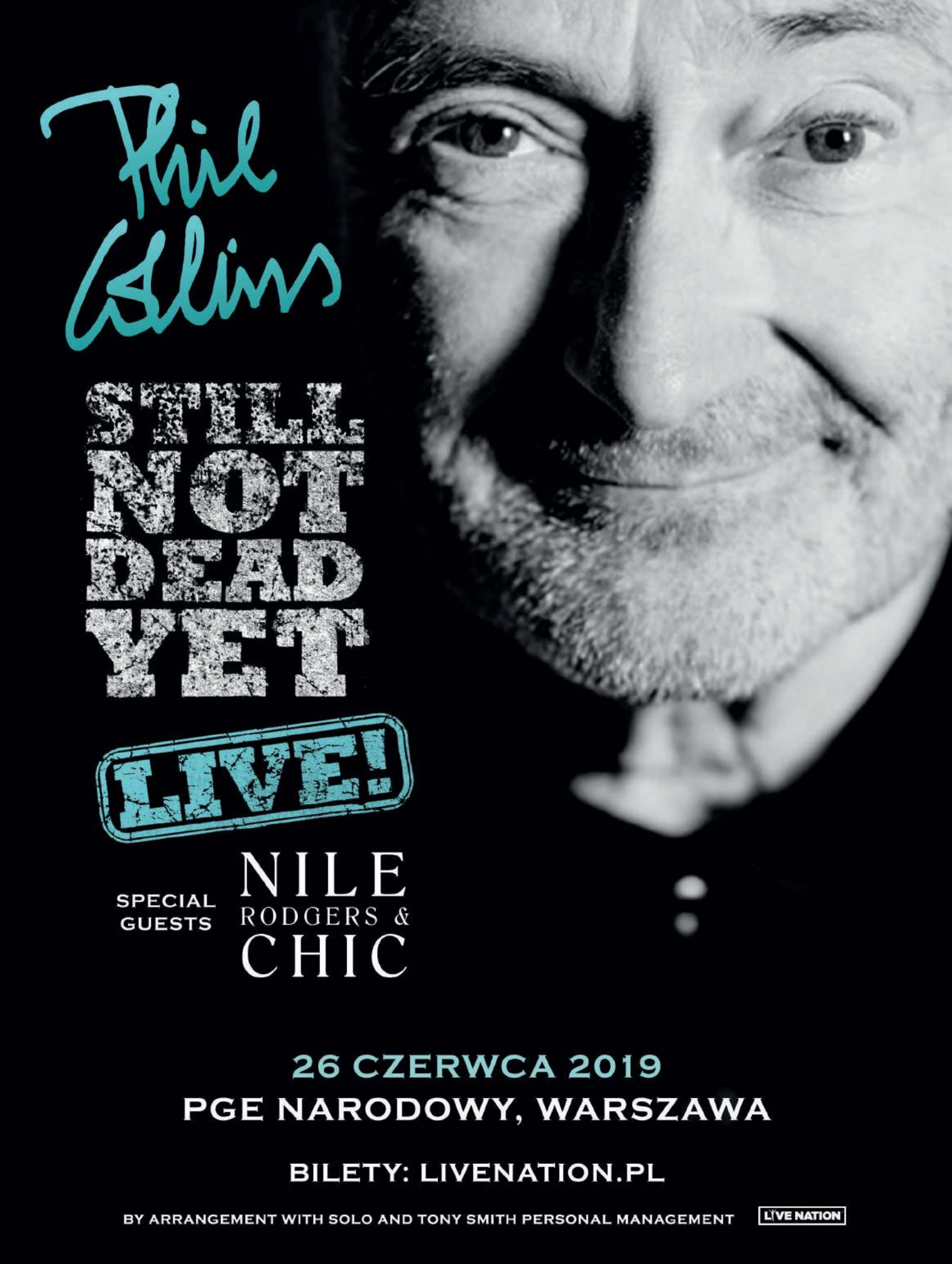
Phil Collins
STILL NOT DEAD YET
LIVE!
SPECIAL GUESTS
NILE RODGERS & CHIC
26 CZERWCA 2019
PGE NARODOWY, WARSZAWA
BILETY: LIVENATION.PL
BY ARRANGEMENT WITH SOLO AND TONY SMITH PERSONAL MANAGEMENT
LIVE NATION

CYTATY

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
filozof, Uniwersytet Wrocławski
Politycy kłamią w żywe oczy, a my nie jesteśmy w stanie pociągnąć ich do odpowiedzialności.
„Odra"

PROF. ANDRZEJ FRISZKE,
historyk, PAN
Propagandyści lepią mity. A naród nie sprawdza, żyje historycznymi bajkami i obsesjami.
„Polityka"

IWONA HARTWICH,
liderka protestów niepełnosprawnych w Sejmie
Polityka wobec osób niepełnosprawnych to jest przemoc ekonomiczna i już nawet nie w białych rękawiczkach.
„Wysokie Obcasy"

BORYS SZYC,
aktor
Zostałem aktorem, bo chciałem być w centrum uwagi.
„Pani"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Grill zamiast flag

Długa majówka nie ostudzi nastrojów. Bo nie o emocje już chodzi. Napięcia społeczne dotyczą zbyt wielu obszarów i tylu grup społecznych, że nie mogą ich załagodzić gratyfikacje rozdawane według politycznego klucza. Bonusy wybierane nie według zasad sprawiedliwości społecznej czy jako część głębszego planu modernizacyjnego państwa. U Kaczyńskiego nie ma nawet śladu takiego myślenia.

Decyzje o tym, komu, ile i kiedy dać, zapadają w bardzo wąskim gronie polityków PiS. A ich podstawą są szczegółowe badania prowadzone pod kątem maksymalnych korzyści, jakie może z nich mieć nie państwo, ale partia rządząca. Wszystkie decyzje są tak bardzo podporządkowane wynikowi wyborczemu, że w gruncie rzeczy sprowadzają się do obowiązującej dziś zasady: po nas choćby potop. Do jesiennych wyborów czeka nas więc jeszcze wiele niespodzianek. Jeśli pół roku przed wyborami PiS ubrało się w szaty tak hojnego Mikołaja, to jesienią będzie musiało te prezenty zdublować. Jesteśmy zatem w środku niezwykłego eksperymentu. Realni, ale też potencjalni wyborcy „dobrej zmiany" są już i ciągle będą tak dopieszczani, by bronili władzy Kaczyńskiego skuteczniej niż kiedyś robotnicy socjalizmu.

Czy ta operacja wyborcza – dajemy, komu chcemy – może się udać? Przy obecnym paraliżu dialogu w Polsce i dyskryminowaniu wielu grup pracowniczych, czyli większości, jest to mało prawdopodobne. Rozwiązania stosowane przez PiS, choć miłe dla tych, którzy coś dostają, niewiele mają wspólnego z systemowym rozwiązywaniem problemów. Są na bakier z logiką. I jako niespójne bardziej szkodzą, niż coś załatwiają. Mogą się udać tylko jako operacja przeprowadzona błyskawicznie i obliczona na krótki czas. Czy na pół roku można zahipnotyzować i sparaliżować większość społeczeństwa? I tak wygrać wybory, by znowu samodzielnie rządzić? Wątpię. Choć przy tak marnej organizacji opozycji i to jest możliwe.

Strajk nauczycieli pokazuje, co partia mająca od prawie czterech lat pełną władzę może zrobić z dialogiem społecznym. Nie ma co się dziwić, że 1 i 3 maja stały się datami wyłącznie urzędowymi, bez głębszych treści. Niezakotwiczone w świadomości młodszych Polaków obumierają. Nie tyle formalnie, ile emocjonalnie. Jeśli już Polacy biorą udział w takich obchodach, to bardziej jako gapie niż aktywni uczestnicy.

Coś o nas mówi i to, że wywieszanie w tych dniach flag ciągle przerasta Polaków. Amerykanie i wiele narodów europejskich traktują święta narodowe jako okazję do manifestacji patriotyzmu. A my? Jako okazję do grilla.

DRODZY CZYTELNICY, DZIĘKUJEMY, ŻE JESTEŚCIE Z NAMI

FAUL

Katecheci na straży

Są zwarci. Jednokolorowi. I zawsze gotowi wesprzeć minister Zalewską w wojnie ze strajkującymi nauczycielami. Ta „awangarda" postępu i tym razem nie zawiodła rządu. Widok księży i zakonnic pilnujących uczniów w czasie egzaminów nie był zaskoczeniem. Rząd łoży przecież na 31 tys. katechetów, którzy uczą religii w polskich szkołach. W tym na prawie 10 tys. księży i ponad 3 tys. zakonnic i zakonników. Czarnym siostrom i braciom zawsze było blisko do pilnowania owieczek. Niestety, często to przed nimi trzeba chronić nasze dzieci.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 213724a6c4

W NUMERZE

KRAJ

8 **Okrągły Stół – wielka gra Jaruzelskiego**
Droga do porozumienia

20 **Twoje, moje, nasze**
– rozmowa z dr Małgorzatą Kałaską

24 **Tu się warzy więcej**
Pucki browar z misją

52 **Kibole**
– rozmowa z mł. asp. Dawidem Zielińskim

HISTORIA

14 **Ballada o Nowej Hucie**
Życie wyprzedziło pomysły polityków

KOŚCIÓŁ

28 **Szwajcarscy gwardziści podrywani przez kardynałów**
Sodoma w Watykanie

ZAGRANICA

32 **Demokracja przez internet**
Platformy dla obywateli

34 **Jedz i płać, ile chcesz**
Korespondencja z Wiednia

38 **Hemingway kpi sobie z embarga**
Archiwum noblisty w Hawanie

58 **Okoń (k)ością niezgody**
Najmniejsza wojna w Afryce

KULTURA

40 **Kilka żmij się znajdzie**
– rozmowa z Kasią Adamik

44 **Chłopski mopanek w kapitalizmie**
Narodowe czytanie według prezydenta

46 **Qulturalia**

66 **Natura w sztuce**

MEDIA

48 **„Wielka Gra" bez powrotu**
Pogromcy teleturniejów

ZDROWIE

56 **Trzustka szyta na miarę**
– rozmowa z dr. hab. Michałem Wszołą

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Grill zamiast flag

19 **Jan Widacki**
Ein Volk! – czyli szczerość senatora Biereckiego

27 **Roman Kurkiewicz**
Dymy ze skarbca prawicowej kloaki

37 **Tomasz Jastrun**
Światło i mrok

43 **Ludwik Stomma**
Przyczynek do onomastyki polskiej

51 **Edward Mikołajczyk**
Oikodespota i polskie recepty

24
KRAJ

TU SIĘ WARZY WIĘCEJ
Pucki browar z misją

28
KOŚCIÓŁ

SZWAJCARSCY GWARDZIŚCI PODRYWANI PRZEZ KARDYNAŁÓW
Sodoma w Watykanie

40
KULTURA

KILKA ŻMIJ SIĘ ZNAJDZIE
– rozmowa z Kasią Adamik

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. POLISH ART CORNER

eprasa.pl 213724a6c4

Następny numer PRZEGLĄDU ukaże się w poniedziałek, 6 maja

GEN. BERLING eliminowany z historii

IRENA PIŁATOWSKA i tytani reportażu radiowego

PAŁAC SASKI, czyli każda władza chce mieć swój pałac

Z pistoletem strajkowym u skroni

Już 10 lat jestem na emeryturze. Mimo marnych zarobków uwielbiałam uczyć. Ale teraz za nic nie wróciłabym do szkoły. Papiery, sprawozdania, ewaluacje, roszczeniowi rodzice, którzy potrafią wysłać do nauczyciela mejl o godz. 22.15, a już o 7.30 następnego dnia wysłać kolejny z pretensjami, że ten leń nauczyciel jeszcze nie odpowiedział. Koleżanki są tak zawalone papierkową robotą, że z trudem znajdują czas na szukanie nowych pomysłów na zajęcia. To nie jest szkoła, w której nauczyciel może być twórczy, może organizować pracę w grupach (zajmuje więcej czasu, ale jest dużo ciekawsza i kształci umiejętności społeczne), przygotowywać ciekawe konspekty zajęć. Obecne wymagania rozbijają również zespoły nauczycielskie, bo trwa wyścig w produkowaniu papierów na potrzeby awansu. Dlatego oprócz walki o pieniądze walczcie też, nauczyciele, o odbiurokratyzowanie szkoły.

Z PISTOLETEM STRAJKOWYM U SKRONI

Marta55

Mam mieszane uczucia co do formy i terminu protestu nauczycieli, ale ci, którzy proponują pedagogom, żeby zmienili zawód, poszli pracować w kasie marketu, powinni się zastanowić, kto wtedy będzie uczył ich dzieci. Zapewniam – porządne przeprowadzenie 45-minutowej lekcji to wysiłek odpowiadający półtorej godziny pracy biurowej. Dzieci i rodzice traktują nauczycieli jak sprzedawców w sklepie, którzy mają podać towar i nie zadawać pytań, nie mówiąc o wymaganiu czegokolwiek. Ciekawe, czy płacąc ciężkie pieniądze za korepetycje, ci sami rodzice oczekują, że korepetytor włoży wiedzę do głowy ich dziecku bez żadnego wysiłku z jego strony? Jeśli na to liczą, to wyrzucają pieniądze w błoto. A potem wychowane w ten sposób pociechy wejdą w dorosłe życie i też będą oczekiwać, że wszystko będą miały podsunięte pod nos. Tylko ciekawe, kto to będzie to robił? Skończy się na bezwzględnej walce o swoje, bez umiejętności współpracy i kompromisu. A to stuprocentowo pewny przepis na klęskę – nas wszystkich.

Radosław

ZDJĘCIE TYGODNIA

Anas al-Sarrari jest sparaliżowany po torturach buntowników Huti. Dziennikarze Associated Press Maggie Michael, Nariman el-Mofty i Maad al-Zikry zdobyli jedną z tegorocznych Nagród Pulitzera za dokumentowanie okrucieństw jemeńskiej wojny domowej.

FOT. NARIMAN EL-MOFTY/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

Andrzej Kurz, wydawca (20 lat kierował Wydawnictwem Literackim), współzałożyciel i wieloletni prezes Stowarzyszenia Kuźnica, polityk, publicysta i – jak o sobie mówi – krakowski socjalista, **obchodził 70-lecie aktywności publicystycznej i publicznej. Gratulujemy i podziwiamy.** *Ad multos annos*, Jubilacie.

Unia Europejska wprowadziła nowe obowiązkowe wyposażenie samochodów. Od 2020 r. standardem mają być: **czarna skrzynka** zapisująca ostatnie sekundy przed wypadkiem, **pokładowa blokada alkoholowa i system automatycznego hamowania.**

Ewa Dałkowska i Edyta Jungowska otrzymały od Polskiej Sekcji AICT nagrodę im. Stefana Treugutta za osiągnięcia w teatrze telewizyjnym w sztuce Iriny Waśkowskiej „Lekcje miłości" w reżyserii Rafała Sabary.

Dorota Buchwald, była szefowa Instytutu Teatralnego, **otrzymała Kamyk Puzyny,** nagrodę teatralną „za łączenie twórczej działalności z zaangażowaniem w życie publiczne". Niewygodna dla rządu PiS została zastąpiona przez Elżbietę Wrotnowską-Gmyz, żonę Cezarego Gmyza, autora tekstów o trotylu na samolocie, który rozbił się pod Smoleńskiem.

Wiemy już, kto zapłaci za piątkę Kaczyńskiego. Będą to oszczędzający w OFE, samozatrudnieni, palacze, konsumenci alkoholu, przedsiębiorcy korzystający z limitu składek na ZUS. Jeszcze raz potwierdza się, że nie ma darmowych obiadów.

15% opłaty chce pobrać rząd Morawieckiego od członków OFE za przekazanie ich pieniędzy na IKE.

Ostrzeżenie przed majowym weekendem. W 2018 r. na polskich drogach zginęło 286 rowerzystów, 238 motocyklistów i 75 motorowerzystów. Uwagi i ostrożności nigdy za dużo.

Franciszkanin o. Kryspin Zenon Bernat w czasie mszy w kościele w Złotoryi **naubliżał nauczycielom, nazywając ich swołoczą, którą należy przepędzić, bo „w głowach im się poprzewracało".**

Krzysztof Kaliszewski, prezes warszawskiej Skry, której obiekty są w stanie agonalnym, **nie chce, mimo braku tytułu prawnego, wydać nieruchomości.** Może weźmie pod uwagę ostry list Tomasza Majewskiego, kulomiota, prezesa mazowieckiego PZLA.

W marcu spadła oglądalność stacji telewizyjnych mierzona rok do roku. W TVP 1 z 10,80% do 9,95%. W Polsacie z 10,80% do 10,60%, a w TVN z 9,95% do 9,73%.

PRZEBŁYSKI

„Przegląd" wyprzedził „Wprost"

Choć w lutym wszystkie tygodniki zanotowały spadki sprzedaży, mamy dla naszych Czytelników dobrą wiadomość. Jak informuje portal Press, z danych Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, którego jesteśmy członkiem, wynika, że w lutym najlepiej sprzedawał się tygodnik „Angora" (229 117 egz.), który wyprzedził „Gościa Niedzielnego" (109 179 egz.), „Politykę" (92 953 egz.), „Newsweeka" (78 723 egz.), „Sieci" (40 343 egz.), „Do Rzeczy" (31 486 egz.), „Tygodnik Powszechny" (27 438 egz.), „Gazetę Polską" (23 125 egz.) i „Przegląd" (15 571 egz.). „Wprost" sprzedał w lutym 14 172 egz. Dziękujemy Czytelnikom! I liczymy na marsz w górę.

Dzieci, których nie widzi Mikołaj Pawlak

Zamiast dostać pieniądze, nauczyciele będą mogli usiąść za stołem. Okrągłym. Garstka nauczycieli wysłucha przy nim okrągłych słów o budżecie, który nie jest z gumy. I jak się nauczyciele liczebnie skurczą, to pozostali dostaną trochę więcej kasy. Z akcentem na trochę. I w ratach! Przez parę lat. Zaryzykujemy, że uczestnikiem obrad będzie Mikołaj Pawlak, rzecznik praw dziecka. Ultrareligijny prymus wszelkich uroczystości kościelnych. Trochę niestety niedowidzi. Ciągle mu się nie udaje dostrzec dzieci – ofiar księży pedofilów. Może duch okrągłego stołu go oświeci? Ale za bardzo byśmy tego wariantu nie obstawiali.

Zaremba – wymarzony laudator

Autor „Flaczków tygodnia", poczytnej rubryki w dzienniku „Trybuna", przejechał się po Piotrze Zarembie. Najpierw nazwał go kwiatem prawicowej, propisowskiej publicystyki. Ale zaraz przypomniał, że został „miss dziennikarskiej wazeliny". A to za wyjątkowo lizusowską laudację wygłoszoną dwa lata temu w imieniu tygodnika „Sieci" na cześć Jarosława Kaczyńskiego, któremu redakcja wręczyła nagrodę jako „Człowiekowi Wolności". Laudacja Zaremby przebiła nawet podobne laurki z lat 50. Jednak co talent to talent. No i internet, który niczego nie gubi.

Królikowski jedzie po bandzie

„Włączam Jedynkę i jedziemy", tak reklamuje Program I Polskiego Radia uchachany Paweł Królikowski. Po szerokości uśmiechu widać, że gaża za tę propagandę musiała być spora. Na tyle duża, że przytłumiła Królikowskiemu słuch. Bo dokąd jedzie Królikowski? Czy wybrał się w tę drogę razem z pisowską ekipą dokopującą nauczycielom, sędziom, opozycji i niepełnosprawnym? A to i tak niepełna lista grup wpisanych przez PiS na czarną listę. Królikowski zapewnia, że „Jedynka to jest radio". Pewno jest. Dla szczególnych smakoszy. Choć z pewnością niewielu tam artystów, którym Królikowski przewodzi jako prezes ZASP.

FOT. YOUTUBE, FLIPERSITE.WORDPRESS.COM

eprasa.pl 213724a6c4

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie żądania pracownicze warto przypomnieć 1 maja?

JAN GUZ,
przewodniczący OPZZ

Najważniejszą sprawą są oczywiście godziwe wynagrodzenia, będące podstawą godnego życia. Musimy pod tym względem wreszcie dogonić rodzinę europejską. Za taką samą pracę Polakom należą się płace równe zachodnim. Od 30 lat kolejni premierzy mówią o tym, że wynagrodzenia polskich pracowników sięgną poziomu europejskiego, ale nie możemy już dłużej czekać. Warto podkreślić, że do wzrostu wynagrodzeń można dążyć różnymi drogami, np. zmieniając koszty uzyskania przychodu czy kwotę wolną od podatku. Drugą kwestią są zabezpieczenia i świadczenia społeczne wynikające z dokumentów europejskich – Europejskiego filaru praw socjalnych, Europejskiej karty społecznej i Karty praw podstawowych Unii Europejskiej – a także z konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy. Nadal problemem jest duża liczba wypadków przy pracy. Konieczne jest zwiększenie roli Państwowej Inspekcji Pracy, która nie powinna być wykorzystywana do działań politycznych, ale ma służyć wyłacznie do obrony praw pracowniczych.

WALDEMAR WITKOWSKI,
przewodniczący Unii Pracy

Kluczowym postulatem jest podwyższenie płacy minimalnej oraz wprowadzenie zasady: w całej Europie taka sama płaca za taką samą pracę. Drugą ważną kwestią jest skrócenie czasu pracy. Ponad sto lat temu pierwszy premier RP, socjalista Ignacy Daszyński, wprowadził ośmiogodzinny dzień pracy. Najwyższa pora skrócić go do siedmiu godzin. Nie możemy być niewolnikami pracy. Musimy mieć więcej czasu dla siebie i naszych rodzin; więcej żyć, a nie tylko pracować.

ADRIAN ZANDBERG,
lider partii Razem

Płaca, która wystarcza na życie, i krótszy czas pracy. Żyjemy na najbogatszym kontynencie świata i skandalem jest, że dziesiątki milionów Europejczyków – w tym bardzo wielu Polaków – dostają marne pensje, za które nie sposób się utrzymać. Czas skończyć ze śmieciowym zatrudnieniem i bezpłatnymi nadgodzinami. Lewica Razem chce zasypać nierówności, które dzielą Europę na bogaty Zachód oraz biedne Wschód i Południe. Popieramy stopniowe wyrównanie płac poprzez wprowadzenie mechanizmu europejskiej płacy minimalnej. Chcemy również, żeby UE zajęła się warunkami, w jakich pracujemy. Nowe technologie zmieniają gospodarkę. Pracujemy intensywniej i wydajniej, powinniśmy więc pracować krócej. Wspólny program europejskiej lewicy to 35-godzinny tydzień pracy w całej Europie.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ZYGMUNT BIAŁKA

Ceń i szanuj pracownika swego jak siebie samego.

ALEKSANDRA KOMOROWSKA

Emerytura i moment przejścia na nią zależne od liczby przepracowanych lat.

PIOTREK URBAŃSKI

A jakich nie warto?

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 213724a6c4

Okrągły Stół – wielka gra Jaruzelskiego

Generał wiedział, że wszystko będzie musiał wziąć na siebie

Robert Walenciak

Gdy patrzymy dziś na Okrągły Stół, wielkie, przełomowe wydarzenie, to tak, jakbyśmy widzieli wierzchołek góry lodowej. Pamiętamy pierwszy dzień, kiedy gen. Kiszczak witał się z przybyłymi, pamiętamy migawki z obrad, może i dzień ostatni, wraz z przedłużającą się przerwą. Niektórzy dodają do tego Magdalenkę… I na tym koniec. Tymczasem historia Okrągłego Stołu, sam proces dochodzenia do niego, to temat na polityczny thriller.

Przełom nastąpił latem 1988 r. W lipcu z wizytą przyjechał do Polski Michaił Gorbaczow.

Czas mrozu

W polityce, żeby dana sprawa mogła zaistnieć, muszą być odpowiednie okoliczności. Europa Środkowa, przynajmniej do marca 1985 r., czyli do śmierci Konstantina Czernienki i przejęcia władzy na Kremlu przez Michaiła Gorbaczowa, była w epoce mrozu. Obowiązywały twarde zasady socjalistycznej jedności, przystemplowane doktryną Breżniewa.

Została ona przyjęta w roku 1968, po interwencji w Czechosłowacji, i głosiła, że w krajach Układu Warszawskiego obowiązuje ograniczenie suwerenności państw członkowskich na rzecz interesów wspólnoty socjalistycznej (w praktyce ZSRR). Pisała o tym „Prawda", mówił Andriej Gromyko, wieloletni szef radzieckiej dyplomacji. Mówił też o tym na V Zjeździe PZPR, w listopadzie 1968 r., Leonid Breżniew: „Wspólnota socjalistyczna jako całość ma prawo do interwencji na terytorium każdego państwa członkowskiego bloku socjalistycznego w sytuacji, gdy wewnętrzne lub zewnętrzne siły, wrogie wobec socjalizmu, usiłują zakłócić rozwój tego kraju i przywrócić ustrój kapitalistyczny". Te słowa organizowały życie polityczne w państwach regionu.

Gorbaczow: Każdy ma prawo do takiego państwa, jakie uważa za koniecznie. My, jako Związek Radziecki, nie będziemy interweniować.

Aż do momentu, kiedy przyszedł Gorbaczow. Opowiadał mi o tym Józef Czyrek, który chyba jako pierwszy z Biura Politycznego PZPR poznał Gorbaczowa. Było to w Portugalii, w roku 1984, podczas zjazdu tamtejszej partii komunistycznej. Gorbaczow był przewodniczącym delegacji KPZR. – Spotkaliśmy się wieczorem, w nieformalnej atmosferze, zaskoczył mnie, że jest tak otwarty i tak krytyczny wobec sytuacji wewnętrznej w ZSRR – wspominał Czyrek. – Mówił otwarcie, że gospodarka stoi, że to długo nie pociągnie. Po powrocie opowiedziałem o nim generałowi. Pomyślał trochę i powiedział: „To zaproś go do Warszawy". Zacząłem więc zapraszać. Ale zanim procedury ruszyły, umarł Czernienko.

Pierestrojka

Gorbaczow nie pojawił się znikąd, w gronie przywódców ZSRR był liderem grupy, która uważała, że imperium musi się odnowić, że trzeba dokonać zmian. Odnowić, czyli zamknąć te sprawy, które są balastem, i otworzyć się na świat. Nowe myślenie zakładało rezygnację z wyścigu zbrojeń, wycofanie się z Afganistanu i z Europy Środkowej, wraz ze zgodą na zjednoczenie Niemiec. Ekipa Gorbaczowa traktowała te działania nie jako porażkę radzieckiej polityki, tylko jako przystosowanie się do nowej rzeczywistości.

Wyścig zbrojeń? Po co wydawać na kolejne rakiety, skoro już te, którymi Moskwa dysponuje, wystarczą do kilkukrotnego zniszczenia Ziemi? Wojciech Jaruzelski mówił mi, jak wspomagał Michaiła Gorbaczowa

eprasa.pl 213724a6c4

radą w jego dyskusjach z radzieckimi marszałkami (było to już później, gdy się zaprzyjaźnili). Gorbaczow pytał go jako wojskowego o siłę arsenałów. – Odpowiadałem mu, że to wystarczy na kilka wojen. A wojskowym to zawsze mało.

Zwrotem była decyzja o wycofaniu się z Europy Środkowej i zgoda na zjednoczenie Niemiec. Zamysł był prosty – Gorbaczow widział, że ze strony Europy nic ZSRR nie zagraża, a w razie czego Moskwa ma wystarczającą liczbę rakiet, by czuć się bezpiecznie. Europa Środkowa? Jedynie ciąży. Utrzymanie wojska, pomoc dla tamtejszych władz – to wszystko kosztuje, a pożytku z tego niewiele. Zjednoczenie Niemiec? Otworzyłoby możliwości rozwoju wielkiej rosyjsko-niemieckiej współpracy. Bo jedni mają technologie, a drudzy surowce. Te plany nie do końca się powiodły, choć ich odpryskiem jest m.in. Nord Stream 2, ale istnieje w obu społeczeństwach silny mit niemiecko-rosyjskiej współpracy i wielkich korzyści z niej wynikających.

Takie były zamiary Gorbaczowa, trzeba jeszcze było je przeprowadzić. A to wymagało, zwłaszcza jeśli chodzi o zjednoczenie Niemiec, współpracy z Amerykanami. Należało również złamać opór rosyjskich marszałków, którzy nie rozumieli, dlaczego wojsko miałoby ewakuować się na wschód. O ich mentalności znakomicie opowiadał Wojciech Jaruzelski na spotkaniu w hotelu Hyatt z okazji swoich 90. urodzin: – Miałem bardzo ciekawą rozmowę z ówczesnym ministrem obrony Związku Radzieckiego, marsz. Dmitrijem Ustinowem. Powiedział ciekawą rzecz: „My mamy trzy fronty. Dzisiaj jest front polski, jest front afgański, który właściwie jest dla nas jak pryszcz na nosie, my to załatwiamy zupełnie marginalnie, i zarysowuje się coraz bardziej front chiński". A to był taki czas, kiedy wiceprezydent Bush złożył wizytę w Chinach, padły tam wzajemne deklaracje dostaw uzbrojenia itd. I Ustinow mówił: „Jaki front w pierwszej kolejności trzeba zlikwidować? Który najbardziej zagraża? Wasz! To jest racja bytu Układu Warszawskiego! Bez Polski nie ma Układu Warszawskiego, nie ma NRD. Kluczowe rzeczy!". Doskonale to rozumiałem. Nie dlatego, że oni byli tacy źli, drapieżni, chcieli do tej Polski wkraczać. Ale to była nieubłagana logika tamtego czasu, myśmy musieli ją rozumieć.

Oko na Wschód

Opowiadał mi Józef Czyrek, jak już w czasie pierestrojki spotkał się z jednym z zaprzyjaźnionych skandynawskich dyplomatów. Rozmowa była dla niego szokująca. – To pan nic nie wie? – dziwił się jego rozmówca. – Przecież wszystko jest już dogadane między Moskwą a Waszyngtonem, jest zgoda na zjednoczenie Niemiec. Amerykanom to odpowiada, bo liczą, że Niemcy stracą 15-20 lat na odbudowę wschodniej części, więc ich światowa ekspansja przyhamuje. A Rosjanie liczą na pomoc w odbudowie gospodarki.

Czyrek o tej rozmowie natychmiast poinformował Jaruzelskiego. W odpowiedzi usłyszał: „Musimy się temu przyglądać".

Jaruzelski doskonale zdawał sobie sprawę, że przemiany w ZSRR zmieniają również jego pole manewru. A wiedział, że go potrzebuje, choćby po to, żeby ruszyć gospodarkę. Wspierał więc Gorbaczowa, jednocześnie obserwując jego sytuację polityczną. Chciał wiedzieć, jakie Gorbaczow ma plany, czy jest w stanie je realizować, czy nie zmieni zdania. I czy jest siła, która może go obalić.

Czesław Kiszczak, pytany o tamten historyczny moment, przywoływał swoją wizytę w Moskwie. Z płyty lotniska odbierał go bezpośrednio szef KGB gen. Władimir Kriuczkow – to był rok 1988 – i już w samochodzie mu opowiadał: że Gorbaczow jest fatalny, że idzie od klęski do klęski, że tak się nie da… – Słuchałem tego i nie wiedziałem, jak się zachować – mówił Kiszczak. – Szef KGB, szef ochrony Kremla, takie rzeczy opowiada o swoim szefie! Było wiadomo, że pozycja Gorbaczowa wisi na włosku.

Innym narzędziem, którego używał Kiszczak, była grupa „Wisła". Zainstalowana w ambasadzie w Moskwie niewielka komórka oficerów polskiego kontrwywiadu, której rolą była współpraca z radzieckim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, żeby w razie jakichś spraw dotyczących pracujących lub studiujących na terenie ZSRR Polaków mieć szybki kontakt. Pod koniec lat 80. szef tej grupy miał jeszcze jedno zadanie – zbierać informacje o nastrojach kadry ministerstwa, o ich stosunku do Gorbaczowa. Okazji do rozmów, oficjalnych i nieoficjalnych, nie brakowało.

Te informacje oficer przekazywał Kiszczakowi osobiście, ustnie, podczas wizyt w Warszawie, wtedy też odbierał rozkazy. Nie wolno mu było korzystać w tych sprawach z systemu łączności ambasady. Wszystko odbywało się tylko w gabinecie ministra i „na gębę". Można więc powiedzieć, że jeśli chodzi o ZSRR i pozycję Gorbaczowa, ekipa Jaruzelskiego miała dobre rozeznanie. – Jaruzelski

Margaret Thatcher: Byłam pod wielkim wrażeniem odwagi i patriotyzmu gen. Jaruzelskiego.

Margaret Thatcher podejmowała Wojciecha Jaruzelskiego w wiejskiej rezydencji premierów Wielkiej Brytanii w Chequers.

eprasa.pl 213724a6c4

był jak kot. Zawsze tą łapą sprawdził, zanim się posunął – to częste porównanie Stanisława Cioska. A chciał się posunąć…

Decyzja

Atmosferę tamtych czasów odtwarza Andrzej Gdula, wtedy sekretarz KC PZPR, kierownik Wydziału Społeczno-Prawnego KC. – Gospodarka stała, bo sankcje i zła sytuacja gospodarcza Rosji. Nie było szans, żebyśmy mogli zrobić coś więcej. Jaruzelski szukał więc różnych rozwiązań. Tworzył Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, Radę Konsultacyjną, urząd rzecznika praw obywatelskich… Ale to nie było to. Miał poza tym przeciw sobie opór materii, czyli jakiejś części członków aparatu partii, którzy mówili: „Jest dobrze, pokonaliśmy wroga. Solidarność, Wałęsa, oni się nie liczą! Wszystko się zablokowało".

A jednocześnie Gorbaczow coraz częściej mówił: „Każdy niech szuka rozwiązań na własną rękę. Doktryny Breżniewa już nie ma". Zgoda, mówił, na ile jednak szczerze, a na ile był to propagandowy trik? A jeżeli nawet mówił z przekonaniem, to co na to inni w kierownictwie ZSRR? Czy Gorbaczow się utrzyma? Te pytania pod koniec lat 80. stawały się pytaniami podstawowymi.

– W mniejszym gronie, kiedy przygotowaliśmy się do wysłuchania „Dziennika", zapytałem Jaruzelskiego, czego najbardziej się boi – opowiada Andrzej Gdula. – A on odpowiedział tak: „Kocham Rosjan, to są dobrzy ludzie. Ale mam zupełny brak zaufania do działań imperium i władz. Przerobiliśmy Węgry, przerobiliśmy Czechosłowację. A polskiej krwi już tyle przelaliśmy w historii, że nie powinniśmy jej więcej przelewać. Nigdy bym sobie tego nie darował. Dlatego – spokojnie".

Kiedy nastąpił przełom? Wszystko wskazuje na to, że latem 1988 r. Najpierw wiosną przetoczyła się przez Polskę fala strajków. Dość łatwo przez władze stłumiona. – Po tych strajkach, które przegrali, oni już wiedzieli, że nie poderwą klasy robotniczej, nie odtworzą dawnej Solidarności – mówi Gdula. – A my? My także wiedzieliśmy, że gdyby fala się rozlała, nie mamy żadnych sił, żeby ją zdławić. Rozmawiałem z szefami wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych. Jak będzie fala, to tylko rozwiązanie polityczne – oceniali. Drugi raz już się nie da zrobić czegoś takiego jak stan wojenny.

W lipcu z sześciodniową wizytą przyjechał do Polski Michaił Gorbaczow. Witano go chlebem i solą, miał m.in. spotkanie z grupą intelektualistów i ludzi kultury bliskich Solidarności, Andrzej Rosiewicz śpiewał mu „Michaił, Michaił, ty postroisz nowyj mir".

Wizytę kończyło posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego Państw Stron Układu Warszawskiego. I tam Gorbaczow mówił wprost: „Każdy niech szuka rozwiązań na własną rękę, każdy ma prawo do takiego państwa, jakie uważa za konieczne. I deklaruję, że my, jako Związek Radziecki, nie będziemy interweniować".

– Gorbaczow już wyjechał, Jaruzelski wezwał mnie i Czyrka – wspomina Gdula. – Słuchajcie, siądźcie, pracujcie nad tym, trzeba znaleźć formułę. Jeszcze nie było pomysłu Okrągłego Stołu, szukaliśmy inaczej, padała nazwa paktu antykryzysowego, były też inne… Na innych stołach pracowali inni. Dzielna trójka: Ciosek, Pożoga i Urban, pisała, że trzeba wymienić Messnera na Rakowskiego.

Jaruzelski miał karty na stole. Miał obietnicę Gorbaczowa, że ZSRR nie będzie w Polsce interweniował. I oceniał, że w najbliższym czasie nic jego władzy nie zagraża.

Miał do wyboru trzy warianty. Mógł nic nie robić, odgrywać rolę twardego obrońcy socjalizmu jak Gustáv Husák czy Erich Honecker. Oni chcieli przeczekać Gorbaczowa. A gdy dostali z Moskwy wolną rękę, by działać, jak chcą, Honecker natychmiast zakazał sprzedaży w NRD rosyjskiego „Sputnika". Drugi wariant w jakimś sensie podpowiadał Rakowski, a zwłaszcza jego minister gospodarki Mieczysław Wilczek. Streszczało to podejście późniejsze powiedzenie Rakowskiego, że Polacy od Okrągłego Stołu wolą stół zastawiony – a więc reformy gospodarcze przy wstrzymaniu reform politycznych.

No i był trzeci wariant, który Jaruzelski, chyba bez jakiegokolwiek wahania, wybrał – Okrągły Stół, rozmowy z opozycją.

Dlaczego tak? Moi rozmówcy odpowiadali dość zgodnie. Generał był już do rozmów z opozycją dobrze nastawiony. Od roku 1987 kontaktowali się ze sobą Józef Czyrek i Andrzej Stelmachowski. Panowie regularnie się spotykali, toczyli rozmowy, które przebiegały w dobrej atmosferze. Grupa trzech – Ciosek, Pożoga, Urban – podpowiadała w opracowaniach konieczność dogadania się z opozycją. Podobne głosy docierały z MSW. – Biuro Analiz Wojciecha Garstki od połowy lat 80. sugerowało, że z opozycją trzeba się dogadać, bo nie da się jej zwalczyć – mówi Andrzej Anklewicz, wtedy pracujący w Gabinecie Ministra Spraw Wewnętrznych. Sam generał uważał, że to najlepsze rozwiązanie, chciał zamknąć etap zimnej wojny domowej.

Poza tym takie miał poglądy – najbliższa była mu wizja wspólnoty narodowej, współpracy różnych sił, pewnie wyniesiona jeszcze z czasów edukacji u księży marianów.

Jednym z mitów jest to, że poszerzając grono uczestników Okrągłego Stołu o OPZZ Alfreda Miodowicza i tzw. stronnictwa sojusznicze, generał zamierzał wzmocnić obóz rządowy. Strona rządowa w tamtym czasie była wystarczająco silna, mówiąc cynicznie, wojskiem i MSW, więc innych pomocników nie potrzebowała. Bo efektywniej dogadywała się z opozycją sama. Chodziło o wciągnięcie do wspólnoty jak najwięcej sił, żeby była ona jak najszersza i jak najmniej kwestionowana.

Z drugiej strony stąd brał się irracjonalny strach obozu władzy przed Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem – bo uważano ich za nieprzejednanych wrogów. Jaruzelski obawiał się, że ich jedynym celem będzie rujnowanie jakichkolwiek szans na umowę. Być może też obawiał się reakcji Moskwy. Niepotrzebnie.

W efekcie poza Okrągłym Stołem znalazły się tylko niewielkie grupy opozycji, np. Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego, i grupka działaczy PZPR. Tych, którzy od razu zdawali sobie sprawę, że jest to demontaż systemu i kierowniczej roli partii. – Stanisław Kociołek przestał podawać mi rękę, odwracał się plecami na mój widok – opowiada Gdula. – Mówił: „Nastąpiła zdrada państwa socjalistycznego, zamach stanu".

Dzielna trójka: Ciosek, Pożoga i Urban, pisała, że trzeba wymienić Messnera na Rakowskiego.

eprasa.pl 213724a6c4

Na X Plenum KC w styczniu 1989 r. PZPR zgodziła się na oficjalne rozmowy z opozycją. Nz. od lewej: Stanisław Ciosek, Mieczysław F. Rakowski i Wojciech Jaruzelski.

Ale na więcej nie miał sił.

MSW? Andrzej Anklewicz: – Resort był przez te 10 lat całkowicie zdyscyplinowany przez ministra. Wewnątrz resortu nie było nawet ułamka myśli, żeby coś zrobić nie tak.

PZPR? Na słynnym X Plenum KC (20-21 grudnia 1988 r., 16-18 stycznia 1989 r.) zgodziła się na rozmowy z opozycją. Oficjalne rozmowy. A to oznaczało jedno – uznanie Solidarności, jej powrót. Bo nie można z kimś rozmawiać przed kamerami, a potem wsadzać go do więzienia.

Przed Okrągłym Stołem

Opozycja, zdaje się, niezbyt szybko to pojęła. Ze wspomnień jej przedstawicieli wynika, że główną jej troską było nie dać się „wciągnąć" w firmowanie reform gospodarczych, w rządzenie.

Dynamika, którą uruchomił Okrągły Stół, zaskoczyła więc wszystkich. Co nie oznacza, że był on przedsięwzięciem spontanicznym. Przeciwnie, był drobiazgowo przygotowany. – Sytuacja dojrzała do decyzji w grudniu 1988 r. – mówi Gdula. – Przyleciał Ciosek. Jest zgoda! Ruszamy! Zaczęły się u nas rozmowy. Pamiętam jedno ze spotkań u Jaruzelskiego. Czyrek, Ciosek, przyjechał Kiszczak… I generał zaczął: „Nie ma co deliberować, jest dobry czas. Jest Gorbaczow, który dał nam wolną rękę. A my musimy znaleźć rozwiązanie, bo za nas nikt tego nie zrobi".

Jednym z elementów tego rozwiązania, bezpieczników, które Jaruzelski montował, był udział w Okrągłym Stole Kościoła. Tę sprawę przeprowadzono drogą dyplomatyczną, ambasadorem w Rzymie był Jerzy Kuberski, który skontaktował się z Janem Pawłem II. Poinformował, że będą rozmowy rząd-opozycja i że Kościół powinien w nich uczestniczyć. Papież wyznaczył bp. Tadeusza Gocłowskiego oraz księży Bronisława Dembowskiego i Alojzego Orszulika.

Potem, już podczas obrad, Orszulik wyróżniał się tym, że pilnie stenografował. – Zapytałem go pewnego razu, czy Episkopat będzie to czytał – mówi Gdula. – Obruszył się: „Żaden Episkopat, to jedzie do Rzymu!".

Gdula opisuje też, jak strona rządowa przygotowywała się do Okrągłego Stołu: – Generał mówił: „Ci, co pójdą do negocjacji, muszą być wiarygodni. Dla nas i dla opozycji. I musi być wiadomo, kto za to bierze odpowiedzialność". Siedzimy więc w gabinecie i Ciosek odzywa się do Czyrka: „Jedynym facetem, który ma umiejętność słuchania, działania, jesteś ty. Dyplomata, członek Biura... Ty to poprowadź". A Czyrek z takim pobłażaniem: „Stasiu, co ty opowiadasz... Jedyną osobą jest wiesz kto? Kiszczak! Jakby coś nie tak szło, to kto kopnie w ten stół, że się rozleci? To może być albo Wałęsa, albo resorty. Więc od nas jedyną osobą, która taki ciężar uniesie, jest Kiszczak". Na kolejne spotkanie przyjechał Kiszczak. Referuje, twardo… Że socjalizm tak, wypaczenia – nie. Że trzeba to przypomnieć. Bo inaczej w resorcie nie będzie zrozumienia. I tak mówił… Więc odezwał się generał: „Czesławie, jedyną osobą, która mogłaby unieść ciężar tej operacji, jesteś ty". Od razu się wyjaśniło! Kiszczak się wyprężył: „Jeżeli taka będzie decyzja, jestem gotów!".

Potem miały miejsce spotkania przygotowawcze, uczestniczyli w nich przedstawiciele Kościoła. Historia ruszyła z kopyta.

– Wszystkich uczestników Okrągłego Stołu w różnych wersjach sprawdzało archiwum i departament operacyjny. Zresztą tych list uczestników było kilka. Były ciągłe weryfikacje – tłumaczy Andrzej Anklewicz. – Notabene, gdyby ktoś zobaczył, jacy ludzie starali się, żeby być przy Okrągłym Stole, toby mu się oczy otworzyły! Niektórzy wręcz na kolanach błagali, żeby być. A teraz są wrogami Okrągłego Stołu.

Jaruzelski mógł nic nie robić. Mógł też przeprowadzić reformy gospodarcze bez reform politycznych. Wybrał trzeci wariant, rozmowy z opozycją.

Pałac

Generał osobiście ułożył listę uczestników obrad ze strony rządowej. Czesław Kiszczak, Janusz Reykowski, Władysław Baka, Stanisław Ciosek, Aleksander Kwaśniewski, Andrzej Gdula… Sam stał, teoretycznie, z boku. To dawało mu pole manewru. Możliwość wycofania się, zmiany składu rozmówców, swobodę wobec Kremla.

Przy tym wszystko obserwował bardzo dokładnie. I Kwaśniewski, i Ciosek, i Gdula zgodnie to potwierdzają. W jego gabinecie przedstawiciele strony rządowej ustalali taktykę działania, granice, do których można

eprasa.pl 213724a6c4

Początek obrad Okrągłego Stołu. Luty 1989 r. Nz. Czesław Kiszczak, ks. Alojzy Orszulik i Lech Wałęsa.

się posunąć. W ciągu dnia posyłał im kartki przez adiutanta. To nie był czas telefonów komórkowych… Z drugiej strony pozostawiał swoim negocjatorom dość szerokie pole do samodzielnego działania. Tak przecież było, gdy Aleksander Kwaśniewski wymyślał formułę Senatu.

Czy były trudne chwile w negocjacjach? Tak. A jednym z najważniejszych pytań było, kto zostanie prezydentem. – Na którymś posiedzeniu w Pałacu Namiestnikowskim Adam Michnik mnie zagadał: „Ja powiem panu, jak czekista czekiście, Jaruzelski nie może być prezydentem" – wspomina Andrzej Gdula. – A ja na to: „To panu odpowiem, jak czekista czekiście – jak nie Jaruzelski, to w ogóle nie skończymy tego stołu. Jaruzelski dla nas jest kamieniem węgielnym, na którym to się opiera. On jest gwarantem i dla nas, i dla sojuszników, że to wszystko pójdzie we właściwym kierunku". Kłóciłem się z Michnikiem i podszedł do nas Kuroń: „Weź Olka, weź Michnika i przyjeżdżajcie do mnie do domu, ja tam będę z Geremkiem, przegadamy". Pojechaliśmy. Geremek mówił: „Musicie zrozumieć, że my nie możemy generała poprzeć, natomiast rozumiemy tę sytuację, że tego wymaga racja stanu. Ale przecież będziecie mieli większość w Sejmie. Zrobicie to jedną ręką". I jak wyszło w tym Sejmie, to już jest inna opowieść. Myśmy przy Okrągłym Stole nie wiedzieli, dokąd idziemy. To jest prawda. Wiedzieliśmy, że musimy znaleźć porozumienie. Szczęśliwie, że w tym czasie cztery osoby zdarzyły się w polityce. Papież, który wiedział, w którym kierunku to idzie. Wałęsa, który to rozumiał. A jak nie szło, to abp Gocłowski brał go na bok, spacerowali, on tłumaczył, że idzie o ważniejsze sprawy, że nie trzeba upierać się w sprawach drugorzędnych. Generał, który wiedział, że będzie musiał wziąć to na siebie. Że będzie w naszym środowisku oskarżany, że źle wszystko przeprowadził. Ale – jak mówił – najważniejsze, żeby Kreml w to się nie wdał i żeby Gorbaczow dotrzymał słowa. No i czwarty – Gorbaczow. Interesował się, wiedział, co i jak, ale nie naciskał. Ta czwórka w jednym czasie – to był ten moment.

Andrzej Anklewicz: Gdyby ktoś zobaczył, jacy ludzie starali się, żeby być przy Okrągłym Stole… Niektórzy na kolanach błagali.

– 200 tys. ludzi oddało władzę bez mrugnięcia okiem – opowiada Andrzej Anklewicz o MSW w tamtych miesiącach. – Nie przypominam sobie żadnych rozmów podważających to, co się dzieje. Wszyscy uważali, że to się jakoś utrzęsie. Że oczywiście podzielimy się władzą, przyjdą nowi, będą się uczyć.

Epilog

Dzień po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu Margaret Thatcher rozmawiała z Michaiłem Gorbaczowem w Londynie. Dokumenty z tego spotkania zostały opublikowane parę lat temu przez George Washington University. Thatcher mówiła: „Najbardziej interesujące rzeczy dzieją się w Polsce. Spotkałam się z Wojciechem Jaruzelskim. Jest znaczącym i uczciwym politykiem, który robi wszystko dla swojego kraju w tym bardzo trudnym momencie rozwoju. Spotkałam się z przywódcami Solidarności i wielokrotnie radziłam im, aby dążyli do dialogu z rządem i nie ograniczali się do konfrontacji".

Po raz kolejny rozmawiała z Gorbaczowem niecałe dwa tygodnie po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, 23 września 1989 r. w Moskwie. Przyznawała wtedy: „Byłam pod wielkim wrażeniem odwagi i patriotyzmu gen. Jaruzelskiego w Polsce. Rozumiem pańskie stanowisko tak: opowiada się pan za tym, aby każdy kraj wybierał własną drogę rozwoju, tak długo jak nienaruszony pozostanie Układ Warszawski. Doskonale rozumiem to stanowisko".

Moskwa przyjęła więc zmiany w Polsce w miarę spokojnie. Nie ma awantur, chaosu, jest porządek. W Moskwie jeszcze wierzono, że jakaś forma kontroli nad Europą Środkową zostanie utrzymana.

Margaret Thatcher mówiła, co mówiła, a Nicolae Ceauşescu wzywał do interwencji w Polsce. Parę tygodni później ruszyła Jesień Ludów, stare, komunistyczne reżimy upadały jak domki z kart. Władzę przejmowała opozycja, czasami gorączkowo skądś wyszukiwana. A jeśli jej nie było – to w niejasny sposób organizowana, tak jak w Rumunii.

Rozmowa Józefa Czyrka ze skandynawskim dyplomatą nabrała innego znaczenia.

Robert Walenciak

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS (2), PHOTOSHOT/REPORTER/EAST NEWS, LESZEK ŁOŻYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

Wasza pomoc ma znaczenie!

Od 20 lat jesteśmy na rynku wydawniczym. Z Waszą pomocą zrobiliśmy bardzo dużo. Nie mamy dotacji ani reklam. A kolporterzy RUCH i Garmond są nam dłużni ponad 300 tys. zł.

POMOŻESZ?

Warto wspierać fundację PRZEGLĄDU

CZYTELNIKU,
KUPUJĄC NASZE KSIĄŻKI, WSPIERASZ PRZEGLĄD
Zebrane środki przeznaczymy na sfinansowanie nowych projektów wydawniczych

Jeśli chcesz i możesz pomóc,
prosimy – wpłać darowiznę na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska SA.
Fundacja Oratio Recta 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W przelewie prosimy wpisać tytuł książki lub Darowizna (i dopisać adres e-mail, byśmy mogli przesłać podziękowania). Wpłat darowizny można dokonywać także online, wchodząc na **www.tygodnikprzeglad.pl.**

eprasa.pl 213724a6c4

Ballada o Nowej Hucie

Inżynierowie i budowlańcy zdali egzamin, pomylili się politycy. Nie przewidzieli, że życie wyprzedzi ich pomysły

Już trochę miasto, a jeszcze trochę wieś. Nowa Huta w 1956 r.

Leszek Konarski

Zaprojektowane i zbudowane w ekspresowym tempie bloki Nowej Huty stoją już 70 lat, nic się nie wali ani nie pęka, mieszkańcy chwalą sobie ich ceglane ściany. Projekt i założenia urbanistyczne największej w dziejach Polski inwestycji miejskiej, z szerokimi ulicami, wielkimi terenami zielonymi i ścieżkami rowerowymi, przewidzianej początkowo na 60-100 tys. mieszkańców, a dzisiaj trzy razy większej, wzbudzają zachwyt specjalistów na całym świecie. W 1949 r. władze PRL wprawdzie podpowiedziały zespołowi projektantów z inż. Tadeuszem Ptaszyckim na czele, że mogą wzorować się na radzieckim Magnitogorsku, ale praktycznie zapewniły im pełną swobodę twórczą.

Natomiast przedmiotem wielkiej troski kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej było życie codzienne mieszkańców tego nowego „socjalistycznego miasta wiecznej szczęśliwości", bo takiego sformułowania używano. Projektanci Nowej Huty mogli wymyślać ozdobne arkady przypominające wenecki Pałac Dożów czy ateńskie kolumny, ale musieli uwzględniać wszystkie dyrektywy dotyczące warunków życia mieszkańców spisane przez sekretariat Komitetu Centralnego PZPR i zatwierdzone przez prezydenta Bolesława Bieruta. W dokumencie tym, który otrzymał inż. Ptaszycki i jego zespół, zaprogramowano to życie z najdrobniejszymi szczegółami, od świtu do nocy: gdzie mieszkańcy mają spożywać posiłki, wypoczywać, co robić w niedzielę, czym jeździć, gdzie korzystać z telefonu, kto ma się opiekować dziećmi, jakich słuchać radiostacji, gdzie czytać gazety, gdzie prać pościel i ją suszyć, gdzie chodzić na imprezy kulturalne, gdzie się schować w przypadku alarmu lotniczego.

Po latach widać, że łatwiej było zbudować całe miasto, niż zaprojektować życie ludziom. Programowanie szczęścia okazało się czymś dużo trudniejszym. Co z tych planów zostało?

Nowy obywatel

Z okazji przypadającego w tym roku 70-lecia rozpoczęcia budowy miasta i kombinatu metalurgicznego w Nowej Hucie zaplanowano sporo imprez jubileuszowych. Z końcem marca w Muzeum Nowej Huty, które powstało z połączenia Muzeum

eprasa.pl 213724a6c4

PRL z oddziałem Dzieje Nowej Huty Muzeum Krakowa, otwarto wystawę „Nowohucianie" pokazującą, jak dzisiaj tu się żyje, co pozostało po raju, po idealnie zorganizowanym mieście, pięknych mieszkaniach. Czy wszyscy są nadal szczęśliwi?

O tym mieście budowanym z niezwykłą szybkością i entuzjazmem pisali chyba wszyscy polscy pisarze – Marian Brandys, Wiktor Woroszylski, Ryszard Kapuściński, Andrzej Braun, Wisława Szymborska. Ale czy pierwsi mieszkańcy Nowej Huty byli szczęśliwi i wdzięczni rządowi i partii za stworzenie im raju? – To było miasto szczęśliwych ludzi – mówi mi Maciej Miezian z Muzeum Nowej Huty, który wraz z Marią Wąchałą-Skindzier jest autorem koncepcji wystawy „Nowohucianie". – Budowniczowie kombinatu i miasta dostawali mieszkania, nie było podziałów na centrum i zaniedbane przedmieścia, ulice były szerokie, dużo zieleni, sporo kin, domów kultury.

Może na tym kończyła się ich szczęśliwość?

Kobieca brygada murarska Eleonory Bolak z majstrem Karolem Adamskim na budowie osiedla C-2 (osiedla Górali i Krakowiaków), sierpień 1952 r.

Bez bogatych i biednych

Główny projektant Nowej Huty inż. Ptaszycki w lipcu 1950 r. w wywiadzie dla „Sztandaru Młodych" powiedział: „To pierwsze miasto bez ciasnych podwórek i ciemnych oficyn. (...) Każde z mieszkań zaopatrzone będzie w centralne ogrzewanie, instalację elektryczną, gazową i wodę. Wszystkie domy będą zradiofonizowane. Na każdej klatce schodowej będzie telefon. Poszczególne osiedla będą posiadać swoje żłobki i przedszkola. Każda zaś dzielnica otrzyma własny dom towarowy, ośrodek kultury, boisko sportowe, szkołę, kino, bibliotekę, teatr oraz lokale klubowe".

Łatwiej było zbudować całe miasto, niż zaprojektować życie mieszkańcom.

Tempo budowy było szaleńcze. Zmarły w 2006 r. inż. Bolesław Skrzybalski z krakowskiego Miastoprojektu, zastępca inż. Ptaszyckiego, opowiadał mi, że osiedle Ogrodowe zaprojektował w sześć dni. Pierwsze trzy dni zajął mu projekt urbanistyczny, przez następne dwa dobierał gotowe projekty architektoniczne bloków. Gdy szóstego dnia oddał projekt, geodeci zaczęli wytyczać teren. Po roku do budynków na osiedlu Ogrodowym wprowadzali się już mieszkańcy.

W krakowskiej prasie pełno było informacji o zobowiązaniach i rekordach. Przed 1 maja 1950 r. „Gazeta Krakowska" pisała: „Murarze zobowiązali się wykonać po 5 m kw. muru na jednego murarza, czyli ok. 200% normy. Tynkarze, poza normalną pracą, zobowiązali się dodatkowo wykonać po jednej kondygnacji muru na każdy zespół. Brygada posadzkarzy Sylwestra Mularza zobowiązała się wykonać swoje posadzki w terminie do 1 Maja. Blacharze zobowiązali się wykonać po 130% normy. To samo betoniarze. Elektrycy zobowiązali się wykonać instalację w jednym budynku ponad plan. Tym samym zostanie przed 1 Maja ukończonych dodatkowo pięć budynków".

– Rzeczywiście nie było podziałów na biednych i bogatych – przyznaje Maciej Miezian. – Robotnicy mieli możliwość dorobienia sobie na boku, a kierownicy, choć ich pensje były trochę wyższe, takiej możliwości nie mieli. Nie było więc bogatych kierowników i biednych robotników. Wszyscy mieszkali w tych samych warunkach, w tych samych blokach, w podobnych mieszkaniach. Nie było slamsów, zaniedbanych osiedli.

Wkrótce okazało się, że w Nowej Hucie przybywa bloków, ludzie z mieszkań są bardzo zadowoleni, ale opracowany przez polityków i socjologów program wspólnotowego życia nie jest akceptowany.

Lepsze i gorsze pomysły

Każdy blok mieszkalny musiał mieć w piwnicy pomieszczenie na pralnię do zbiorowego korzystania, wyposażoną w kilka gniazd elektrycznych i z podłączeniem wody. Pralki wirnikowe, bo automatycznych wtedy jeszcze nie było, miały zakupić komitety blokowe. Wypraną odzież lub pościel mieszkańcy mieli przenieść do suszarni zlokalizowanej na strychu. Uznano, że to powinno być dobre rozwiązanie, bo pralki są zbyt drogie i trudno dostępne.

Wisława Szymborska

Na powitanie budowy socjalistycznego miasta

Z asfaltu i woli wytrwałej
będzie szerokość ulic.
Z cegieł i dumnej odwagi
będzie wysokość budynków.
Z żelaza i świadomości
powstaną przęsła mostów.
Z nadziei będzie drzew zieleń.
Z radości – świeża biel rynku.

Miasto socjalistyczne –
miasto dobrego losu.
Bez przedmieść i bez zaułków.
W przyjaźni z każdym człowiekiem.
Najmłodsze z miast, które będą.
Najmłodsze na jutro bliskie.
Najstarsze na jutro dalekie.

eprasa.pl 213724a6c4

Ale „program pralni domowych", bo tak to się nazywało, nie wypalił. Komitety blokowe nie chciały kupować importowanych pralek wirnikowych ani polskich SHL Frania, które w 1953 r. zaczęto produkować w Kielcach. Mieszkańcy nie byli zainteresowani tymi nowościami i woleli prać ręcznie w wannach. Pomieszczenia przeznaczone na pralnie stały puste i były dewastowane. Z suszarniami na strychach było trochę lepiej, ale wkrótce też przestano tam wieszać pranie. Dlatego pralnie i suszarnie zaczęto przeznaczać na inne cele.

W pierwszych nowohuckich blokach przewidziano miejsce na ustawienie stolika i co najmniej dwóch krzeseł, gdzie mieszkańcy mogliby poczytać prasę i ewentualnie porozmawiać z sąsiadami lub swoimi gośćmi. Codziennie były tam dostarczane gazety. Ludzie szybko nazwali te miejsca „czerwonymi kącikami" i nie chcieli z nich korzystać. Wszystkie zostały zlikwidowane.

Autorzy przygotowanego w 1949 r. programu dla nowego miasta nie przewidzieli, że mieszkańcy mogą kiedyś zapragnąć własnych samochodów. Do pracy mieli jeździć tylko autobusami, tramwajami lub rowerami i nie został zaprojektowany ani jeden parking. Jak mi opowiadał inż. Skrzybalski, w krakowskim Miastoprojekcie dobrze wiedziano, że wkrótce musi nastąpić w Polsce rozwój motoryzacji i parkingi staną się niezbędne. Dlatego zaprojektowali bardzo szerokie ulice i dzięki temu dzisiaj w Nowej Hucie jest dużo miejsc postojowych dla samochodów.

W 1949 r. władze PRL zapewniły projektantom z inż. Tadeuszem Ptaszyckim na czele pełną swobodę twórczą.

To pierwsze miasto bez ciasnych podwórek i ciemnych oficyn.

Pomału zaczęto także rezygnować z budowy piwnicznych schronów przeciwlotniczych. Taki schron musiał być pod wybranymi budynkami na każdym osiedlu. Ich budowa kosztowała sporo, bo strop i ściany miały żelbetową konstrukcję, drzwi gazoszczelne, wentylację mechaniczną, system łączności przewodowej i awaryjne wyjście tunelowe. Dzisiaj kilka z tych schronów, m.in. pod dawnym kinem Światowid, gdzie teraz mieści się Muzeum Nowej Huty, stanowi atrakcję turystyczną.

Na każdym osiedlu musiała być zaprojektowana duża świetlica, w której mieszkańcy mieli spędzać czas po pracy, rozmawiać ze znajomymi, słuchać wykładów, uczestniczyć w dyskusjach. Tymczasem do świetlic mało kto przychodził i wszystkie zostały zamknięte, a ich lokale wynajęte. Robotnicy woleli siedzieć na ławkach lub gdzieś w krzakach pić wódkę z kolegami. Dopiero dzisiaj, gdy hutnikom i budowlańcom przybyło lat i poczuli, co to samotność, zaczynają szukać towarzystwa i spotykają się w klubach osiedlowych, teraz przeznaczonych dla seniorów.

Nie spotkamy tu ludzi starych. Ci, którzy są, to albo ludzie młodzi wiekiem, albo tacy, którzy pomimo swojego wieku są młodzi przez swój entuzjazm i energię. Dlatego w Nowej Hucie wszyscy są młodzi.

Sławomir Mrożek, 1952 r.

Za dużo w Nowej Hucie wybudowano żłobków i niektóre budynki trzeba było zamienić na przedszkola. Planiści nie przewidzieli, że matki będą wolały zostawiać dzieci pod opieką babci lub dziadka, niż oddawać do żłobka. Choć nowo narodzonych dzieci z każdym rokiem przybywało, rodzice bardzo podejrzliwie traktowali powierzanie ich wychowania instytucjom państwowym.

Niespodziewanie natomiast proroczy okazał się program ścieżek rowerowych. Od wielu lat praktycznie do każdego miejsca w Nowej Hucie można dojechać rowerem, żadne polskie miasto nie ma tak wielu tras rowerowych. To jeden z nielicznych programów, który przetrwał próbę czasu i cieszy się dużym powodzeniem.

Wiadomości z głośnika

Powszechnie nadawanego programu telewizyjnego w 1950 r. jeszcze nie było (uruchomiono go w 1952 r.), mało kto dysponował radioodbiornikiem, niezbyt chętnie czytano ukazującą się od lipca 1950 r. miejscową gazetę „Budujemy socjalizm", w której pokazywano wzorowych obywateli socjalistycznego państwa, przodowników, rekordzistów w układaniu cegieł. Współpracownikami tej gazety byli m.in. Sławomir Mrożek i Wisława Szymborska.

Uznano, że najlepszym sposobem na prawidłowe funkcjonowanie partyjnej propagandy i agitacji jest rozwój radiofonii przewodowej. Nowa Huta miała być pierwszym w Polsce miastem całkowicie zradiofonizowanym. Głośniki, o wymiarach 20 x 30 cm, zwane kołchoźnikami, miały być w każdym mieszkaniu, sklepie, biurze, punkcie usługowym, u fryzjera i szewca. Wybudowano centralny radiowęzeł. Pracownicy przedsiębiorstwa Radiofonizacja Kraju doprowadzili kable do osiedli A0, A1, A Zachód i C1. Prace jednak wstrzymano, bo wystąpiły problemy z produkcją 12-żyłowych kabli. Głośniki miały mieć pokrętło służące do wybierania przez słuchacza jednego z sześciu programów. Pierwsze trzy w kołchoźniku były zarezerwowane dla audycji Polskiego Radia, choć wtedy radio miało tylko dwa programy, a więc myślano perspektywicznie. Czwarty program miał być lokalny i informować, co się dzieje w Nowej Hucie, piąty – nazwany zagranicznym – poświęcony był wiadomościom o naszych sąsiadach, czyli krajach obozu socjalistycznego. Wreszcie szósty – wyłącznie muzyczny. Nowohucianie czekali na głośniki i żartowali, że gdy odwrócą kołchoźnik do góry nogami, usłyszą siódmy program – Wolną Europę. W pierwszych nowohuckich mieszkaniach ze ścian długo sterczały kable. Głośników nigdy nie przywieziono.

Program radiofonizacji okazał się wielką klęską. Nie przewidziano, że w sklepach pojawią się tanie polskie radioodbiorniki Pionier i Aga, na których, przez niedopatrzenie władz, można było słuchać dużo więcej stacji, łącznie z Wolną Europą w pasmach 16 i 25 m. W czerwcu 1953 r. Urząd Rady Ministrów wydał ściśle tajną instrukcję nr 418/53 nakazującą producentom odbiorników radiowych dokonanie takich zamian konstrukcyjnych, aby na falach krótkich można było odbierać audycje tylko w paśmie od 31 do 51 m.

eprasa.pl 213724a6c4

Na przełomie lat 60. i 70. rozpoczęła się budowa Arki Pana – kościoła pw. Matki Bożej Królowej Polski. Metropolita krakowski kard. Karol Wojtyła często odwiedzał plac budowy, nz. w 1974 r.

Wiadomości z ambony

Spędzanie wolnego czasu też było zaplanowane. Mieszkańcy Nowej Huty mieli do dyspozycji dużo terenów zielonych ze ścieżkami spacerowymi, dwa stadiony, baseny, biblioteki, teatr, ogródki działkowe. W niedziele mieli się spotykać na placu Defilad, który do dzisiaj nie powstał, aby uczestniczyć w koncertach, występach artystów, kiermaszach, imprezach politycznych.

Tymczasem ludzi ciągnęło do kościoła. Wielu robotników wierzyło nie tylko Wolnej Europie, ale i we wszystko, co księża mówią z ambony.

Dwa stare kościoły w Mogile i Czyżynach oddalone były znacznie od centrum, żadnego nowego nie przewidziano, bo charakter socjalistycznego miasta miał być świecki. Nowohucianie zaczęli więc się upominać o budowę świątyń, a gdy władze nie chciały o tym słyszeć, 27 kwietnia 1960 r. kilka tysięcy osób stanęło do walki z uzbrojonymi milicjantami w obronie drewnianego krzyża, który wskazywał miejsce budowy pierwszego kościoła w Nowej Hucie, na rogu ulic Marksa i Majakowskiego. Byli ranni po obydwu stronach konfliktu, prawie pół tysiąca osób aresztowano.

Potem władze odpuściły świecki charakter i zaczęły wydawać zezwolenia na budowę świątyń. Tak powstawały gigantyczne kościoły z olbrzymimi plebaniami i salami wykładowymi. Jeszcze większego przyśpieszenia budownictwo sakralne nabrało w okresie przemian ustrojowych, gdy często sekretarze PZPR odchodzili z partii i przechodzili do rad parafialnych.

W styczniu 1997 r. stało się jednak coś, czego można było się spodziewać. Gdy na osiedlu Handlowym władze kościelne postanowiły zbudować kościół na zielonym skwerze u zbiegu ulic generałów Władysława Andersa i Mieczysława Boruty-Spiechowicza, mieszkańcy okolicznych bloków zjednoczyli się i powołali Komitet Antybudowy Kościoła, argumentując, że w Nowej Hucie jest już za dużo świątyń, i zażądali od władz Krakowa referendum na temat konieczności budowy nowych. Referendum nie zorganizowano, ale kościół w tym miejscu również nie stanął.

Inż. Bolesław Skrzybalski osiedle Ogrodowe zaprojektował w sześć dni. Po roku wprowadzili się mieszkańcy.

Osiedlowa gastronomia

Kolejną pomyłką propagandzistów okazał się program budowy osiedlowych stołówek, które miały zwolnić kobiety z obowiązku gotowania posiłków w domu. Zamiast stać przy garnkach, będą mogły pójść z rodziną do stołówki i tym samym mieć więcej czasu na wypoczynek. Na każdym osiedlu oddawany był więc do użytku wielki lokal przeznaczony na osiedlową jadłodajnię. Wszystkie stołówki miały być zaopatrywane w półprodukty z centralnej bazy w Krzesławicach, gdzie m.in. miała się znajdować Centralna Skrobalnia Ziemniaków.

Partia liczyła, że kobiety przyjmą ten program z entuzjazmem. Po wielu miesiącach przygotowań żadna osiedlowa stołówka jednak nie ruszyła, bo nie było chętnych na osiedlowe jedzenie. Większość pracowników kombinatu i innych przedsiębiorstw korzystała ze swoich stołówek w zakładach pracy, a wieczorem żony chciały same mężom

SZUKAMY ZDJĘĆ

z czasów Polski Ludowej (1944-1989)

Drodzy Czytelnicy,
pracujemy nad serią książek o Polsce Ludowej. Chcemy pokazać, jaka była. Czas na bilans bez politycznej zaciekłości i kłamstw polityki historycznej IPN. Pokażemy ówczesną Polskę jako państwo o ugruntowanej pozycji międzynarodowej, państwo, w którym dokonała się rewolucja społeczna. I choć w żartach mówiono o nim „najweselszy barak w obozie", to była nasza Ojczyzna.
W książkach o Polsce Ludowej nie może zabraknąć fotografii ilustrujących jej 45-lecie. Jeżeli macie takie zdjęcia, to prosimy o ich przysyłanie. Wraz z opisem. Obiecujemy, że wszystkie fotografie starannie obejrzymy i ocenimy, a najlepsze znajdą się w książkach. Pierwsza z nich powinna ukazać się już w lipcu.

FOT. AKG-IMAGES/ERICH LESSING/EAST NEWS, CAF/PAP, ANDRZEJ STOLARCZYK/FOTONOVA

eprasa.pl 213724a6c4

gotować. Nie udało się ich przekonać, że władza chce im pomóc.

Na każdym osiedlu planowano jedną elegancką restaurację. Otwierane były z wielką pompą i po kilku miesiącach zamykano je z powodu braku konsumentów. – Robotnicy do tych restauracji przychodzili tylko na piwo, wódkę i śledzia po japońsku – opowiada Maciej Miezian z Muzeum Nowej Huty. – Aby te lokale nie przekształciły się w zwykłe chlalnie, wprowadzano zaporowe ceny wódki. Wtedy ludzie przestawali przychodzić, kupowali butelkę i pili pod chmurką. Z przyczyn finansowych restauracje były likwidowane.

Proroczy okazał się program ścieżek rowerowych. Żadne polskie miasto nie ma ich tak wiele.

Została tylko Stylowa przy alei Róż, w pobliżu placu Centralnego, która do dzisiaj funkcjonuje dzięki temu, że zarówno jadłospis, jak i cały wystrój wnętrza, łącznie z meblami, żyrandolami, sztukateriami, jest taki sam jak w 1956 r., gdy lokal otwierano. Restauracja reklamuje się, że dla tych, którzy chcą poczuć dawny klimat Nowej Huty, organizuje przyjęcia „w stylu PRL" i goście są przenoszeni w „czasy świetności socjalizmu polskiego". Sporo tu więc zagranicznych turystów, którzy chcą poczuć tę atmosferę. Jak kiedyś powiedziała Krystyna Zachwatowicz, żona Andrzeja Wajdy, turyści do Stylowej przychodzą ze względu na „peerelowski koloryt".

Przed likwidacją obroniły się za to bary mleczne z kultowym Centralnym, też przy alei Róż. Centralny jest nieprzerwanie czynny od 1956 r. Ma te same meble co dawniej i nadal podaje się w nim ręcznie lepione pierogi, przygotowane według receptury z tamtych czasów. Jego pracownicy mówią, że ten bar jest trwalszy od Lenina, którego pomnik stał w pobliżu i został usunięty. Pierogów nikt nie śmiał ruszyć.

Co dzisiaj?

Po okresie entuzjazmu i zachwytów przemianami ustrojowymi nastały dla Nowej Huty ciężkie czasy. Padały kolejne przedsiębiorstwa. Wielu mieszkańców nie miało pracy. Huta im. Sendzimira zmniejszyła liczbę zatrudnionych z 20 tys. do zaledwie kilku tysięcy. Bardzo wzrosła przestępczość. Nowa Huta zaczęła mieć złą opinię, nie chciano tu mieszkać.

Gdy dawniej stary Kraków był symbolem reakcji, a Nowa Huta przykładem triumfu socjalizmu, to po latach role się odwróciły. Miasto, które miało być podporą władzy, stało się symbolem opozycji. Wielu dawnych działaczy Solidarności uważa, że w 1980 r. ważne były wydarzenia na Wybrzeżu, ale to Nowa Huta obaliła komunizm, tu były wielkie strajki i demonstracje. To stąd wyrzucono pomnik Lenina. Najbardziej lewicowe polskie miasto stało się nagle prawicowe, z niemal 20 już dzisiaj kościołami. Większość dzisiejszych nowohuckich prawicowych działaczy zapomniała, od kogo dostawała mieszkania, ogródki działkowe i darmowe zagraniczne wczasy. Zapomniała też, że przez lata korzystała z wielu innych partyjnych przywilejów. Nikt od nich nie wymaga wyrazów wdzięczności, tylko trochę pamięci.

Nowa Huta miała być miastem stworzonym od podstaw, o zupełnie nowych stosunkach społecznych, nowym stylu życia. Co z tego zostało? Co z tym rajem? Na to pytanie ma odpowiedzieć wystawa „Nowohucianie". – Nowa Huta, dzielnica Krakowa, jest dzisiaj zwykłym miastem, z tymi samymi problemami jak wszędzie – mówi Maciej Miezian. – Z każdym rokiem jest lepiej, ludzie chcą tu mieszkać, szukają spokoju, jest dużo zieleni. W centrum Krakowa na każdej ulicy są hostele, restauracje, bary i kluby, wrzaski do samego rana, tutaj turyści tak masowo jeszcze nie dotarli. Nie ma również żadnych problemów z wyrzucaniem z mieszkań, z czyścicielami kamienic, bo w Nowej Hucie wszystkie budynki były państwowe.

Przewidując rozwój motoryzacji, zaprojektowano bardzo szerokie ulice i dzięki temu w Nowej Hucie jest dużo miejsc postojowych.

Inżynierowie i budowlańcy mogą być dumni z Nowej Huty, bo jest to miasto dobrze, z myślą o przyszłości, zaprojektowane i solidnie, z tradycyjnych cegieł, zbudowane. Pomylili się natomiast politycy i socjologowie. Nie przewidzieli, że życie wyprzedzi ich pomysły. A już na pewno nie przewidzieli, że z lewicowego miasta wyjdzie im prawicowe.

Rozpoczynające się obchody 70-lecia Nowej Huty będą więc świętowaniem marzeń.

Leszek Konarski

TYLKO FAKTY I PRAWDZIWA HISTORIA

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

42 zł | 43 zł | 44 zł | 45 zł | PAKIET 145 ZŁ

eprasa.pl 213724a6c4

Z Galicji

Jan Widacki

Ein Volk! – czyli szczerość senatora Biereckiego

Ostatnio w mediach zasłynął senator PiS i, zdaje się, jego główny bankier, Grzegorz Bierecki. Ten pan od SKOK-ów był uprzejmy zapowiedzieć, że PiS „nie ustanie, aż nie doprowadzi do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej". Szczerość tej wypowiedzi wprowadziła nawet pewne zażenowanie wśród niektórych polityków rządzącej partii i, jak się wydaje, niezadowolenie samego prezesa. Bierecki niechcący ujawnił powszechnie na polskiej prawicy wyznawaną wizję państwa i narodu. Ta wizja to nacjonalizm.

Nacjonalistyczna wizja państwa jest nie do pogodzenia z wizją państwa liberalno-demokratycznego. W państwie liberalnej demokracji nikt nie ma monopolu na prawdę, na rację stanu, na pisanie historii, na wizję przyszłości. Wszyscy obywatele należą do tej samej kategorii (albo, jak ktoś woli, do tego samego sortu). Wszyscy, bez względu na poglądy, wyznanie, rasę, stosunek do PiS, pochodzenie społeczne czy etniczne, orientację seksualną wreszcie. Naród jest w takim ujęciu wspólnotą obywateli. Tak to ujmuje preambuła naszej, tak przez PiS nielubianej konstytucji: „My, Naród Polski, wszyscy obywatele Rzeczypospolitej". Sama nazwa państwa Rzeczpospolita, wymawiana po setki razy, ale, jak widać, często bez zrozumienia, znaczy Rzecz publiczna – należąca do ogółu obywateli. Państwo polskie należy do ogółu obywateli. Nie tylko tych „pierwszego sortu", nie tylko „Polaków polskiego pochodzenia", nie tylko tych, którzy kochają prezesa i bezkrytycznie są przekonani o jego mądrości. Wszyscy w tym państwie mają równe prawa, a poprzez demokratyczne wybory wpływ na jego politykę. Polska jest wspólna. Jest ojczyzną zarówno Jarosława Kaczyńskiego, jak i Leszka Millera. Tomasza Terlikowskiego i Kazimiery Szczuki. Kibiców Legii i kibiców Wisły. Ojca Rydzyka i Jerzego Urbana.

Bierecki nie powiedział w zasadzie nic nowego. Podobne treści wypowiadali przy różnych okazjach prominentni działacze PiS. Nie wspominając już o tym, że „oczyszczenia Polski" jawnie i brutalnie domagają się narodowcy. Jedna rasa, jeden naród! No to idźmy dalej: jedno państwo, a na końcu będzie jeden wódz.

To samo co oni, choć może w formie bardziej zawoalowanej, głosi nawet minister od kultury i dziedzictwa narodowego, który wedle ewidentnie nacjonalistycznych kryteriów rozróżnia kulturę polską i niepolską, a nawet chyba antypolską, oczywiście wspierając wyłącznie tę pierwszą. Jak tak dalej pójdzie, dotacje dostaną jedynie te teatry, które wystawiać będą śpiewogrę „Krakowiacy i górale", jasełka Rydla, ewentualnie „Zemstę" Fredry. Nawet „Wesele", jak się okazuje, może być podejrzane, a „Dziady" trzeba by najpierw dobrze zrozumieć, aby skutecznie ocenzurować. Nie wątpię, że w swoim czasie minister ten wysiłek podejmie.

Ten nurt w polskiej polityce nie jest czymś nowym. Już w Polsce międzywojennej endecja uważała, że w 1918 r. to Polacy odzyskali niepodległość, więc Polska jest państwem tylko Polaków, i przemyśliwała, co zrobić, aby ją „oczyścić" z ponad 30% mniejszości narodowych. Pomysły były różne. Próbowano na siłę polonizować Rusinów i Białorusinów, kombinowano, by Żydów wysłać może na Madagaskar. Realizacja tego projektu wymagała jednak wcześniejszego odebrania Madagaskaru Francuzom. Co nie było łatwe, choć uważano, że „Madagaskar nam się po prostu należy", a to z tej racji, że jego królem ogłosił się swego czasu Maurycy Beniowski. Przekonanie o wszechstronnej wyższości Polaków nad Żydami było powszechne, nieobce nawet profesorom uniwersytetu. W uchwale Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, podjętej w ramach dyskusji o *numerus clausus* w 1923 r., możemy przeczytać np., że „profesja lekarska wymaga podejmowania decyzji o dużym ciężarze moralnym (…). Żydzi, którzy obecnie majoryzują ten zawód, takiej wysokiej etyki nie posiadają".

Przed wojną w prasie narodowej na porządku dziennym było przekonywanie, że czymś oczywistym jest „rozróżnianie grup obywateli ze względu na stosunek do idei narodowo-państwowej" i przydzielanie im praw w zależności od tego stosunku.

Jeden z profesorów, skądinąd wybitny historyk, domagał się wówczas ograniczenia praw młodzieży żydowskiej do studiowania, ponieważ była ona na ogół „indyferentna wobec Polski, w okresie, gdy ważyły się losy jej granic". Po 1989 r. dla wielu takim kryterium limitującym prawa miała być działalność w okresie PRL i siła zaangażowania w walkę z „komuną". Nawet „Gazeta Wyborcza" przekonywała, że SLD „mniej wolno", i to w czasie, gdy właśnie SLD w demokratycznych wyborach zdobył władzę.

Wydawałoby się, że dziś, po latach doświadczeń, jesteśmy mądrzejsi. Tymczasem sondaże poparcia dla partii politycznych i tym samym ich wizji państwa są przerażające. Ponad 40% społeczeństwa nie ma nic przeciw wizji państwa tak szczerze przedstawionej przez senatora Biereckiego. Naprawdę niczego nie nauczyliśmy się z historii?

Ktoś przecież to społeczeństwo edukował przez ostatnie 30 lat. Nie słyszałem, by ktoś za to czuł się odpowiedzialny. Za to zaniedbanie możemy zapłacić ogromną cenę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 213724a6c4

Rozmawia Katarzyna Wierzbicka

Twoje, moje, nasze

Przyszywani rodzice, przyszywane dzieci

Znajomi, oboje po rozwodzie, planują wyjazd na majówkę z dziećmi z jego poprzedniego związku. Są już trzy lata razem, ale jeszcze nigdzie nie byli z dziećmi. Wyjazd miał być okazją do miłego spędzenia czasu i lepszego poznania się. Tylko że od początku wszystko się sypie – jego była żona wprawdzie chce, żeby ojciec zajął się dziećmi podczas majówki, nie godzi się, by jej dzieci spędzały czas z „tą kobietą". „Ta kobieta" z kolei chce należeć do rodziny, a on nie chce wybierać między partnerką a dziećmi z poprzedniego związku. W efekcie zamiast miłej atmosfery jest przepychanka. A przecież chodzi tylko o jeden wyjazd.

– Zazwyczaj podział opieki rodzicielskiej jest ustalany przed sądem i z góry wiadomo, czyja powinna być majówka. Jednak logistyka jest jednym z głównych problemów rodzin patchworkowych, bo trudno sztywno realizować kontakty – czasem chce się zaplanować coś wspólnie z dziećmi, ale są trudności z ich dołączeniem, a czasami odwrotnie – partnerzy zaplanują czas tylko dla siebie, a okazuje się, że spada na nich nagle kilka dni z dziećmi jednego z nich. Rodzina patchworkowa wystawia na próbę naszą elastyczność i tolerancję niepewności. Wszystko trzeba ustalać nie tylko między sobą, ale jeszcze z byłymi partnerami. Wiele zgłaszających się do mnie par przychodzi właśnie z tym problemem – kwestią kontroli i wpływu byłego partnera na obecny związek.

Czy tak musi być?

– Bardzo dużo zależy od dojrzałości osób dorosłych funkcjonujących w tym układzie i od tego, jak wiele uzgodni się zawczasu. A często ludzie zakładają, że „jakoś to będzie" albo „miłość wystarczy". Potem trudności, które na początku były tylko lekko wyczuwalne, zamieniają się w problem nie do pokonania.

Czy to nie jest nieco przesadzone? W końcu ludzie od zawsze wchodzili w nowe związki. O co właściwie ta cała afera?

– Rzecz w tym, że wcześniej te nowe związki były tworzone w układzie bardziej zamkniętym: były partner umierał, a macocha lub ojczym przejmowali jego prawa i obowiązki. Nawet już w erze rozwodów wyglądało to zazwyczaj tak, że w wychowaniu dzieci udział partnera, który odszedł z domu, kończył się w momencie rozstania. Rodziny z dziećmi z poprzedniego związku były rekonstruowane, ale nie patchworkowe.

Nie sądziłam, że to jakaś różnica.

– Rodzina rekonstruowana definiowana jest w literaturze jako mieszkająca pod jednym dachem, a przynajmniej jeden z partnerów nie jest rodzicem przynajmniej jednego z dzieci. Granice tak rozumianej rodziny są tożsame z granicami gospodarstwa domowego. Z patchworkiem jest inaczej, bo nie wiadomo, gdzie się kończy. Nie ma jednego modelu rodziny patchworkowej, a często sami jej członkowie różnią się w poglądach na to, kto do niej należy, a kto nie.

„Szlachetny" ojczym i „zła" macocha

Wróćmy do majówki. Jak w końcu jest z macochą: ma prawo zabrać głos? Należy do rodziny czy nie?

– To są dwie różne kwestie. Nie da się jednoznacznie określić momentu, od którego ojczym czy macocha stają się członkami rodziny, do której dołączają. To, jak bardzo będą zaangażowani w wychowywanie dzieci, zależy w dużej mierze od potrzeb ich i pozostałych członków tego układu. Dlatego tak ważne jest, żeby dorośli ustalili to wcześniej, najlepiej uwzględniając również potrzeby i oczekiwania dzieci. To trudne, ale tu właśnie przydaje się psycholog, coach, terapeuta par. Istnieją bardzo dobrze działające układy patchworkowe, w których zaangażowanie nowych partnerów w opiekę i decydowanie o dzieciach jest znikome, i takie, w których nowy partner jest prawie trzecim rodzicem. Przecież nie każdy musi się spełniać w rolach opiekuńczych – ojczym czy macocha niemający takich aspiracji nie będą się czuli źle, jeśli ich się z tego zwolni. Z kolei jeśli mają potrzebę zaangażowania, ale są pozbawieni takiej możliwości, mogą się czuć bardzo odrzuceni. Ale uwaga: są jeszcze dzieci, których stosunek do zmian w rodzinie bywa różny, a mamy obowiązek uwzględnić ich potrzeby.

Ojczym i macocha nie ponoszą prawnej odpowiedzialności za dziecko, nie mają zatem nad nim władzy. Bywa to często przeszkodą w zaangażowaniu się tam, gdzie akurat

DR MAŁGORZATA KAŁASKA

– psycholog, coach rodzicielski, trenerka umiejętności wychowawczych. Konsultuje rodziców samodzielnych, rozwodzących się i patchworkowych w Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 10 na warszawskich Bielanach, Poradni „Ananasy" i Pracowni Terapeutycznej „Dobre Myśli". Od lat współpracuje z Fundacją „Rozwód? Poczekaj!", prowadzi warsztaty dla specjalistów i rodziców. Prywatnie mama i macocha.

eprasa.pl 213724a6c4

mają kompetencje i chęć. Zetknęłam się kiedyś z sytuacją, w której pewna kobieta, sama będąc już matką, zawsze musiała odbierać pasierbicę z przedszkola razem z 14-letnim pasierbem, bo ich matka nie zgadzała się na stałe upoważnienie dla macochy do odbierania dziecka, a dla nastoletniego syna – tak. Oczywiście mąż macochy mógł zostawić jej swoje upoważnienie i obronić to w sądzie, ale nie chciał zaostrzać i tak poważnego konfliktu z matką dzieci. Jedyną drogą współdecydowania przez ojczyma czy macochę o dziecku jest wywieranie wpływu na partnera, czyli biologicznego rodzica tego dziecka. To musi jednak rodzić napięcie. Powstaje błędne koło nacierania i unikania. Żaden z partnerów nie czuje się komfortowo w tej sytuacji. I z tym najczęściej przychodzą do mnie pary.

Nie chciałabym być na miejscu tej macochy. Przecież nawet zatrudniane przez rodziców opiekunki odbierają dzieci ze szkoły czy przedszkola.

– No właśnie. Nie da się skutecznie opiekować dzieckiem bez podstawowego narzędzia, którym jest prawo decydowania. Jeśli powierzam komuś dziecko, muszę się podzielić swoim autorytetem, muszę zaufać tej osobie. Przecież tak to działa nie tylko w patchworkach, ale również w szkole, pod opieką niani czy babci. Kiedyś przeprowadzono ankietę, która wprawdzie nie spełniła kryteriów badania naukowego, ale jej wyniki dają do myślenia: osoby w różnym wieku pytano o to, które funkcje rodzicielskie macocha może przejąć, a których nie powinna. Okazało się, że według badanych macosze wolno udzielać się opiekuńczo, ale już nie tam, gdzie w grę wchodziłyby reprezentowanie dziecka i fizyczna bliskość z nim. Czyli: odbierać ze szkoły, gotować obiad czy pomagać w odrabianiu lekcji – tak, ale już nie całować na dobranoc i nie rozmawiać z nauczycielami.

Przykład z macochą nie jest chyba przypadkowy. Macocha kojarzy się negatywnie. Pomijając nawet konotacje związane z „Kopciuszkiem", sam odbiór społeczny ról ojczyma i macochy jest nieco inny. Ojczym to zwykle „przyzwoity mężczyzna", który wspaniałomyślnie zaakceptował „ją z dzieckiem". Z macochą związane jest odium „złodziejki mężów", nawet jeśli nowy związek został zawarty kilka lat po rozpadzie poprzedniego.

– Z punktu widzenia naukowego trudno mi stwierdzić, czy rzeczywiście jest taka różnica i na ile wpływa na życie macoch i ich partnerów. Ale problemem może być to, że ojczym i macocha nie funkcjonują w świadomości społecznej jako członkowie rodziny. Chyba że pojawia się nowe dziecko – wówczas zgodnie z powszechnym myśleniem to dziecko tworzy rodzinę. A negatywne konotacje związane z macochą są uwarunkowane historycznie. Kilkaset lat temu nikt się nie zastanawiał nad psychologicznymi aspektami relacji z dziećmi, ich sukces życiowy zależał od uposażenia otrzymanego z domu, kobiety zaś były finansowo zależne od swoich mężów i ich majątku. Dlatego nowa żona ojca była realnym zagrożeniem dla dzieci z poprzednich związków, zwłaszcza gdy wchodziła w małżeństwo z własnym potomstwem. Trudno nie faworyzować własnych dzieci w sytuacji, gdy ich sukces w życiu zależy od tego, ile matce uda się wynegocjować od męża.

Logistyka jest jednym z głównych problemów rodzin patchworkowych.

Z tej perspektywy macocha z „Kopciuszka" wydaje się kobietą zaradną, odpowiedzialną i troskliwą. A wracając do ustaleń, o których pani wspomniała – w jaki sposób ich dokonać? Jakie pytania zadać?

– Myślę, że najlepiej jest zwerbalizować swoje potrzeby i oczekiwania co do związku i skonfrontować je z potrzebami i oczekiwaniami innych w nowym układzie, w tym dzieci. Zweryfikować, co jest możliwe, na co jest zapotrzebowanie, ile funkcji rodzicielskich rodzic biologiczny jest w stanie i chce oddać partnerce albo partnerowi, co na to dzieci itd.

Brzmi to jak utopia. A przecież wiemy, że w praktyce jest jeszcze drugi biologiczny rodzic, który również może czegoś chcieć albo nie chcieć.

– I tu wracamy do dojrzałości. W swojej praktyce miałam do czynienia z rodziną patchworkową, która powstała ze zdrady – mąż odszedł do innej kobiety. Trudny start, ale dziecko mężczyzny radziło sobie z tą sytuacją nadzwyczaj dobrze i akceptowało macochę. Matka dziecka była na tyle dojrzała, żeby nie przenosić na nie swoich emocji: byłemu mężowi i jego nowej partnerce mówiła bardzo wiele i bez ogródek, dziecku nie mówiła nic. Zapisała się też wraz z synkiem i jego ojcem do psychologa, bo wiedziała, jak ważna jest rodzicielska spójność i przestrzeń dla dziecka do wyrażenia uczuć.

Poczekać na dziecko

Mamy więc impas – teoretycznie po rozwodzie rodziców dziecko powinno zachować kontakt z obydwojgiem, a oni mają prawo do wejścia w nowe związki. Tymczasem gdy do nich dochodzi, wszystko się komplikuje: dzieci cierpią, bo muszą zaakceptować zmianę, rodzice biologiczni – bo nie chcą się dzielić rodzicielstwem, a macocha lub ojczym – bo muszą się dostosować i do byłego małżonka swojego partnera, i do jego dzieci.

– Nie zapominajmy też, że biologiczny rodzic jest pod ogromną presją. To przede wszystkim od niego zależy, jak zostaną rozdane role i wytyczone granice. To od niego się oczekuje, że zajmie stanowisko. Odkryto, że ojcowie wchodzący w nową rodzinę to grupa mężczyzn najczęściej chorujących na depresję. Jeśli przyjmują zobowiązania zarówno wobec swoich biologicznych dzieci, jak i w stosunku do obecnej partnerki i ewentualnie jeszcze jej dzieci, to troska o zasoby finansowe i czasowe może być naprawdę przytłaczająca. A do tego dochodzi poczucie winy.

Czy matki zakładające nową rodzinę nie są w tej samej sytuacji?

– Zwykle w Polsce po rozwodzie dzieci zostają z matką, choć na szczęście popularyzuje się powoli model opieki współdzielonej. Gdy mężczyzna wchodzi w związek z kobietą, która ma dzieci, może mieć poczucie winy, że ze swoimi dziećmi spędza za mało czasu, a zajmuje się „obcymi". Matki zwykle nie mają okazji do tego rodzaju konfliktów.

Wychodzi na to, że ojczymem albo macochą łatwiej być, nie będąc rodzicem.

eprasa.pl 213724a6c4

– Niekoniecznie. Jeśli samemu nie jest się rodzicem, to nie wiadomo, jak nim być. Czasami ojczym albo macocha automatycznie i z dobrej woli próbuje stać się trzecim rodzicem, i to od razu. Wtedy są kłopoty.

Dlaczego?

– Dlatego, że dziecko wcale nie musi tego chcieć. I wtedy on lub ona czuje, że daje z siebie to, co najlepsze, a w odpowiedzi dostaje komunikat „nie chcę tego". Czasami jest on wypowiedziany wprost: „nie jesteś moim ojcem", „nie jesteś moją matką". To bywa bolesne. Najczęstszym błędem ojczymów jest nadmierne dyscyplinowanie. Macochy z kolei mają tendencję do nadmiernego zaangażowania i przejmowania obowiązków opiekuńczych. Nawet jeśli to nie jest próba odgrywania czyjejś mamy, tak może to zostać zrozumiane. Dziecko wtedy naturalnie się zamyka. I trudno się dziwić – przecież ono doświadcza konfliktu lojalności: jeśli dorosły niebędący jego biologicznym rodzicem próbuje nim zostać, będzie z automatu odrzucany. To tak, jakbyśmy byli zakochani i związani, a ktoś inny próbowałby nas uwieść i sprawiał wrażenie, że jesteśmy parą – wzbudziłoby to naszą niechęć, a nawet złość.

Dlatego lepiej jest, kiedy przyszywany rodzic pokazuje dziecku, że może mu coś zaoferować, ale tylko wtedy, kiedy jest o to proszony. Na przykład kiedy dziecko prosi go o pomoc w lekcjach – pomaga, ale tego nie wymusza, na początku nawet nie proponuje. Czeka, aż dziecko zaprosi go do swojej przestrzeni.

Pani
KRYSTYNIE JANDZIE
laureatce Busoli z 2001 roku

składamy
serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci
MAMY

Zespół PRZEGLĄDU

Czasami ojczym albo macocha próbuje stać się tym trzecim rodzicem, i to od razu. Wtedy są kłopoty.

Dobrze jest też, jeśli znajdzie coś, czego nie robią rodzice biologiczni, jakąś swoją niszę. To może być np. sport, hobby, jakaś potrawa albo dziedzina nauki. Chodzi o to, żeby dziecko nie czuło, że zdradza mamę albo tatę, robiąc z przyszywanym rodzicem coś, co zwykle robiło z biologicznym. Niech dziecko wie, że ma w macosze albo ojczymie sprzymierzeńca, który chce i może mu coś zaoferować od siebie.

Nie trzeba kochać, wystarczy szanować

Problem lojalności odpada jednak tam, gdzie drugi rodzic jest nieobecny – np. nie angażował się nigdy w wychowanie dziecka.

– W rodzinach, w których nie ma w tle drugiego biologicznego rodzica, tematu lojalności teoretycznie nie ma, za to znacznie wyraźniej wychodzi problem zazdrości o rodzica biologicznego – szczególnie jeśli samotne rodzicielstwo trwało długo i opiera się na symbiotycznej więzi. Widoczne jest to szczególnie w układach z jednym dzieckiem, w których ojczym albo macocha są tej samej płci co dziecko. Bywa, że dochodzi do rywalizacji między synem a ojczymem albo córką a macochą. Dziecko czuje się wręcz zdradzane.

Na tym przykładzie widać, że układ patchworkowy może być papierkiem lakmusowym wcześniej ukrytych problemów. Jeśli np. syn czuje chorobliwą nienawiść do nowego partnera mamy, można zadać sobie pytanie o to, czy nie był wcześniej traktowany jak zastępczy partner i czy nie realizował w ten niewłaściwy dla jego etapu rozwoju sposób jakichś potrzeb mamy – bliskości emocjonalnej z mężczyzną, ucieczki przed samotnością – oraz swoich potrzeb, np. wpływu, znaczenia. Reakcja na zmianę może też świadczyć o kondycji psychicznej samego dziecka. Bo przecież to o zmianę chodzi w gruncie rzeczy – stratę czegoś znanego na rzecz czegoś nowego.

Ten opór ze strony dzieci może się różnie objawiać, nawet bardzo nieprzyjemnie.

– To zależy trochę od wieku. Nastolatki zwykle stawiają opór wszystkiemu i wszystkim, więc będą komunikowały swoją niechęć najbardziej bezpośrednio. Młodsze

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, RYS. KATARZYNA PIĄTEK

eprasa.pl 213724a6c4

dzieci raczej będą się gorzej zachowywać i nie od razu można zidentyfikować przyczynę.

Dla ojczyma albo macochy to musi być bardzo trudne: muszę się układać z dzieckiem, którego nie znam, a które zachowuje się tak, że trudno je polubić. Co, jeśli go nigdy nie polubię?

– Nic. Nie trzeba kochać, nie trzeba lubić.

To jak dogadać się z kimś, kogo się nie lubi?

– Dokładnie tak jak nauczycielka dogaduje się ze swoimi podopiecznymi. Przecież też nie lubi wszystkich i ma do tego prawo. Ale to nie zwalnia jej z obowiązku szacunku i odpowiedzialności za te dzieci. Znowu wracamy do dojrzałości. Jednak dojrzałością jest również umiejętność dostrzeżenia w czyimś zachowaniu wpływu sytuacji. A z tym generalnie mamy problem w naszej części świata: niewłaściwe zachowanie dzieci najczęściej przypisujemy złemu wychowaniu albo trwałym cechom charakteru dziecka. Niezbyt wyraźnie dostrzegamy wpływ sytuacji – dlatego tak łatwo oceniamy innych.

A dziecko może nie lubić?

– Może. Zresztą proszę spróbować nakazać mu lubienie – powodzenia. Ale je także obowiązują zasady. Może nie lubić również pani w przedszkolu, ale nie wolno mu być dla niej nieuprzejmym czy okazywać jej lekceważenie. Może natomiast powiedzieć to rodzicowi. Tak samo jest z ojczymem albo macochą.

To rodzina patchworkowa ma w ogóle jakieś plusy?

– Mówi się, że dzieci w rodzinach patchworkowych, którym udało się pokonać te wszystkie trudności, są bardziej otwarte i elastyczne, mają większą tolerancję na zmiany i na różnorodność. Są nauczone dialogu, partnerskich negocjacji. Poza tym dziecko wychowywane przez kilku dorosłych więcej dostaje – każdy z tych dorosłych może dać mu to, czego nie ma inny.

Układ patchworkowy podaje w wątpliwość wszystko to, co wcześniej było dla nas wyznacznikiem rodziny: więzy krwi, wspólne miejsce zamieszkania czy silne uczucie. Nagle się okazuje, że wszystko jest względne, że trzeba przedefiniować własne przekonania o rodzinie i odgrywanych w niej rolach. A jest to niełatwe, szczególnie w społeczeństwie bardzo przywiązanym do twardych wytycznych.

Poza tym proszę zwrócić uwagę na to, że polska wizja rodziny jest szczególnie romantyczna: więzy krwi automatycznie wyzwalają miłość, która „wszystko przetrzyma". Patchwork pokazuje, że rodzinne szczęście zależy nie tyle od miłości, ile od umiejętności dialogu, stawiania i szanowania granic i budowania przyjaźni ponad nimi.

Można po rozwodzie z nikim się nie wiązać albo nie rozwodzić się w imię obrony „tradycyjnych wartości".

– Tylko że to nierealne. Rozwodów jest coraz więcej, a patchwork jak lustro odbija klimat naszych czasów, w których wszystko jest płynne i przestaje pasować do pierwotnych definicji. Trzeba więc wymyślić nowe. Z tradycyjną rodziną jest tak samo – to przedefiniowanie i tak nas czeka. Jedyna różnica jest taka, że członkowie rodzin patchworkowych muszą zrobić to szybciej.

Katarzyna Wierzbicka

eprasa.pl 213724a6c4

Tu się warzy więcej

W Pucku działa pierwszy w Polsce i szósty na świecie browar non profit zatrudniający osoby niepełnosprawne intelektualnie

Helena Leman

Niepozorny, parterowy budynek przy ulicy Helskiej w Pucku zwraca uwagę barwnym graffiti, na którym mężczyzna przedstawiony na tle chmielowych szyszek trzyma w dłoni szklanicę spienionego piwa. Na szklance napis: „Browar Spółdzielczy". Ten browar działa od prawie pięciu lat w ramach spółdzielni socjalnej Dalba i jest pierwszym w Polsce i szóstym na świecie browarem *non profit*, zatrudniającym osoby niepełnosprawne intelektualnie.

– Przez kilka lat pracowałem w szkole specjalnej, potem współtworzyłem w Pucku zakład terapii zajęciowej – mówi Janusz Golisowicz, terapeuta i kierownik browaru. – Widziałem, jak moi wychowankowie nie potrafią się znaleźć na rynku pracy, jak chwytają się różnych zajęć lub po prostu żyją w biedzie. Najtrudniej miały młodsze roczniki, którym nie przyznano rent albo odebrano je po jakimś czasie jako cudownie uzdrowionym. Marzyło mi się dla nich przedsiębiorstwo społeczne. Jednak niechęć i opór, jakie napotkałem, nie sprzyjały tym planom. Dopiero gdy na jednym ze szkoleń w Ośrodku Wsparcia Ekonomii Społecznej w Gdańsku poznałem Agnieszkę Dejnę, która skończyła studia biznesowe i ma dyplom MBA, moje marzenie stało się realne. Agnieszka pomogła mi założyć spółdzielnię. Teraz uzupełniamy się – ja nadzoruję produkcję piwa, ustawiam grafik, rozstrzygam sprawy pracownicze, a Agnieszka zarządza finansami, zajmuje się reklamą, sprzedażą, rozwojem firmy.

W puckim browarze zatrudnionych jest 10 niepełnosprawnych. Pierwsze warzenie piwa odbyło się 8 maja 2015 r. Oficjalna premiera trzech piw – miesiąc później w Sopocie. Zaczęto od 4 tys. litrów miesięcznie, wkrótce okazało się, że trzeba warzyć drugie tyle. W 2018 r. browar osiągnął ok. 2 mln zł przychodu, sześć razy więcej niż średni przychód spółdzielni socjalnych na koniec 2017 r.

Założyciele i szefowie browaru – Agnieszka Dejna i Janusz Golisowicz z załogą.

Było warto

– Proces technologiczny produkcji piwa jest powtarzalny. Najpierw zacieranie, potem filtracja, warzenie, chłodzenie, leżakowanie i rozlew. Ta powtarzalność czynności ułatwia pracę osobom niepełnosprawnym intelektualnie, daje im poczucie bezpieczeństwa. U nas warzenie odbywa się zawsze we wtorki i środy. W piątek mamy butelkowanie – mówi Janusz Golisowicz, który oprowadza mnie po browarze.

Przy maszynie rozlewającej piwo do butelek, nazywanej karuzelą, pracuje Karol. Obok niego przy kapslownicy czuwa Michał. Szymon wyjmuje butelki z kartonów, ładuje do kontenerów i dostarcza kolegom, a Marek zmywa rozlane piwo z podłogi, bo czystość w browarze to podstawa.

– To moja pierwsza prawdziwa praca – cieszy się 30-letni Szymon, który pracuje tutaj od 16 miesięcy. – Mieszkam na wsi pod Władysławowem, mama ma niewielką rentę, a utrzymanie domu, opał, prąd, woda kosztują. Choć mam orzeczoną niepełnosprawność, renty nie dostaję. W sezonie zbierałem puszki, łapałem też fuchy przy sprzątaniu pól namiotowych. Zarobek z tego był niewielki i niepewny, nie wystarczał na wydatki. Teraz moja miesięczna pensja to przeszło 1,5 tys. zł na rękę.

Także dla 39-letniego Michała zatrudnienie w browarze jest pierwszym stałym zajęciem w życiu. – Z rentą mam ok. 2,4 tys. zł na miesiąc, a to już jakoś wystarcza na utrzymanie, na paliwo do skutera, którym dojeżdżam do pracy z Władysławowa. Wynajmujemy tam z narzeczoną mieszkanie za 500 zł. Niedługo zostanę ojcem – podkreśla, a koledzy dowcipkują, że to już drugi tatuś w ich zespole.

26-letni Marek mówi, że rodzice byli przeciwni podjęciu przez niego pracy w browarze. – Po prostu nie wierzyli, że mi się uda – wyjaśnia. – A ja tę pracę bardzo doceniam. Zdobyłem zawód, doświadczenie, mam cel w życiu. Zawsze byłem skryty, nie lubiłem nikomu się żalić, a w browarze znalazłem kolegę, któremu wszystko mogę powiedzieć. Gdybym się nie zatrudnił, tobym go nie spotkał. Myślę też, że z rodzicami z czasem się ułoży. Może nawet wypatrzę jakąś dziewczynę i założę własną rodzinę.

eprasa.pl 213724a6c4

Zespołowi przewodzi 40-letni Karol, pracujący tutaj od samego początku, wychowanek Janusza Golisowicza.

– To mój nieformalny zastępca, czuje się tu jak pan na włościach – żartuje terapeuta. – Kiedy musimy czasem wyjechać w sprawach biznesowych, np. na festiwale piwa, na nim zawsze można polegać. Jest odpowiedzialny, bezpośredni, choć trochę wścibski. Ma dobry kontakt z resztą chłopaków. Jeśli problemy go przerastają, dzwoni do nas i pyta.

Zanim Karol trafił do browaru, kosił trawę, sprzątał plaże, był też gońcem w centrum pomocy rodzinie. Oprócz pensji ma rentę.

– Zdrowe pomaganie osobom niepełnosprawnym nie ma nic wspólnego z litością. Trzeba takich ludzi usamodzielniać, budować ich poczucie wartości. Prawie wszyscy nasi chłopcy nurkują. Od kilku lat wyjeżdżamy z nimi nad Morze Śródziemne. Na początku bali się nawet podejść do basenu, nie zabierali klapek, ręczników. Ten program ich zmienił, poprawił komunikację, zaczęli pracować jako grupa, mówić o swoich potrzebach, np. Karol na wyjeździe był królem życia. Krytykowano nas za ten pomysł. Lecz my do krytyki zdążyliśmy już się przyzwyczaić. Gdy otwieraliśmy browar, też słyszeliśmy za plecami pytanie: „Kto będzie kupował piwo warzone przez debili?". Tymczasem już czwórka naszych byłych pracowników wyszła na otwarty rynek pracy – mówi Agnieszka Dejna, prywatnie matka dwóch synów z porażeniem mózgowym, którzy dzięki jej konsekwencji są całkowicie samodzielni.

Prawie wszyscy pracownicy browaru nurkują.

Pub Spółdzielczy w Gdańsku-Wrzeszczu.

Rehabilitacja z głową

Według Agnieszki system opieki nad osobami niepełnosprawnymi, a zwłaszcza niepełnosprawnymi intelektualnie, pozostawia wiele do życzenia.

– Trzeba zmieniać myślenie opiekunów, lekarzy orzeczników, pracodawców, przyjrzeć się działaniu warsztatów terapii zajęciowej. Rodzice nieraz wolą chować dorosłe dziecko w domu lub w nieskończoność trzymać je na warsztatach, niż posłać do pracy. Boją się po prostu, że może stracić świadczenie. Jeden z naszych byłych pracowników przyznał się na komisji, że pracuje w browarze – i umiarkowany stopień niepełnosprawności zamieniono mu na lekki, zabierając rentę. Tymczasem ofert pracy dla osób ze średnią czy znaczną niepełnosprawnością po prostu nie ma. Nikt nie chciał powierzyć chłopakom nawet składania długopisów. Pośredniaki, spółdzielnie socjalne i warsztaty terapii zajęciowej powinny tworzyć system naczyń połączonych. Spółdzielnia zgłasza zapotrzebowanie na pracowników i są oni przygotowywani do tej pracy na warsztatach. Po co tam na okrągło lepić kulki z gliny, robić witraże czy stroiki? Nie chcę przez to powiedzieć, że warsztaty terapii zajęciowej są niepotrzebne. Niektórzy z naszych pracowników wcześniej byli ich uczestnikami. Ale aby rehabilitacja miała sens, program tych placówek należy dopasowywać do potrzeb lokalnego rynku pracy.

Przemysław Piechocki, szef Wielkopolskiego Ośrodka Wsparcia Ekonomii Społecznej i prezes Stowarzyszenia na rzecz Spółdzielni Socjalnych, właśnie jest w drodze do słupeckiej spółdzielni socjalnej, największej w regionie. 150 niepełnosprawnych pracuje w niej przy produkcji opakowań.

– Kiedy w latach 90. zaczęły powstawać warsztaty terapii zajęciowej, był zamysł, by przygotowywały niepełnosprawnych do zatrudnienia w zakładach pracy chronionej – mówi. – Jednak w praktyce to nie wyszło, bo ok. 60% podopiecznych warsztatów to osoby o znacznym stopniu niepełnosprawności, którym było trudno podjąć tam aktywność zawodową. Dopiero powstające na mocy ustawy z 2006 r. spółdzielnie socjalne, z ich specyfiką reintegracji i rehabilitacji przez pracę, okazały się odpowiednią formułą. Najważniejsze, żeby dać uczestnikom warsztatów szansę zawodowego sprawdzenia się, a jak uczestnik się sprawdzi, to dać też pracę.

> Proces technologiczny produkcji piwa jest powtarzalny. To daje poczucie bezpieczeństwa osobom niepełnosprawnym intelektualnie.

Z pasji do piwa, morza i ludzi

Na internetowej stronie browaru umieszczono anegdotę: „W Pucku,

FOT. SPÓŁDZIELNIA SOCJALNA DALBA

eprasa.pl 213724a6c4

co słynął z wytrawnego piwa, którego receptura sięga XIV w., rada miejska kontrolowała jakość każdej partii napoju. Oprócz degustacji trunek rozlewano na ławach, na których siedzieli rajcy. Gdy piwo wsiąkło w spodnie zacnych mieszczan, następowała najważniejsza próba. Na znak burmistrza wszyscy się podnosili. Jeżeli ława trzymała się spodni, piwo nadawało się dla szlachty i mieszczan, jeżeli ława się nie trzymała, całą partię piwa sprzedawano pospólstwu".

– Nasz browar powstał z pasji – podkreśla Janusz Golisowicz. – Z pasji do piwa, do morza, a przede wszystkim z pasji do ludzi, których staramy się wspierać. Nazwy naszych piw: Ratownicze, Refowe, Szotowe, Cumowe, z charakterystycznymi węzłami na etykietach, wpisują się w lokalne klimaty. Choć zaczynaliśmy od warzenia piw tradycyjnych, takich jak Dwa Półsztyki, to aby się rozwijać, wciąż wymyślamy nowe receptury. Tylko w zeszłym roku mieliśmy 12 piwnych premier. W Polsce takich premier było ok. 1,2 tys. Najbardziej niezwykłe było nasze ciemne piwo z ostrygami. Liczy się też sezonowość, latem lepiej schodzą piwa lekkie, orzeźwiające, zimą – cięższe. Od maja do września pracy jest najwięcej, nieraz wychodzę z browaru o godz. 23.

Wszystkie piwa powstają z naturalnych składników. Nie są tanie, kosztują w granicach 9-11 zł. Janusz pracuje właśnie nad recepturą piwa z rabarbarem. Przynosi w szklance jego próbkę. Razem z Agnieszką smakują i zastanawiają się, czy nie jest zbyt słodkie. Do biura zagląda Karol, pyta Janusza o kegi do leżakowania trunku. Wokół atmosfera spokojna, jak w małej firmie rodzinnej.

Mamy cele, nie marzenia

– My nie mamy marzeń, my mamy cele – mówi Agnieszka. – Planujemy wybudować w Pucku własny nowoczesny browar z prawdziwego zdarzenia, gdyż budynek, w którym obecnie się znajdujemy, dzierżawimy od osoby prywatnej. Otworzyliśmy też Pub Spółdzielczy w Gdańsku-Wrzeszczu, w którym również zatrudniamy niepełnosprawnych intelektualnie. Chcemy stworzyć sieć takich pubów w Polsce, działających według modelu franczyzy społecznej – pierwszy franczyzowy pub rusza w kwietniu w Łodzi. Na zasadzie partnerstwa publiczno-społecznego powstaje bistro Dalba w budynku Urzędu Miasta Gdańska. Znajdzie w nim pracę kolejnych pięć osób niepełnosprawnych. 18-osobowym zespołem zarządzamy w trójkę – ja z Januszem i Czarek, który nadzoruje pub. Utrzymujemy się z zysków browaru i dotacji. Na każdą nowo zatrudnioną osobę niepełnosprawną dostajemy ok. 20 tys. zł dofinansowania z Europejskiego Funduszu Społecznego. Środki z PFRON otrzymaliśmy raz, na jedno stanowisko pracy, ale procedury rozliczeniowe były tak skomplikowane, że więcej się nie staraliśmy (według GUS w 2016 r. takie środki dostały tylko trzy osoby w kraju – przyp. HL).

W Hiszpanii przedsiębiorstwa społeczne są czwartym pracodawcą na rynku, bardzo dobrze rozwijają się w Portugalii, Finlandii, w północnych Włoszech. U nas to wciąż nowy temat. – Spółdzielnie socjalne to rozwiązanie dla szeroko pojętego grona osób wykluczonych – bezrobotnych, niepełnosprawnych – mówi Cezary Miżejewski, prezes Ogólnopolskiego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Socjalnych. – Od 2009 r. mogą je zakładać także organizacje pozarządowe, kościelne itp. Trzeba spełnić przynajmniej dwa warunki: połowę założycieli spółdzielni muszą stanowić osoby wykluczone. Drugi warunek – nie może ona prywatyzować zysków.

W 10-tysięcznej gminie Byczyna w województwie opolskim, gdzie mieszka Cezary Miżejewski, działa pięć spółdzielni socjalnych.

– Mam dziecko w przedszkolu, które jest taką spółdzielnią. Pracują w niej repatriantka i młodzi pedagodzy, wcześniej bezrobotni. Ekonomia społeczna jest brakującym ogniwem na rynku pracy. Od lat toczymy batalię o jej upowszechnienie w Polsce. Ostatnio powstał bardzo dobry projekt Dostępność+ adresowany do osób niesamodzielnych. Ale o zapowiedzianej Krajowej Strategii na rzecz Osób Niepełnosprawnych słuch zaginął. A wskaźnik aktywności zawodowej niepełnosprawnych w Polsce wynosi 25%, o połowę mniej niż średnia europejska.

Nie chcemy jałmużny, chcemy pracować

W Krajowym Rejestrze Sądowym jest zarejestrowanych 1840 spółdzielni socjalnych, w tym 28 w stanie likwidacji. W województwie pomorskim działa 65. Jednak jak informuje Karolina Goś-Wójcicka z Departamentu Badań Społecznych GUS, faktycznie działających spółdzielni na koniec 2017 r. było w Polsce ok. 900. Zatrudnienie w nich znalazło 4,8 tys. osób, ponad jedną czwartą stanowili niepełnosprawni. Do spółdzielni trafiło niecałe 5% niepełnosprawnych z warsztatów terapii zajęciowej i jednostek reintegracyjnych. – Osoby niepełnosprawne stanowią średnio 10% populacji – mówi Przemysław Piechocki. – Utarło się, że tacy ludzie powinni mieć rentę i nie pracować. W dużych miastach ten stereotyp został już przełamany. Na terenach wiejskich jest gorzej, niepełnosprawnych wykluczają chociażby problemy z dojazdem. A przecież niepełnosprawni nie chcą jałmużny, chcą zapracować na siebie. Potrzebują wsparcia i programów pomocowych.

W browarze powoli kończy się siedmiogodzinna zmiana. Pracownicy naklejają na butelki ostatnie etykiety z charakterystycznym węzłem i nazwą piwa Bramszotowe, to gęste, czekoladowe piwo górnej fermentacji z dodatkiem borówek.

W Pubie Spółdzielczym w Gdańsku-Wrzeszczu Michał z Gosią sprzątają przed wieczornym otwarciem. Gosia mieszka niedaleko stąd, blisko teatru Miniatura, w tzw. domu wsparcia. Jej usamodzielnianie monitorują asystenci. Renta plus zarobki z pubu wystarczają na opłacenie mieszkania i skromne życie. Gosia nie nurkuje, choruje na epilepsję i boi się wody.

– Jestem „Williams" – przedstawia się Michał, od razu określając swoją chorobę. Ludzie z zespołem Williamsa to tzw. dzieci elfy, osoby bardzo pogodne, empatyczne, otwarte. Michał wcześniej dorabiał w różnych firmach. Najdłużej sprzątał w banku. Dostawał połowę tego, co teraz w pubie. 800 zł na miesiąc za trzy dni pracy w tygodniu to dla niego duże pieniądze. Część oddaje mamie, za resztę kupuje sportowe ubrania. W zeszłym roku nauczył się nurkować. – Moim marzeniem są podróże. Chciałbym pojechać do Włoch, odwiedzić grób papieża i zobaczyć, jak mieszkają ludzie w Rzymie – opowiada, uśmiechnięty od ucha do ucha.

Helena Leman

eprasa.pl 213724a6c4

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Dymy ze skarbca prawicowej kloaki

Nie jestem archeologiem, ale nie trzeba nim być, żeby wiedzieć, jakim bezcennym źródłem wiedzy o ludziach i ich obyczajach, codzienności i pracy są dawne wysypiska śmieci. Ujawniają one, w jakich warunkach żyli, jak i co jedli, na co chorowali, jak się bawili, odpoczywali, jak umierali.

I tylko z tego powodu, żeby zostawić na lata, dla innych, postanowiłem poczynić ten zapis dokumentalny, obdarzyć zbędnym dalszym ciągiem potok słów, które wydali/ły z siebie przedstawiciele i przedstawicielki współczesnej polskiej prawicy: politycznej, medialnej, rządzącej i rząd wspierającej, w dniu, w którym płonęła katedra Notre-Dame w Paryżu. Na pamiątkę, dla wiedzy płynącej ze śmietnika.

Wypisy z odjazdu religijno-polityczno-mesjanistycznego:

Janusz Korwin-Mikke: „Tragiczny pożar paryskiej katedry Notre-Dame – rezultat »ubogacania« Francji śmieciem ludzkim z Bliskiego Wschodu. A przecież tyle razy ostrzegaliśmy".

Adam Andruszkiewicz: „Trudno o bardziej wymowny symbol upadku Chrześcijaństwa na Zachodzie...".

Jacek Saryusz-Wolski: „Katedra Notre-Dame w Paryżu płonie, jest w niej polska kaplica z kopią obrazu Matki Bożej Częstochowskiej".

Tomasz Terlikowski: „Znaki są do tego, żeby je odczytywać. Płonie katedra Notre-Dame w Paryżu. Płonie Kościół, płonie Europa. Czas zmierzchu. Jeśli się nie nawrócimy, spłoniemy wszyscy".

Stanisław Dziwisz: „Ta płonąca katedra to symbol płonącej Europy!".

Magdalena Ogórek: „Pod posadzką korona cierniowa Chrystusa. Za cztery dni Wielki Piątek. Woda już na pewno zalała skarbiec, gdzie spoczywa relikwia. Za to za rok w okolicy na pewno przybędzie nowy meczet. Siedzę przed tv zdruzgotana".

Krystyna Pawłowicz: „Diabelstwo... Ginie 800-letnia gotycka Katedra Notre-Dame w Paryżu trawioną potężnym ogniem... We Francji, już niemal codzień albo burzą kolejne stare katolickie kościoły, albo przekazują je muzułmanom lub na galerie handlowe... Nasza europejska cywilizacja bezpowrotnie ginie .." (pisownia oryginalna).

Agaton Koziński: „Dla Europy to taki sam wstrząs jak 11/9 dla USA".

Rafał Ziemkiewicz: „Ta tragedia ma wymiar metafizyczny. Nie wierzę, by francuskie państwo w obecnym stanie mogło zagwarantować uczciwe śledztwo co do przyczyn pożaru. Zamykam się".

Ryszard Czarnecki: „Francuzi prywatnie mówią, że za tym mogą stać muzułmanie. To może mieć wpływ na wynik eurowyborów".

Nie chodzi mi o wyrazy oburzenia, a tym bardziej fałszywego zatroskania stanem umysłów powyższych osób, które intensywnie są obecne w polskiej polityce i sferze publicznej, a które w sporej części są utrzymywane z pieniędzy polskiego podatnika (i minister, i kardynał, i ludzie z TVP, z uczelni). Wydaje mi się ważne, choć przykre, odstręczające, „zatrzymanie w kadrze" tych słów. Są jeszcze kolejne liczne analizy domorosłych strażaków, specjalistów od gaszenia wiekowych obiektów sakralnych; ci występują tu w towarzystwie podobnego sobie speca Donalda Trumpa, zalecającego użycie samolotów cystern.

Niektóre z tych wypowiedzi są czysto rasistowskie i powinny zostać zauważone przez prokuraturę, ale nie zostaną. Inne wołają o społeczny ostracyzm – nie zostaną usłyszane. Internet wszystko zniesie, wszystko czyni bezkarnym albo niepodlegającym konsekwencjom. Oglądamy jakiś niesłychany pejzaż aintelektualnej

Polacy, naród strażaków, historyków średniowiecznej sztuki, mogą mówić, co chcą, na wieczny wstyd. Więc mówią.

dezynwoltury, która nie niesie żadnych konsekwencji. To jedna z miar tekturowości i niedziałania państwa, bezradnego wobec słów nienawistnych, pełnych rasizmu, szczucia na całe grupy ludzi w poczuciu całkowitej bezkarności (nie chodzi o więzienie, chodzi o nienadawanie rozgłosu i samowykluczenie z przestrzeni odpowiedzialnej publicznie debaty). Wszak szczujący należą dzisiaj do szeroko identyfikowanego obozu władzy, który funkcjonalnie i realnie podporządkował sobie prokuraturę i *de facto* wszystkich prokuratorów, więc nie wychyli się żaden. Ważność istnienia takiej budowli jak kilkusetletnia katedra Notre-Dame symbolizująca wartości Europy określa zatem również przestrzeń rozmawiania o czymś, interpretowania czegoś, co jest katastrofą budowlaną. Zacytowane wypowiedzi z takiej przestrzeni same się wykluczają. Prawdę mówiąc, to ten dehumanizujący, dewastujący poziom komentarzy, akceptowalny dzisiaj w Polsce, jest dużo większą katastrofą niż spalona 800-letnia dębowa więźba i zwalona iglica (mimo że „w kogucie na jej czubku umieszczono jeden z 70 cierni korony, a także relikwie św. Dionizosa, pierwszego biskupa Paryża, oraz św. Genowefy, patronki stolicy.

Polacy, naród strażaków, muzealników, historyków średniowiecznej sztuki budowlanej, teologowie i mistycy, mogą mówić, co chcą, na wieczny wstyd. Więc mówią.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 213724a6c4

Szwajcarscy gwardziści podrywani przez kardynałów

Jesteśmy w Watykanie otoczeni frustratami, którzy traktują gwardzistów jak świeży towar. Narzucają nam celibat, bo chcą nas zachować dla siebie

Frédéric Martel

Nathanaël musiał się w Watykanie zmierzyć z dwoma problemami: z dziewczętami i z homoseksualistami, z niedostępnością tych pierwszych i wszechobecnością drugich.

Tego gwardzistę spotkałem w Watykanie przez przypadek. Byłem trochę zagubiony w labiryncie schodów i to on wskazał mi prawidłowy kierunek. Nie był nieśmiały, zaczęliśmy rozmawiać.

Najpierw myślałem, że Nathanaël to jeden z pracowników kontraktowych wzywanych do Watykanu, gdy zachodzi potrzeba naprawy czegoś. Niebieski kombinezon roboczy, który nosił tego dnia, nadał mu wygląd zwykłego włoskiego robotnika. Dlatego też zdziwiłem się bardzo, widząc go kilka dni później w uniformie zwanym galowym: czerwonym, żółtym i niebieskim. Nathanaël był gwardzistą szwajcarskim! Gwardzista szwajcarski ze skrzynką na narzędzia!

Natknąłem się na Nathanaëla jakiś czas później, gdy byłem kolejny raz w Rzymie. Wtedy grzecznie, ale stanowczo odmówił spotkania. Dowiedziałem się potem, że chodziło o przepisy narzucone gwardzistom. Z powodów, które tutaj przemilczę, zgodził się jednak ze mną porozmawiać i spotykaliśmy się w kawiarni Makasar znajdującej się kilka minut drogi pieszo od koszar gwardii szwajcarskiej. Jej położenie z dala od miejsc uczęszczanych przez duchownych i przez turystów gwarantowało dyskrecję, czyli to, na czym nam obu zależało.

Wysoki, z pociągłą twarzą, atrakcyjny, Nathanaël jest zdecydowanie bardzo otwarty. Już na pierwszym spotkaniu powiedział mi, jak ma na imię (tutaj zmienione), i podał numer telefonu. Jego nazwisko poznałem później, i to przez przypadek, kiedy wstukiwałem jego dane do smartfona. Numer komórki od razu sparował się z jego profilem w Google+. Nathanaëla nie ma jednak ani na Instagramie, ani na Facebooku, nie ma jego zdjęć w wyszukiwarce obrazów Google – wszystko zgodnie z bardzo dokładnymi zaleceniami Watykanu, który narzuca gwardii szwajcarskiej skrajną dyskrecję.

eprasa.pl 213724a6c4

– Żadnego *selfie*, żadnych profilów na portalach społecznościowych – potwierdza Nathanaël. Od kiedy został gwardzistą, udało mu się spać „tylko z 10 dziewczynami", mówi. Zresztą wszystkie dotyczące go zasady są surowe. – Trzeba być w koszarach przed północą i absolutnie nie można spędzić nocy poza nimi. Nie wolno nam również mieć dziewczyny, małżeństwa mogą zawierać tylko wyżsi stopniem. Mamy absolutny zakaz przyprowadzania dziewcząt do koszar. Odradza się nam też spotykanie się z nimi w mieście i nawet w związku z tym popiera czasem donosicielstwo.

– Zraziło mnie bardzo to, co zobaczyłem. Wciąż nie mogę dojść do siebie. I pomyśleć, że przysięgałem „poświęcić życie" dla papieża, gdyby była taka potrzeba!

Ale czyż robak nie siedział w tym zepsutym owocu od samego początku? Gwardia szwajcarska została utworzona przez papieża Juliusza II w 1506 r., a jego biseksualność została dobrze poświadczona. Co zaś do munduru najmniejszej armii świata, to renesansowy kubrak, tęczowy sztandar i dwurożny morion halabardzisty ozdobiony czaplimi piórami miał zostać według legendy zaprojektowany przez Michała Anioła.

Liczne są przypadki nękania i molestowania, ale zostają wyciszone, i to zawsze gwardzista jest uznawany za pośrednio winnego.

Ta pruderyjna obsesja starych tetryków z Watykanu irytuje Nathanaëla, który uważa, że sprawy najważniejsze, dotyczące suwerennych funkcji gwardii nie są brane pod uwagę. Na przykład bezpieczeństwo papieża pozostawia – jego zdaniem – wiele do życzenia. Opowiadam mu, że często wchodziłem do Watykanu przez bramę zwaną Arco delle Campane – najbardziej niezwykłą ze wszystkich, pod zegarem, po lewej od bazyliki Świętego Piotra – nie musząc pokazywać żadnego dowodu tożsamości ani bagażu do przeszukania, bo przychodził po mnie jakiś kardynał albo zwykły ksiądz, który mieszka po drugiej stronie. Powiedziałem mu nawet, że kiedy pomieszkiwałem w Watykanie, miałem własny klucz pozwalający na wejście bez żadnej kontroli. Gwardzista był zdumiony moją opowieścią.

Podczas bodaj 12 poufnych spotkań w kawiarni Makasar Nathanaël wyjawia, co naprawdę denerwuje go w Watykanie: ciągłe podrywanie – czasami agresywne – przez niektórych kardynałów. – Jeśli którykolwiek z nich mnie dotknie, dostanie w mordę, a ja składam dymisję – oświadcza, nie przebierając w słowach.

Nathanaël nie jest gejem ani nawet nie jest przyjazny gejom; opowiada mi o swoim buncie spowodowanym próbami podrywu ze strony wielu kardynałów i biskupów (podaje mi nazwiska). Jest w szoku po tym, co odkrył w Watykanie: podwójne życie, podryw, a nawet nękanie.

Pewien podpułkownik karabinierów w Rzymie potwierdza mi, że szwajcarscy gwardziści zobowiązani są do ścisłego przestrzegania tajemnicy zawodowej:

– Nieprawdopodobna zmowa milczenia. Uczy się ich kłamać dla papieża, dla racji stanu. Liczne są przypadki nękania albo molestowania seksualnego, ale zostają wyciszone, i to zawsze gwardzista jest uznawany za pośrednio winnego tego, co się zdarzyło. Daje się im dobitnie do zrozumienia, że jeśli zaczną mówić, nie będą mogli znaleźć pracy. Jeśli natomiast zachowają się poprawnie, pomaga się im w ponownym zatrudnieniu, kiedy już wrócą do cywila w Szwajcarii. Ich przyszła kariera zależy od ich milczenia.

•

W trakcie mojego śledztwa rozmawiałem z 11 gwardzistami. Oprócz Nathanaëla, z którym spotykałem się w Rzymie regularnie, większość moich kontaktów została nawiązana podczas wojskowej pielgrzymki do Lourdes albo w Szwajcarii. Z byłymi gwardzistami spotykałem się podczas więcej niż 10 pobytów w Zurychu, Bazylei, St. Gallen, Lucernie, Genewie i Lozannie. Każdy z nich to źródło godne zaufania, dostarczające informacji z pierwszej ręki o obyczajach kurii i o podwójnym życiu wielu kardynałów, którzy oczywiście z nimi flirtowali.

W piwiarni Versailles poznałem Alexisa (jego imię zostało zmienione). Co roku z okazji wielkiej pielgrzymki tysiące policjantów, żandarmów i żołnierzy sił zbrojnych z całego świata, praktykujących katolików, spotyka się w Lourdes, francuskim mieście u podnóża Pirenejów. Tradycyjnie uczestniczy w pielgrzymce grupa gwardzistów szwajcarskich, a Alexis był z nimi w roku, kiedy ja się tam wybrałem.

– Wreszcie przybyła gwardia szwajcarska – woła głośno Thierry, właściciel piwiarni, zachwycony wejściem barwnie ubranych żołnierzy przyciągających klientów i przyczyniających się do wzrostu obrotów.

Pielgrzymka wojskowych do Lourdes to festiwal mundurów – khaki i bardziej kolorowych. Przybyli wojskowi reprezentują dziesiątki krajów, występują w najróżniejszych strojach; widać więc kapelusze z kolorowymi piórami, błyszczące, naostrzone szable, pompony, mężczyzn w kiltach i najrozmaitsze orkiestry. Są tu żarliwe modlitwy i zapamiętałe picie, szczególnie na Vieux Pont. Widzę tam setki zalanych katolickich żołnierzy, którzy śpiewają, tańczą i podrywają. Kobiet jest niewiele, homoseksualiści się nie ujawniają. To prawdziwa popijawa dla ochrzczonych!

Na temat homoseksualizmu kardynałów i innych hierarchów rozmawia się w koszarach chyba najczęściej.

W tym wielkim pijaństwie gwardziści szwajcarscy są jednak atrakcją pierwszoplanową, tak jak uprzedzał mnie podpułkownik karabinierów, który ułatwił mi starania o uczestniczenie w pielgrzymce do Lourdes.

– Zobaczy pan – powiedział mi – z dala od Rzymu gwardziści pozwalają sobie na trochę więcej. Presja jest słabsza niż w Watykanie, oficerowie trochę odpuszczają kontrolę, alkohol ułatwia kontakty. Zaczynają mówić!

I rzeczywiście, Alexis przestał na chwilę trzymać gardę.

– W Lourdes nie nosimy cały czas munduru galowego – mówi mi młody człowiek, który właśnie wszedł do Brasserie Le Versailles.

– Wczoraj wieczorem byliśmy w cywilu, tylko pod krawatem.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

Popsułoby to wizerunek, gdyby ktoś w czerwono-żółto-niebieskim uniformie był trochę podchmielony!

Alexis nie jest bardziej przyjazny gejom niż Nathanaël. Stanowczo zaprzecza stereotypowi, według którego w papieskiej gwardii szwajcarskiej miałby służyć duży odsetek homoseksualistów. Podejrzewa, że czterech czy pięciu jego kolegów „prawdopodobnie może być gejami", i oczywiście zna pogłoski o homoseksualności jednej z osób odpowiedzialnych za gwardię szwajcarską za czasów papieża Pawła VI. Człowiek ten mieszka dziś ze swym partnerem na przedmieściach Rzymu. Alexis wie również, podobnie jak inni, że kilku kardynałów i biskupów było na językach wszystkich, bo jako partnerów mieli kogoś z gwardii. I oczywiście zna historię potrójnego morderstwa w 1998 r. w obrębie Watykanu, kiedy to młody kapral gwardii Cédric Tornay miał „w chwili szaleństwa" zamordować swojego dowódcę i jego żonę.

– To jest wersja oficjalna, ale nikt spośród gwardzistów w nią nie wierzy – mówi mi Alexis. – Samobójstwo Cédrica upozorowano! On został zamordowany, tak jak jego dowódca i żona dowódcy, a potem zainscenizowano makabryczną scenę skłaniającą do uwierzenia w tezę o samobójstwie po podwójnym morderstwie (nie będę już tu wracał do tej dramatycznej sprawy, na jej temat wylano morze atramentu i krążą o niej najbardziej fantastyczne hipotezy. W związku z tematem tej książki wystarczy przypomnieć jedną z nich, rozpowszechnianą, choć niekoniecznie przekonującą – że związek dowódcy i podwładnego, rzeczywisty lub hipotetyczny, mógł zostać wykorzystany do zamaskowania innego motywu zbrodni. W każdym razie zagadka wciąż pozostaje nierozwiązana i gdyby papież Franciszek pragnął sprawiedliwego zakończenia tej sprawy, nakazałby ponowne przestudiowanie całego *dossier*).

Tak jak Nathanaëla Alexisa uwodziły dziesiątki kardynałów i biskupów, co doprowadziło go do zamiaru dymisji z gwardii.

– Nękanie jest tak uporczywe, że myślałem o natychmiastowym powrocie do domu. Wielu z nas jest zirytowanych tymi na ogół niezbyt dyskretnymi zabiegami kardynałów i biskupów.

Alexis opowiada mi, że pewien kardynał regularnie wzywał jednego z kolegów w środku nocy, mówiąc, że potrzebuje go w swoim pokoju. Prasa ujawniała podobne incydenty: od zwykłych, niewielkich podarunków pozostawianych wraz z wizytówką na łóżku któregoś z gwardzistów aż do bardziej konkretnych prób zbliżenia, które można już zakwalifikować jako nękanie albo napaść na tle seksualnym.

– Długo to trwało, zanim zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w Watykanie otoczeni wielkimi frustratami, którzy traktują gwardzistów jak świeży towar. Narzucają nam celibat i zakazują małżeństwa, bo chcą nas zachować dla siebie. Tak właśnie jest. Są nieprawdopodobnymi, perwersyjnymi mizoginami. Chcieliby najbardziej, żebyśmy byli jak oni: ukrytymi gejami!

Wielu z nas jest zirytowanych niezbyt dyskretnymi zabiegami kardynałów i biskupów.

Według Alexisa, Nathanaëla i co najmniej jeszcze trzech innych gwardzistów, z którymi rozmawiałem, wewnętrzne zasady dotyczące homoseksualności są dość szczegółowe, choć podczas szkolenia nie mówi się o nich wprost. Gwardzistów zachęca się, by dawali dowody „niezwykłej pomocności" wobec kardynałów, biskupów i „wszystkich duchownych". Od tych, których uważa się za zwykłych szeregowców, wymaga się, aby byli usłużni w najwyższym stopniu. Nigdy nie mogą krytykować eminencji lub ekscelencji ani odmawiać im czegokolwiek. Przecież kardynał to apostoł Chrystusa na ziemi!

Mimo wszystko ta uprzejmość musi mieć granice zgodne z niepisaną zasadą gwardii. Jeśli jakiś kardynał daje swój numer telefonu młodemu żołnierzowi albo zaprasza go na kawę, gwardzista powinien grzecznie podziękować i powiedzieć, że nie ma czasu. Jeśli kardynał nalega, powinien za każdym razem otrzymywać taką samą odpowiedź, a jeśli pod wpływem zastraszenia gwardzista zgodził się na spotkanie, powinien je anulować pod jakimkolwiek pretekstem służbowym. W razie zaistnienia przypadku oczywistego nękania, gwardziści powinni powiedzieć o tym swoim przełożonym, ale w żadnym przypadku nie odpowiadać, nie krytykować ani nie donosić na duchownych. Sprawy takie niemal zawsze pozostają bez ciągu dalszego.

Alexis, tak jak inni gwardziści, potwierdza, że w Watykanie jest

eprasa.pl 213724a6c4

bardzo dużo homoseksualistów. Używa mocnych słów: „dominacja", „wszechobecność", „supremacja". Tak wysoki odsetek gejów głęboko wstrząsnął większością gwardzistów, z którymi rozmawiałem. Nathanaël twierdzi, że kiedy tylko zakończy służbę i będzie oficjalnie „wolny", nigdy więcej jego noga tu nie postanie – „chyba że na wycieczce z żoną". Inny gwardzista, z którym rozmawiałem w Bazylei, potwierdza, że na temat homoseksualizmu kardynałów i innych hierarchów rozmawia się w koszarach chyba najczęściej, a zasłyszane od kolegów historie wzbogaca jeszcze tymi, których się było bezpośrednim świadkiem.

Z Alexisem, tak samo jak z Nathanaëlem i innymi gwardzistami, rozmawiamy o konkretnych nazwiskach, a lista kardynałów i arcybiskupów, którzy się do nich umizgiwali, zyskuje kolejne potwierdzenia i staje się tak długa jak *cappa magna* kardynała Burke'a. Świadectwa gwardzistów zaskakują mnie, bo chociaż jestem dobrze zorientowany, liczba przytoczonych nazwisk jest jeszcze dłuższa, niż przypuszczałem.

Dlaczego zgodzili się rozmawiać ze mną tak swobodnie, że aż sami dziwią się własnej odwadze? Nie z zazdrości ani z pychy, jak wielu kardynałów i biskupów; nie żeby pomóc sprawie, jak większość moich gejowskich kontaktów w obrębie Watykanu. Robili to z powodu własnego rozczarowania, jak ludzie, którzy stracili złudzenia.

Alexis powierza mi teraz inny sekret. O ile podoficerowie, którzy – jak już wspominałem – mogą zawierać związki małżeńskie, rzadko są homoseksualistami, o tyle inaczej jest ze spowiednikami, kapelanami i księżmi w otoczeniu gwardzistów.

– Zaleca się nam, żebyśmy chodzili do przeznaczonej dla nas kaplicy i spowiadali się przynajmniej raz na tydzień. A ja nigdzie indziej nie widziałem tylu homoseksualistów, co wśród kapelanów gwardii szwajcarskiej – ujawnia Alexis.

Podaje mi nazwiska dwóch kapelanów i spowiedników, jego zdaniem homoseksualistów (informacje te potwierdza inny gwardzista z niemieckojęzycznej części Szwajcarii i pewien ksiądz z kurii).

Poznaję również nazwisko jednego z wojskowych kapelanów, zmarłego na AIDS (szwajcarski dziennikarz Michael Meier ujawnił ten fakt w artykule w „Tages-Anzeiger" i upublicznił nazwisko).

•

W trakcie wielu moich pobytów w Szwajcarii, dokąd jeżdżę co miesiąc od kilku lat, spotkałem się z wieloma adwokatami i działaczami zajmującymi się sprawami dyskryminacyjnymi w kilku stowarzyszeniach broniących praw człowieka (na przykład SOS Rassismus und Diskriminierung Schweiz). Sygnalizowali mi przypadki dyskryminacji, które dotyczą członków gwardii szwajcarskiej, poczynając od procesu rekrutacji, a kończąc na kodeksie zachowań w obrębie Watykanu.

Na przykład według jednego ze szwajcarskich adwokatów statut stowarzyszenia rekrutującego przyszłych gwardzistów w szwajcarskich kantonach jest niejasny: czy jest to struktura oparta na prawie szwajcarskim, włoskim czy może na prawie kanonicznym Stolicy Apostolskiej? Watykan wykorzystuje tę dwuznaczność, aby móc wybierać najkorzystniejsze dla siebie rozwiązania. Otóż, skoro proces rekrutacji obywateli szwajcarskich ma miejsce w Szwajcarii, powinien być zgodny z tamtejszym prawem pracy, co stosuje się również do obcych przedsiębiorstw działających w tym kraju. Zasady rekrutacji do gwardii są jednak dyskryminujące: kobiety są wykluczone (choć mogą wstępować do armii szwajcarskiej); młody człowiek żonaty albo pozostający w związku nie może aplikować, przyjmowani są jedynie kawalerowie; reputacja kandydata musi być „nienaganna", musi on też cechować się „dobrymi obyczajami" (które to sformułowanie ma w domyśle wykluczać gejów, a także osoby transseksualne). Również migranci, tak przecież drodzy papieżowi Franciszkowi, są z rekrutacji wykluczeni. No i wreszcie jest bardzo mało albo wręcz nie ma wśród gwardzistów osób niepełnosprawnych ani kolorowych, czarnoskórych czy pochodzenia azjatyckiego, co pozwala przypuszczać, że ich kandydatury nie są rozpatrywane.

Zdaniem adwokatów, z którymi rozmawiałem, już sam zakaz aplikowania, jeśli pozostaje się w związku, to w Szwajcarii dyskryminacja, nie mówiąc o tym, że jest on sprzeczny z zasadami Kościoła, który podobno ma zachęcać do małżeństw i zakazywać wszelkich pozamałżeńskich kontaktów seksualnych.

Wykorzystałem pośrednictwo owego adwokata, żeby po niemiecku zadać pytanie dowódcom gwardzistów o te sądowe anomalie. Ich odpowiedzi są znaczące. Odrzucają zarzut dyskryminacji, ponieważ mamy do czynienia ze strukturą wojskową, która musi uwzględniać pewne reguły (zasady antydyskryminacyjne są sprzeczne nawet ze swoistym kodeksem armii szwajcarskiej opisującym tak szczegółowe kwestie jak wiek i warunki fizyczne rekrutów). Jeśli chodzi o homoseksualność, to dali nam do zrozumienia na piśmie, że „bycie gejem nie jest problemem podczas rekrutacji, pod warunkiem że nie jest się gejem »zbyt jawnym«, zbyt widocznym i zbyt kobiecym". A jednak zasady głoszone podczas szkolenia gwardzistów i ich kodeks postępowania („Regolamento della Guardia Svizzera Pontificia", który zdobyłem, a którego ostatnie wydanie z przedmową kardynała Sodana pochodzi z 2006 r.), zawiera również pewne nieprawidłowości dotyczące dyskryminacji, prawa pracy i milczenia w razie nękania bądź molestowania seksualnego.

Są to anomalie nie tylko prawne, zawierające sformułowania sprzeczne z prawem szwajcarskim, włoskim lub europejskim, ale także moralne i teologiczne, mówiące wiele o osobliwościach tego państwa zdecydowanie odbiegającego od dzisiejszych norm.

Gwardzistów zachęca się, by dawali dowody „niezwykłej pomocności" wobec kardynałów i biskupów.

Fragment książki Frédérica Martela *Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie*, przekład Anastazja Dwulit, Elżbieta Derelkowska, Jagna Wisz, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019

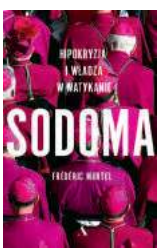

eprasa.pl 213724a6c4

Demokracja przez internet

Proces wyborczy przenosi się do sieci, czy tego chcemy, czy nie

Każdy obywatel Łotwy za pośrednictwem platformy ManaBalls.lv może złożyć projekt ustawy, który jego zdaniem powinien zostać rozpatrzony przez parlament.

Mateusz Mazzini

– Nie jesteśmy alternatywą dla partii politycznych, nie próbujemy ich zabić. Zawód polityka istnieje od początku cywilizacji i zawsze będzie potrzebny. Nasz system jest uzupełnieniem współczesnej demokracji uczestniczącej, a nie początkiem jej końca – mówi mi Imants Breidaks, łotewski historyk i przedsiębiorca, założyciel platformy internetowej ManaBalls.lv.

Rozmawiamy w trakcie Personal Democracy Forum, corocznej konferencji ściągającej do Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku pochodzących z całego świata entuzjastów demokracji cyfrowej, polityk publicznych i nowych form partycypacji społecznej. Na ich tle Breidaks i jego projekt z pewnością wyróżniają się wydajnością. ManaBalls.lv powstała w 2015 r., dziś jest nie tylko jedną z najpopularniejszych politycznych stron internetowych na Łotwie, ale też prawdopodobnie najskuteczniejszym rozwiązaniem w dziedzinie cyfrowej inicjatywy obywatelskiej.

To narzędzie internetowe, za pomocą którego każdy obywatel Łotwy mający pełnię praw wyborczych może złożyć projekt ustawy, który jego zdaniem powinien zostać rozpatrzony przez tamtejszy parlament. – Nie znaczy to jednak, że zalewamy parlamentarzystów setkami projektów. Publikujemy tylko 40% zgłoszonych do nas pomysłów. Reszta nie spełnia podstawowych wymogów prawnych – podkreśla Breidaks.

Eksperci ManaBalss, głównie prawnicy i ekonomiści, sprawdzają obywatelskie postulaty pod kątem zgodności z prawem, ratyfikowanymi przez Łotwę umowami międzynarodowymi i podstawowymi założeniami dyscypliny budżetowej kraju. Aby projekt ustawy trafił pod obrady parlamentu, potrzeba 10 tys. podpisów. To oczywiście dużo mniej niż w większości krajów europejskich (w Polsce próg jest 10 razy wyższy), ale ponieważ Łotwa ma zaledwie 1,95 mln mieszkańców, czyli mniej niż Warszawa, wynik ten i tak nie jest łatwy do osiągnięcia.

Historia sukcesu ManaBalss zaczyna się jednak właśnie w tym momencie. – Aż 67,5% zgłoszonych przez nas obywatelskich projektów zostaje przyjętych przez parlament i staje się częścią łotewskiego porządku prawnego – Imants Breidaks z dumą odsyła mnie do statystyk skuteczności legislacyjnej na stronie swojego projektu. To bez porównania najwyższy odsetek wśród wszystkich istniejących na świecie platform demokracji bezpośredniej. Maksymalna skuteczność podobnych projektów, działających m.in. w Finlandii i w Danii, to jedna trzecia uchwał przyjętych przez parlament.

– Naszym największym osiągnięciem jest przegłosowanie obywatelskiej poprawki do łotewskiej konstytucji. Kiedy opowiadam o tym w Brukseli, innych europejskich stolicach czy za oceanem, ludzie twierdzą, że to niemożliwe. A my, na Łotwie, jesteśmy przykładem tego, że w epoce cyfrowej ludzie mogą wpływać na rzeczywistość polityczną dużo skuteczniej niż jeszcze kilka-kilkanaście lat temu – dodaje Imants Breidaks.

Breidaks jeży się trochę, gdy pytam o relacje z partiami politycznymi. Przecież jeśli jego platforma jest

eprasa.pl 213724a6c4

tak skuteczna, wkrótce może zastąpić zawodowych prawodawców. Co więcej, nie podlega ona żadnemu nadzorowi społecznemu – twórców prawa działających na ManaBalss nie da się przecież odrzucić czy ukarać w kolejnych wyborach, tak jak głosujący robią to ze źle funkcjonującymi administracjami. – Nigdy nie zastąpimy starych partii politycznych, nie to jest naszym celem. Tak naprawdę politycy nas kochają, bo wykonujemy dużą część pracy za nich, nie pobierając w zamian opłaty – odpowiada na moje wątpliwości.

Dorzuca też, że jego platforma hamuje rozwój populizmu, bo stanowi alternatywę dla coraz popularniejszych w Europie referendów. – Referenda są złe dla demokracji, bo zmuszają do wyboru: tak albo nie. To iluzoryczny wpływ na prawodawstwo, gdyż problemy społeczne bardzo rzadko da się rozwiązać zero-jedynkowo. Nasz system sprzyja debacie obywatelskiej. Na wszystkich jego szczeblach podstawą jest porozumienie. Z kolei w parlamencie politycy dodają swoje poprawki do naszych projektów, dyskutują nad nimi i modyfikują je. To nasze 67,5% przegłosowanych inicjatyw to tak naprawdę sukces całej łotewskiej demokracji – zaznacza.

Choć ManaBalss rzeczywiście okazała się niezwykle udaną inicjatywą, trudno oprzeć się wrażeniu, że sukces zawdzięcza stosunkowo łatwym do przeskoczenia barierom na Łotwie.

Elektroniczne głosowanie w Estonii zostało wprowadzone już w 2005 r.

Platforma, patrząc chociażby z regionalnego punktu widzenia, działa na małą skalę. Problem ten zauważa zresztą sam Breidaks, opowiadając o próbach przeniesienia jego rozwiązań technologicznych do innych państw. – Do tej pory nie udało się to ani razu. Najczęściej na przeszkodzie stoją pieniądze. Nasi zagraniczni partnerzy nie zdają sobie sprawy, że nie wystarczy przekleić kod i uruchomić platformę. Rozwiązania zastosowane w ManaBalss są bardzo złożone, a ich codzienna obsługa wymaga wielu godzin pracy, również drogich w utrzymaniu programistów. Nie wszyscy są gotowi wydać aż tyle na partycypację obywatelską.

Inną trudnością, o której jednak Breidaks nie wspomina, jest kontekst kulturowy, tradycje uczestnictwa obywateli w polityce. Prof. Jean-Luc Albert, politolog z uniwersytetu w Lyonie, podkreśla, że cyfrowe rozwiązania w demokracji szczególnie trudno wprowadza się w państwach, gdzie wyborcy są przyzwyczajeni do kluczowej roli wielkich partii. Jednym z takich miejsc, zauważa, jest Francja – od dekad kształtowana przez wielkie, zinstytucjonalizowane organizmy: partie polityczne i związki zawodowe. Według prof. Alberta dla francuskich wyborców naturalne jest przypisywanie twarzy konkretnych polityków do ważnej legislacji. Już przy tradycyjnej inicjatywie obywatelskiej to niemożliwe – a przecież jej cyfrowa wersja tym bardziej jest pozbawiona jednostkowych cech ludzkich.

Łotwa to przykład, że w epoce cyfrowej ludzie mogą wpływać na rzeczywistość polityczną skuteczniej niż jeszcze kilka lat temu.

Kolejne wyzwanie stojące przed platformami cyfrowej demokracji bezpośredniej to coraz większa fragmentaryzacja europejskiej sceny politycznej. Większa liczba partii sprawia, że aby projekt obywatelski miał szansę przejść przez parlament, musi wokół niego powstać praktycznie cała koalicja mecenasów politycznych – jeden już nie wystarczy. Doskonałym przykładem tego zjawiska jest chociażby Holandia. Prof. Sebastiaan Faber z Oberlin College przypomina, że w tym kraju jeszcze dwie dekady temu ton debacie politycznej nadawały trzy duże partie. Dziś ich liczba wzrosła do ośmiu, a trend ten postępuje. W dodatku coraz częściej są to partie jednej kwestii. Koncentrują się na sprawach tożsamościowych, takich jak prawa imigrantów i zasady nadawania obywatelstwa, lub społecznych – np. małżeństwach jednopłciowych czy aborcji. Z kolei projekty obywatelskie w większości dotyczą kwestii praktycznych, ważnych z punktu widzenia obywatela, ale często niedostrzegalnych dla stołecznych polityków. W dużych, złożonych demokracjach łatwo sobie wyobrazić scenariusz, w którym projekty obywatelskie giną po prostu z braku zainteresowania zawodowych polityków.

Wreszcie w debacie o cyfrowej inicjatywie demokratycznej trzeba powiedzieć kilka zdań o roli edukacji obywatelskiej. Innymi słowy, przy rozwijaniu demokracji *online* nie można zapomnieć, jak ważna jest nauka w trybie *offline*. W tym przypadku Breidaks ma akurat odmienny pogląd. – Zastanówmy się, ile godzin tradycyjnej edukacji poświęciliśmy na naukę używania Google'a albo obsługi własnego smartfona. Odpowiedź brzmi: zero. Cyfrowa partycypacja obywatelska też nie wymaga nauki w klasycznej formie, wielu godzin w sali lekcyjnej. Wszystko da się rozwiązać dobrze zaprojektowanym, funkcjonalnym, intuicyjnym interfejsem w sieci. Ludzie sami nauczą się z niego korzystać – wyjaśnia Breidaks.

Jego optymizm jest jednak rzadkością wśród ekspertów. Pablo Aragon, specjalista ds. sztucznej inteligencji z katalońskiego uniwersytetu Pompeu Fabra: – Sami nauczyliśmy się korzystać ze smartfonów, ale nikt z nas nie zadaje sobie pytania, czy czasem nie korzystamy z nich tak, jak chce tego ich producent – najczęściej jeden z technologicznych gigantów. Dlatego edukacja *offline* jest konieczna, by zadawać sobie tego typu pytania. Potrzeba nam więcej krytycznego myślenia w szkołach. Nie musimy wszyscy umieć kodować, ale powinniśmy lepiej oceniać płynące do nas informacje i dawane nam do ręki narzędzia – mówił mi Aragon w czasie Personal Democracy Forum.

Bez względu na opinie badaczy zmiana jakościowa w polityce nadchodzi wielkimi krokami. Digitalizacja procesów wyborczych już ma miejsce – elektroniczne głosowanie w Estonii zostało wprowadzone w 2005 r. Proces wyborczy przenosi się do sieci, czy tego chcemy, czy nie. Naszym zadaniem musi być teraz utrzymanie go pod jak najściślejszą kontrolą – publiczną, nie prywatną. W przeciwnym razie liberalna demokracja zmutuje do technologicznego autorytaryzmu. O tyle trudnego do zwalczania, że niemożliwe będzie przypisanie mu ludzkiej twarzy. ■

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 213724a6c4

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

W lokalu przy Liechtensteinstrasse dziennie jada nawet 700 osób.

Jedz i płać, ile chcesz

W barze Wiener Deewan nie ma cennika. Mimo to biznes przynosi dochody

Czyściutki bufet z metalowymi pojemnikami do samodzielnego nabierania potraw. Talerze, sztućce, serwetki, plastikowe naczynia, by wziąć jedzenie na wynos. Curry z kilkoma gatunkami mięsa halal: drobiowym, wołowym, jagnięciną. Warzywne dania wegetariańskie i wegańskie. Sosy, ryż, chlebki, dwa desery, w tym jeden dla wegan; darmowa woda. Można dokupić napoje, herbaty, kawę, wino. Nazwy dań i ich składy wiszą wydrukowane na metalowej ściance za pojemnikami.

Na stoliku pod oknem (okna wstawiała polska firma) aktualny numer ważnego dla „alternatywnego myślenia" tygodnika „Falter", mój ulubiony miesięcznik wydawany przez bezdomnych „Augustiner", ulotki zapowiadające różne niszowe wydarzenia. Przy wejściu, w rogu kontuar i kasa fiskalna, każda wpłata jest rejestrowana. Można też się wpisać do pękatej księgi gości.

Tak wygląda jeden z trzech wiedeńskich barów-jadłodajni Deewan z pakistańskim jedzeniem. Barów nietypowych. W Leopoldstädter Deewan, podobnie w Meidlinger Deewan i Wiener Deewan, jesz, ile i co chcesz, płacisz, ile chcesz. Tylko gotówką. Czasem nie możesz, bo nie masz pieniędzy, więc jesz „na koszt" kogoś innego, kto solidarnie zapłaci albo zapłacił.

Afzaal Deewan: Uznaliśmy, że jedzenie musi być tak dobre, żeby goście w tej cenie podobnego nie znaleźli i wrócili do nas.

Mało kto poza twórcami tego odważnego, dla niektórych szalonego przedsięwzięcia, Natalie Schellander i Afzaalem Deewanem, wierzył, że plan się powiedzie. Pożyczone pieniądze, oszczędności życia studentki, Pakistańczyk starający się o azyl, nieduża spelunka zamieniona w kuchnię i jadłodajnię, dobre chęci i wiara w pomysł – tyle było na początek. Pomysł, by jedzenie dobrej jakości, uczciwie przygotowywane, spotkało się z podobnym przyjęciem i zapłatą. Klienci najpierw nie rozumieli: jedz, ile chcesz, płać, ile chcesz? Ja mam oszacować, ile chcę dać? Jak zdecydować, za ile mi smakowało? Przecież mogę nie zapłacić, zjeść i wyjść.

Dla wszystkich i dla każdego

PwYw – *pay what You want*, płać, ile chcesz. To propozycja uczestniczenia klienta w wycenie. Oczywiście ryzyko jest, ale właściciele Wiener Deewan już się nie boją. Spojrzeli inaczej na zaufanie społeczne, na ekonomię, na współpracę z klientem. Mogli wybrać jeszcze pwYcan – płać, ile możesz, pwGodwants – płać, ile Bóg chce, ale to idea zarezerwowana dla inicjatyw związanych z którymś z Kościołów. Może też być wariant pYfs – *pay Your fair share* (płać swój sprawiedliwy wkład) i pfse – *pay for someone else* (płać za kogoś innego). Wiener Deewan jest praktyczną, codzienną częścią alternatywnej gospodarki i solidarnej ekonomii, czasami te modele się przenikają.

Tu mogą zjeść wszyscy. – Pracujemy codziennie, przez siedem dni w tygodniu, chcemy nakarmić wiedeńczyków i przybyszów. Nie muszą gotować w domu, my to robimy za nich. Od rana do późnego wieczora gotujemy, żeby jedzenie było cały czas świeże – mówi czarujący kucharz w Leopoldstädter Deewan w 2. Dzielnicy. Dba, by karafki z darmową wodą były pełne, a stoły czyste. I gotuje, gotuje. – W tej akurat knajpce można gotować nawet dla kilku tysięcy osób – dodaje.

Bary Deewan to łączenie dań i kultur, mieszanie w garach kultury halal z wegańską, spotkania *queer* i uchodźców, jogi i graffiti, biznesu i kultury dzielenia się, (re)cyklingu i rolnictwa czy anarchistów i graczy w krykieta. Spotykajmy się, przenikajmy się – nawołują w Deewan.

Niekrępujące, proste wnętrza. Jedzenie pakistańskie o smakach wiernych pochodzeniu, nad czym czuwa

eprasa.pl 213724a6c4

Afzaal. Stąd mięso halal, inaczej jako muzułmanin nie mógłby tego próbować. Wybór p*ay what You want* sięga wzorców ze świątyń np. buddyjskich, gdzie z datków gotuje się i rozdaje żywność potrzebującym. Afzaal ma doświadczenia z Pakistanu. Tam ludzie wiedzą, ile coś jest dla nich warte. – Nie proponujemy cen wyjściowych, ale jeśli czujemy się wykorzystywani, mówimy: – Najedz się, ale się nie przejedz! – mówi Natalie Deewan – choć takie sytuacje są rzadkie.

Imigrant i filozofka

Deewan może znaczyć wygodny. Nawet 700 osób dziennie jada w lokalu na 75 miejsc, plus dwa stoliki na ulicy, przy Liechtensteinstrasse 10, czynnym sześć dni w tygodniu. Około 150 osób dziennie jada w każdym z obydwu nowych, czynnych okrągły tydzień lokali, otwartych pół roku temu w 2. i 12. Dzielnicy Wiednia. Do spółki doszedł zaufany partner, Zeeshan Ahmad. Są plany otwarcia kolejnych barów Deewan w innych dzielnicach Wiednia i cateringu na telefon. Na tych samych zasadach – pwYw.

Afzaal Deewan uważa, że gotowanie dla dwóch-trzech osób to nonsens. Gotowanie nabiera sensu, kiedy robi się to dla większej liczby ludzi.

Początki? Najpierw konieczność, potem pasja. Afzaal jako imigrant z Pakistanu musiał coś robić, czekając na legalizację pobytu. To było ponad dekadę przed falą uchodźców. Jego celem była Anglia, ale los – i przewodnik, a raczej przemytnik – rzucił go do Wiednia. Znalazł przychylne dusze, dach nad głową w squacie w Ernst-Kirchweger-Haus (EKH), potem spotkał niezwykłą dziewczynę, Natalie.

Afzaal, człowiek wielu talentów: kucharz, gracz w krykieta, samodzielny przedsiębiorca, do tego praktykujący muzułmanin, nie chciał biernie czekać. Od razu pytał, jak może pracować, korzystając ze swoich rąk, chociaż prawo je związuje. Gotował w miejscach dla uchodźców, dla ubogich, ludzie byli zaskoczeni jakością potraw. – Słyszałem, że powinienem to robić – mówi Deewan. Natalie nie namyślała się długo, uruchomiła urzędy, organizacje pozarządowe i instytucje zajmujące się azylantami. 25-letnia filozofka z dyplomem uniwersyteckim zaczęła wszystko organizować, żeby zarejestrować legalną działalność. Złe języki mówiły, że zamienia uniwersytet na chochlę. Natalie wyłożyła swoje oszczędności, znajomi dopożyczyli pieniądze, wbrew tym, którzy zniechęcali do lokalu przy Liechtensteinstrasse 10 w 9. Dzielnicy. Słyszała, że „chodzą tam sami dozorcy ze swoimi psami za potrzebą". A przecież to drugie największe, po 1. Dzielnicy, skupienie uniwersyteckich obiektów i (głodnych) studentów. – Natalie zawsze pomaga ludziom w potrzebie, jak ja. Znasz kogoś kilka dni czy tygodni i oddajesz mu oszczędności życia, to niebywałe, to jej zaufanie ciągle pcha mnie do działania – opowiada Afzaal.

Wreszcie Natalie poślubiła Afzaala, a spółka otworzyła pierwszy lokal Wiener Deewan.

Uczciwe gotowanie dla uczciwych ludzi

– Indyjskie czy pakistańskie jedzenie w Wiedniu jest drogie, zwłaszcza w stosunku do jakości. Uznaliśmy, że jedzenie musi być tak dobre, żeby goście w tej cenie podobnego nie znaleźli i wrócili do nas. Tu ludzie są uczciwi i rzetelni, my także w ten sposób podchodzimy do naszego biznesu. Jeśli im smakuje, to nikt nas nie oszuka – wspomina początki Afzaal. Sam wcześnie musiał być samodzielny, ojciec młodo zmarł. Jak większość dzieci w Pakistanie czy Indiach chłopiec musiał szybko dorosnąć i wspierać wieloosobową rodzinę.

Lokale Deewan opierają się na produktach sezonowych, kupowanych bezpośrednio od lokalnych producentów, farmerów. – Musimy stale kontrolować smak, jakość. Z czasem pojawiło się u nas jedzenie dla wegan, dawniej nie miałem pojęcia, co to jest – wyjaśnia Afzaal. On jest odpowiedzialny za dostawy, kuchnię, smaki, receptury, przecież to jego pamięć pakistańskiej kuchni. Natalie zajmuje się księgowością, wizerunkiem, wystrojem miejsc, „duchem" projektu.

14 lat temu informacja o nowym, nietypowym miejscu szybko wypłynęła do mediów, po czterech dniach była w prasie, po trzech tygodniach w telewizji. Klienci sami zadbali o reklamę, Wiener Deewan nie potrzebował na nią nakładów. – Za te pieniądze woleliśmy kupować różnorodne jedzenie. Po kilku miesiącach byliśmy najlepszą knajpą 2005 r. według tygodnika „Falter" – cieszy się Deewan. Posypały się wyróżnienia i nagrody, m.in. z ministerstwa gospodarki, wysokie pozycje na prestiżowych listach „Młodego Przedsiębiorcy", Nagroda Mingo dla kreatywnego przedsiębiorcy, Preis der Wiener Vielfalt w 2013 r., nagroda za wzbogacanie wiedeńskiej różnorodności.

– Na początku naszymi klientami byli studenci i wiedeńczycy, teraz mamy klientelę z całego świata. Czujemy, że musimy pomyśleć o pracujących kobietach, dlatego chcemy pokryć cały Wiedeń naszymi restauracjami i dostarczać do domów dobre jedzenie po przystępnych cenach, właśnie

FOT. NATALIE DEEWAN

eprasa.pl 213724a6c4

zaczynamy to robić – opowiada Afzaal Deewan.

Oczywiście bywają klienci, którym jedzenie nie smakuje. – Widocznie to nie jego smak, to może być kwestia jednej przyprawy. Pamiętam młodego człowieka z Ukrainy, który po jednej łyżce kompletnie nie zaakceptował smaku pakistańskiej kuchni. Ja mam tak z zieloną pietruszką – śmieje się Afzaal.

100 euro – w porządku

Praktyka pwYw w lokalach? Ludzie znają ceny fast foodów chińskich czy innych, więc za osobę płaci się zwykle 7, 8, 10 euro, za dwie osoby często 15 euro, za dowolne porcje jedzenia. Bywa, że ktoś przychodzi regularnie i płaci swoją działkę, czasem pojawia się i mówi, że nie ma pieniędzy. Słyszy: OK, siadaj, jedz. – Jesteśmy szczęśliwcami, mamy taką klientelę, że każdy dokłada się do naszego biznesu. Znaleźliśmy się w grupie 1% przedsiębiorców, którzy płacą najwyższą, 50-procentową stawkę podatkową. Od początku zatrudniamy legalnie pracowników, płacimy im najlepsze stawki z austriackich, nie pakistańskich restauracji, płacimy wszystkie podatki, ubezpieczenia, rejestrujemy każdą sprzedaż, wydajemy z kasy odcinki. Zamykamy lokale na wakacje letnie i zimowe, ludzie mają urlopy i wszystkie dodatkowe korzyści, jak państwowi urzędnicy – wylicza przedsiębiorca rodem z Pakistanu.

Wspominają młodych chłopców, 16-17 lat. – Jedli, próbowali, smakowali, po raz pierwszy mieli kontakt z taką kuchnią. Wychodzą, dziękują i zostawiają 100 euro. Pytam, ile, a oni: Passt schön (w porządku), jesteśmy szczęśliwi, że znaleźliśmy takie miejsce, takie jedzenie.

Inni klienci czasem dają po 3-5 euro. Ktoś starszy zostawia 50 euro, mówi, że to za tych młodych, co nie mają. – To nie zdarza się często, ale bywa, że pojedyncze osoby zostawiają 15-20 euro jako zachętę dla naszej pracy. Nie spada nam dochód, nie jesteśmy znudzeni – przyznają państwo Deewan. Po 14 latach trochę mniej pracują, po 10-11 godzin dziennie, a nie 15, jak wcześniej.

Podczas kryzysu uchodźczego w Austrii włączali się w pomoc. – Trochę ludzi dało pieniądze, a my gotowaliśmy przez kilka miesięcy dla uchodźców w obozie – mówi Afzaal.

Czy ktoś powiela ich pomysł? Owszem, zgłaszają się ciekawi, chętni. Deewan pokazuje im, jak i co robią, jak to funkcjonuje, dzieli się doświadczeniem. I przepisami. – Powinni je znać, dla siebie, dla świata. Przecież jeśli umrę, ta recepta umrze ze mną. Nie możesz wziąć niczego po śmierci ze sobą, lepiej się tym podzielić. Nie jesteśmy tu po to, żeby brać dla siebie, ale żeby coś robić dla innych, wtedy przeżyjemy w pamięci – kończy naszą rozmowę.

Nie było mi łatwo zdecydować, ile zapłacić, to okazało się wyzwaniem. Jedzenie w Wiener Deewan (i pozostałych dwóch) znakomite. Uwielbiam deser halva, ten na mleku. I uśmiech kucharza z Leopoldstädter Deewan.

Beata Dżon-Ozimek

W bieżącym numerze także:

José António García Simon, Jaime Vindel
Hiszpania głosuje, Podemos wątpi

Léonce Ndikumana
Globalny system podatkowy?

Raúl Zibechi
Czego chcą wojskowi brazylijscy?

Piotr Cichocki
Rozporządzenia jak harwestery

Nick Srnicek, Alex Williams
Wprowadzenie do polityki folkowej

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 213724a6c4

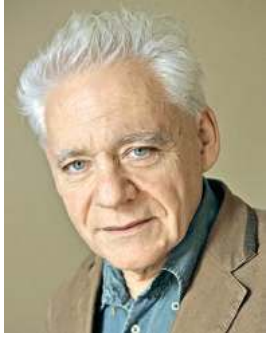

Oko w oko Tomasz Jastrun

Światło i mrok

Jeśli nauczyciele przegrają swój strajk, zostaną upokorzeni. Za upokorzenie płaci się różnymi formami depresji, jej ofiarą padną pośrednio nasze dzieci.

Jadę do Legnicy, mam spotkanie w tamtejszej bibliotece, tematem jest właśnie depresja i moja książka o niej. Inspiratorką spotkania była uczennica miejscowego liceum, sama ma poważny problem z depresją, która szerzy się wśród dzieci i młodzieży. Dziewczyna wygląda jak anioł, a ma w sobie ukryte piekło.

Nigdy nie byłem w Legnicy. Ładne fragmenty starego miasta, potężny barokowy kościół, kilka neogotyckich ze strzelistymi wieżami, ale centrum miasta zepsute przez architekturę z czasów PRL, wznoszoną w miejscu wyburzanych starych kamieniczek. Biblioteka w pięknym neogotyckim budynku przedwojennej niemieckiej masonerii. Jak zawsze w mniejszych miastach dobra i liczna publiczność, jak zwykle średnia wieku wysoka, młodzi już nie przychodzą na spotkania autorskie.

Z moich licznych w ostatnim czasie spotkań z bibliotekarzami wynika, że to środowisko w przygniatającej większości, podobnie jak nauczycielskie, jest antypisowskie. A może po prostu taka jest polska inteligencja. Zaskakuje skala emocji, ale przecież moje też są wielkie.

•

Często dręczą mnie sny, że gdzieś się gubię, nie nadążam, spóźniam się. I oto uciekł mi pociąg z Warszawy do Wrocławia, gdzie miałem przesiadkę w drodze do Legnicy. Nie pamiętam, by mi kiedyś uciekł pociąg. Nie przejąłem się tym za bardzo, najwyższy czas nie przejmować się głupstwami, do tej pory nie byłem w tym mocny. Ale trzeba przyznać, że sprzyjały mi okoliczności, miałem za godzinę następny pociąg, więc nie groziło mi spóźnienie na spotkanie. W drodze powrotnej powtórka sytuacji – ucieka mi pociąg z Legnicy do Wrocławia, wina kasjerki, ale teraz już tracę pogodę ducha. Jadę innym, zdawało się, że bez szans, by złapać ten do Warszawy. Wtedy podchodzi do mnie młody człowiek, który słyszał moją rozmowę z konduktorem, wyjmuje z kieszeni rozkład jazdy i oblicza, że złapię swój pociąg do stolicy, jeśli wysiądę na najbliższej stacji. Okazuje się, że od dziecka pasjonuje się pociągami, to jego mania, nie rozstaje się z rozkładem jazdy. Chociaż tu dziecinny, okazał się człowiekiem rozgarniętym, oczytanym i inteligentnym, a jego pasja była dla mnie szczęśliwa, bo złapałem swój pociąg. Próbuję wybadać, jakie ma poglądy polityczne, okazuje się, że nie ma żadnych, zupełnie nie interesuje go ta sfera. Takich ludzi jest więcej, niż zdaje się nam, uwikłanym w polityczne emocje. A tego dnia same miłe gesty ze strony ludzi, jakby los uparł się, by mnie tym obdarzać.

•

W pociągu czytam świetną książkę Macieja Zaremby Bielawskiego „Dom z dwiema wieżami". Byliśmy blisko, gdy mieszkałem w Szwecji, nadal mamy serdeczne kontakty. Maciek, mój równolatek, wyjechał z Polski w 1968 r., miał wtedy 18 lat. Stał się teraz najbardziej cenionym szwedzkim publicystą i eseistą. Pisze tylko po szwedzku, po polsku mu trudno, za to mówi znakomicie, ze swadą i wdziękiem. W książkach ujawnia i opisuje ukryte szwedzkie grzechy polityczne i społeczne, z talentem i wnikliwie. A okazało się, że Szwecja – jak każdy kraj, jak każdy człowiek – ma swoje mroczne piwnice. Tylko tam jest większy kontrast między piękną fasadą a tyłami. Ostatnia jego książka to opowieść rodzinna, losy rodziców, ojciec to korzeń szlachecki, matka żydowski. Jest w tej opowieści polski los, jest światło i mrok, wiele mroku. Książka, jak wszystkie Bielawskiego, pisana jest precyzyjnie, wnikliwie, a zarazem z poetyckim talentem. Niezwykłe połączenie.

•

„Nie ustaniemy, aż nie doprowadzimy do pełnego oczyszczenia Polski z ludzi, którzy nie są godni należeć do naszej wspólnoty narodowej", mówił naczelny bankier PiS, senator Grzegorz Bierecki, w Białej Podlaskiej. Tłumaczył się potem, że ta głęboka myśl została wyrwana z kontekstu. Ale przecież kontekstem jest PiS, ideologia tej partii i szczucie wszystkich na wszystkich. To jest kontekst i nawet gdyby ktoś chciał wyrwać te słowa z tego kontekstu, one się wyrwać nie dadzą.

Kaczyński, w psuciu, straszeniu i judzeniu strateg genialny, nagle wyciąga sprawę euro.

•

Kaczyński, w psuciu, straszeniu i judzeniu strateg genialny, nagle wyciąga sprawę euro, grzmi z trybuny, że „nie!" dla euro dla Polski, a opozycja chce obcej waluty. Jak opozycja dojdzie do władzy, ściągnie do Polski zarazę euro i wszyscy popadniemy w biedę.

•

Moja przyjaciółka z Izraela po wyborach pisze: „Wyniki straszne, okropna ortodoksja i prawica". Czy napiszę jej to samo po polskich wyborach?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 213724a6c4

Hemingway kpi sobie z embarga

Wbrew jastrzębiej polityce Trumpa dzięki kubańsko-amerykańskiej współpracy otwarto w Hawanie archiwum poświęcone nobliście

Hemingway (nz. z żoną Mary Welsh) w Finca Vigía mieszkał od 1940 r. do lipca 1960 r.

Lech Miodek

Zacznę od wiadomości dotyczącej nie Ernesta Hemingwaya, ale relacji amerykańsko-kubańskich. Występując przed parlamentem 10 kwietnia, I sekretarz Komunistycznej Partii Kuby Raúl Castro stwierdził: „Obserwujemy coraz bardziej zagrażający Kubie ton rządu Stanów Zjednoczonych. (...) Zacieśnianie blokady i stosowanie ustawy Helmsa-Burtona oznacza powrót do dawnej tęsknoty do obalenia rewolucji kubańskiej drogą zaduszenia gospodarczego i biedy". Dwa dni wcześniej Biały Dom anulował porozumienie zawarte między profesjonalną ligą bejsbolu USA (MLB) i kubańską federacją bejsbolu, na podstawie którego kluby amerykańskie mogły zatrudniać graczy kubańskich (swego czasu grę w Stanach Zjednoczonych zaproponowano młodemu Fidelowi Castro). Porozumienie to, uznawane za historyczne, zaczęło się rodzić trzy lata temu, za rządów Baracka Obamy, i zostało podpisane w grudniu 2018 r. Teraz Donald Trump je zerwał.

W relacjach kubańsko-amerykańskich w ostatnim czasie są jednak również jaśniejsze momenty. W kwietniu w Finca Vigía (zwanej też La Vigía), dawnej willi Ernesta Hemingwaya w Hawanie, otwarto nowoczesne archiwum. To efekt współpracy instytucji amerykańskich i kubańskich, która rozpoczęła się w 2002 r. od podpisania porozumienia między władzami Kuby i amerykańską Fundacją Finca Vigía w sprawie zachowania pamięci o Hemingwayu na Kubie. Zgodnie z tym dokumentem odnowiono willę i jacht „Pilar", z którego pisarz wędkował w zatoce opodal miasteczka Cojímar. Następnym krokiem była podpisana przez Kubę umowa z amerykańską Radą ds. Nauk Społecznych o digitalizacji tysięcy dokumentów, otrzymanych m.in. od darczyńców. Wszystko to doprowadziło do otwarcia archiwum. I tak, kiedy Stany Zjednoczone zaostrzają embargo skierowane przeciw Kubie, Hemingway, który łowił ryby z Fidelem Castro, buduje mosty między obu państwami.

W Finca Vigía amerykański pisarz mieszkał od 1940 r. do lipca 1960 r. Po jego śmierci wdowa po Hemingwayu, Mary Welsh, przekazała posiadłość rządowi kubańskiemu, który otworzył w niej muzeum jego twórczości.

Miałem okazję wielokrotnie przebywać w La Vigíi i rozmawiać z sekretarzem pisarza. W tym do-

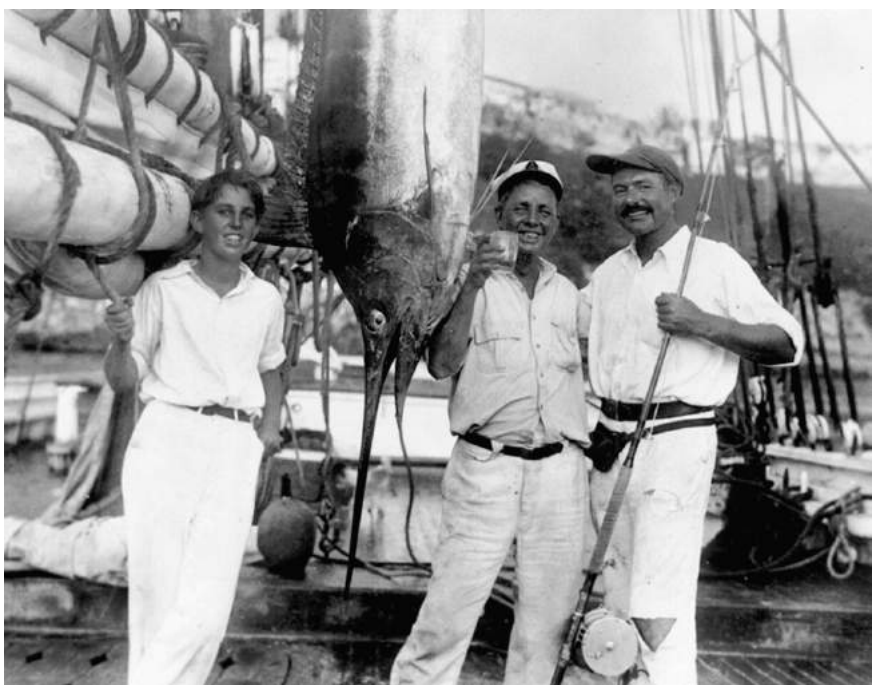

Joe Russell i Ernest Hemingway (z prawej) ze złowionym marlinem.

FOT. IMAGES/EAST NEWS, WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 213724a6c4

mu, w pokoiczku przy sypialni, w 1951 r. Hemingway napisał opowiadanie „Stary człowiek i morze". Dwa lata później otrzymał wiadomość o przyznaniu mu Nobla. Odwiedzało go w Hawanie mnóstwo gości, m.in. gwiazdy amerykańskiego filmu – Ava Gardner, Cary Grant i Spencer Tracy. Po śmierci noblisty willa stała się miejscem pielgrzymek Amerykanów.

Dziś w Finca Vigía przechowywane są tysiące dokumentów i listów, w tym manuskrypty niektórych prac noblisty, choćby epilog do „Komu bije dzwon", który różni się od wersji opublikowanej, czy scenariusz filmu „Stary człowiek i morze" ze Spencerem Tracym, w niektórych sekwencjach skrytykowany i poprawiony przez Hemingwaya. Jest tam też ponad 3 tys. fotografii, m.in. ze Spencerem Tracym i Avą Gardner, którą zapraszał do baru Floridita na daiquiri. Są teksty udzielonych przez pisarza wywiadów. W jednym z nich wyznaje: „Mieszkam na tej wyspie, bo żeby pójść do miasta, nie potrzebuję zakładać pantofli (ulubionych mokasynów, Hemingway często chodził na bosaka – przyp. LM), bo w rześkości poranka pracuje się lepiej i wygodniej niż gdzie indziej". Jedne z cenniejszych pamiątek to paszport używany przez Hemingwaya w czasie wojny domowej w Hiszpanii (1936-1939), a także szyfry, które stosował, wysyłając z jachtu „Pilar" informacje o ruchach niemieckich łodzi podwodnych na wodach kubańskich w czasie II wojny światowej.

Zostały w Hawanie używana przez pisarza stara maszyna do pisania Underwood, jego trofea z polowań w Afryce, w połowie wypita butelka whisky i płyta Glenna Millera, którą pozostawił na gramofonie w chwili wyjazdu. W łazience, obok sedesu, na półkach można znaleźć wielotematyczną literaturę. Na podłodze stoi waga, a na ścianie widać zapiski pisarza: np. 14 kwietnia 1955 r. – 240 lb, czyli 109 kg. Ostatni został zrobiony w przeddzień wyjazdu z Kuby: 24 lipca 1960 r. – 190 lb (86 kg). Rok później, już w USA, Hemingway popełnił samobójstwo.

W czasie uroczystości otwarcia archiwum w Hawanie przewodnicząca Fundacji Finca Vigía Mary-Jo Adams przypomniała, że projekt udało się zrealizować dzięki pomocy finansowej American Express, AT&T, Caterpillar, Fundacji Forda i wnuków Maksa Perkinsa, wydawcy dzieł Hemingwaya. Mówiła: „Budynek ten to owoc współpracy ludzi dobrej woli po obu stronach. Mamy nadzieję, że stanie się on modelem dla przyszłych wspólnych wysiłków Kubańczyków i Amerykanów". Kongresmen James McGovern z Partii Demokratycznej ubolewał: „Mamy nowy rząd, który w polityce zbliżenia stawia kolejne kroki do tyłu, woli konfrontację od kompromisu. Marzy o powrocie do okresu zimnej wojny".

Mieszkam na tej wyspie, bo żeby pójść do miasta, nie potrzebuję zakładać pantofli.

Ale kiedy Trump zaostrza stosunki z Kubą, w Finca Vigía zaczął się nowy etap prac. Digitalizowane są wartościowe dokumenty, np. dziennik z „Pilar", w którym Hemingway odnotował wagę i długość ostatniego złowionego przez niego marlina, by służyć badaczom i zachwycać zwiedzających. ■

eprasa.pl 213724a6c4

Kilka żmij się znajdzie

Niektórzy artyści być może nie chcą albo boją się publicznie wypowiadać – to ich prawo. Żyjemy w wolnym kraju

Rozmawia Artur Zaborski

KASIA ADAMIK
– reżyserka, scenarzystka i producentka filmowa

Jak się bawiłaś na gali Oscarów w Los Angeles?

– Bardzo dobrze. Było kilka pięknych momentów, jak ten, gdy Lady Gaga i Bradley Cooper zaśpiewali piosenkę z filmu „Narodziny gwiazdy". W telewizji nie można było zobaczyć – akurat emitowali reklamy – jak dostają owację na stojąco. Lady Gaga się wtedy popłakała. To było bardzo wzruszające.

Jesteś fanką takich imprez? Dla wielu artystów są obowiązkiem, a nie czymś oczekiwanym.

– Zawsze oglądam ceremonię. W ostatnich kilkunastu latach przegapiłam ją tylko raz, kiedy miałam nocne zdjęcia do swojego filmu. Jeszcze na długo zanim zaczęłam kręcić, spędzałam noc oscarową przed telewizorem. Najfajniejsza jest jednak gala nagród Tony, na której artyści wykonują numery musicalowe. Niestety, nie jest emitowana w Europie.

Polskie gale też cię kręcą?

– Nasze nie są aż tak dobrze zrobione. W USA prowadzący trenują cztery miesiące przed ceremonią, u nas jest jedna próba dzień przed, więc nie ma możliwości, żeby stały na zbliżonym poziomie. Ale też je lubię. Są świętem kina, pretekstem, żeby się spotkać i wyróżnić tych, którzy w minionym sezonie na to zasłużyli.

Wielu uważa, że nagrodami w polskim przemyśle filmowym rządzi układ, którego członkowie nagradzają sami siebie.

– Kompletna bzdura. Oczywiście, że w konkursach decyzje jurorów mogą być uwarunkowane sympatiami i antypatiami, ale to przecież zawsze jest subiektywny wybór, niezależnie od szerokości geograficznej. Tak samo to wygląda w Polsce, w USA i w Japonii. Jurorzy wybierają podług własnych gustów i światopoglądu. Nie ma czegoś takiego jak obiektywny werdykt. Główne nagrody w polskim świecie filmowym, czyli Orły, tak samo jak Oscary, przyznaje na tyle szerokie grono akademików, że są bardziej nagrodami popularności niż jakości. Chodzi jednak nie o to, kto wygrywa, tylko o to, że w ten sposób promuje się polskie kino i świętuje jego osiągnięcia. Lubię się spotkać z kolegami po fachu i porozmawiać o tym, co nakręciliśmy i co obejrzeliśmy.

Co się pojawia w takich rozmowach?

– Jestem ciekawska, więc najczęściej podpytuję o detale, zwłaszcza kiedy coś mi się spodoba u innych twórców, chcę z nich wyciągnąć, jak to zrobili.

Filmowcy dzielą się z tobą tajemnicami?

– Dlaczego mieliby tego nie robić?

Wiesz, co się mówi o środowisku – że jest pełne żmij.

– Możliwe, że i kilka żmij się znajdzie, bo to zależy od osobowości. Ale to artyści. Nie chodzi o to, żeby byli mili, mają być ciekawi i powinni umieć prowokować.

Zazdroszczą ci?

– Czego?

Nie ma u nas drugiej osoby, która ma na koncie reżyserię seriali dla Netfliksa, HBO i Sony – AXN właśnie emituje „Absentię".

– Agnieszka Smoczyńska może się pochwalić podobnymi osiągnięciami – właśnie kręci serial „Warrior Nun" dla Netfliksa w Hiszpanii. To będzie coś niesamowitego!

Uważasz, że to symptomatyczne dla czasów, w których żyjemy, że takimi osiągnięciami mogą się pochwalić kobiety?

– Co ci będę mówić, jesteśmy po prostu zajebiste! (śmiech). Do „Absentii" trafiłam właściwie mimochodem. Mam agenta, który chciał znaleźć mi projekt, w którym bym się dobrze czuła. Producenci „Absentii" obejrzeli Netfliksowy „1983", który współreżyserowałam, i mój film „Amok" i pomyśleli, że odnajdę się w ich serialu. Rzeczywiście nie musiałam się wyginać, żeby wejść w styl thrillera psychologicznego, który nie jest mi obcy. Scenariusz mnie zachwycił.

Co cię w nim ujęło?

– Trauma jako punkt wyjścia. Stana Katic stworzyła ciekawą postać Emily Byrne, agentki FBI, która jest okaleczona, poharatana, właściwie rozpada się w rękach, jest wrakiem, a jednocześnie ma niesamowitą siłę przeżycia. Jest pełna kontrastów i sprzeczności. Kiedy w pierwszym sezonie zaginęła, pozostałe postacie pogodziły się z jej odejściem. Gdy wraca na łono rodziny, okazuje się, że za późno. Teraz syn znalazł matkę w nowej partnerce ojca. W drugim sezonie Emily buduje siebie na nowo ze strzępków starej tożsamości, próbuje odzyskać normalność, co utrudniają jej wydarzenia wokół, m.in. atak terrorystyczny.

To komentarz do naszej niespokojnej rzeczywistości?

– Każdy serial, nawet ten sensacyjny, jest próbą adekwatnego komentarza do tu i teraz, co umożliwia widzowi lepszą identyfikację z bohaterem.

Wplotłaś jakiś komentarz do sytuacji Polski?

– W takiej produkcji reżyserzy mają możliwość jedynie minimalnego ingerowania w tekst. Oczywiście w czasie prób z aktorami zmieniamy

eprasa.pl 213724a6c4

Kasia Adamik na planie serialu „Absentia".

Stana Katic stworzyła ciekawą postać agentki FBI.

dialogi i wskazujemy inne rozwiązania dramaturgiczne, ale to niewielkie modyfikacje w stosunku do scenariusza, nad którym przez długi czas pracował sztab ludzi. „Absentia" jest mocno przefiltrowana przez doświadczenia Emily, przez to, jak ona widzi świat, co czuje, jak sobie radzi z rzeczywistością. Ten subiektywizm trzeba było jakoś pokazać, m.in. przez jej wizje, wspomnienia, koszmary i sny. Ona czasem kompletnie odcina się od świata i wchodzi do swojej głowy, co trzeba jakoś na ekranie oddać. I tu miałam pole do popisu, bo znalezienie tego sposobu leżało w gestii reżysera, scenografa i operatora.

I jak wybrnęłaś?

– Zależało mi, żeby wydobyć to, jak bardzo złożona jest jej sytuacja. Podkreśliłam mrok, którego ona ma w sobie dużo. Pokazałam jej wybory, decyzje i zachowania tak, że widz nie musi się z nimi zgadzać, ale wybacza je jej, bo jest ofiarą, bardzo dużo przeszła.

Ofiarom wybaczamy więcej?

– Przeciwnie, co udowodniła sytuacja z mężczyznami molestowanymi w dzieciństwie przez Michaela Jacksona. Dyskusja na ten temat pokazała, jak lubujemy się w atakowaniu ofiar, wywoływaniu w nich poczucia winy, podważaniu ich zeznań. Nie dziwię się, że ludzie nie chcą mówić o swojej krzywdzie, skoro widzą, jak osoby, które się na to zdecydowały, są szkalowane w mediach społecznościowych, wyśmiewane, oskarżane o kłamstwo i chęć łatwego zarobku. Widziałam nawet groźby pod adresem ofiar Jacksona. O ostracyzmie społecznym nie chcę nawet wspominać. Dla ofiary nie ma nic gorszego niż odwracające się od niej środowisko i opinia publiczna, tak jak w przypadku pedofilii w Kościele. Dlatego tak ważne są takie seriale jak „Absentia". Wierzę, że mogą one dać siłę ofiarom.

Ty czerpałaś siłę z seriali?

– Oczywiście, od zawsze byłam ich fanką. Już w dzieciństwie połykałam całe sezony. Najciekawiej było pod koniec lat 90., kiedy seriale zrobiły się naprawdę fajne – wyszły z telewizyjnego opowiadania, stały się bardziej mroczne, ambitne i oryginalne. Dzisiaj są ciekawsze niż filmy.

Dlaczego?

– Są inaczej finansowane. W kinie wciąż najważniejszy jest zysk z biletów. To przełożenie jeden do jednego. Im droższy film robisz, tym bardziej nie chcesz ryzykować, że się nie sprzeda, powielasz schematy, korzystasz z szablonów. W HBO, Sony czy Netfliksie oglądalność jest ważna, ale chodzi o to, ile osób wykupi subskrypcję, a nie ile obejrzy dany odcinek, dlatego tam mogą sobie pozwolić na odważniejsze produkcje.

W HBO, Netfliksie i Sony jest w ogóle miejsce na indywidualność czy trzeba iść na kompromisy?

– Kompromisy są zawsze częścią tworzenia, niezależnie od medium. Filmy i seriale robi tak duże grono ludzi, że efekt nigdy nie jest dokładnie taki, jak sobie wyobrazisz. Zwłaszcza przy „Absentii", gdzie weszłam jako reżyser ostatniej transzy, czyli trzech finałowych odcinków, zastałam już wykreowany świat, w którym musiałam się odnaleźć. Ale już świat z „1983" wymyślałyśmy z Agnieszką Holland, Olgą Chajdas i Agnieszką Smoczyńską same. My nie musiałyśmy sobie niczego udowadniać, pracowałyśmy jako komitywa, paczka. Czasem się kłóciłyśmy, ale to były kreatywne kłótnie, coś z nich zawsze wynikało. Nie było między nami kogutów, które musiały piać najgłośniej. Grałyśmy do wspólnej bramki.

Nie musisz nikomu nic udowadniać?

– Nie muszę. Sama siebie wystarczająco stresuję, kiedy przychodzę na nowy plan. Gdy muszę znaleźć styl opowiadania, zastanawiam się, czy sobie z tym poradzę. To walka ze sobą, a nie udowadnianie czegoś innym.

Każdy serial, nawet sensacyjny, jest próbą komentarza do tu i teraz.

Kasia Adamik – ur. w 1972 r., córka reżyserów, Agnieszki Holland i Laco Adamika, absolwentka paryskiej Akademii Sztuk Pięknych i Institut Saint-Luc w Brukseli. Z Agnieszką Holland pracowała przy filmach polskich i amerykańskich (m.in. „Placu Waszyngtona" i „Trzecim cudzie"). Ma na koncie współpracę z Bazem Luhrmannem („Romeo i Julia", 1996), Jonathanem Demme'em („Pokochać", 1998), Luisem Mandokim („Oczy anioła", 2001) i Scottem Hicksem („Kraina wiecznego szczęścia", 2001). Jej reżyserskim debiutem było „Boisko bezdomnych". Jako pierwsza polska reżyserka kręciła seriale dla HBO („Wataha"), Netfliksa („1983") i Sony („Absentia" emitowany przez AXN).

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MAT. PRASOWE

eprasa.pl 213724a6c4

Na planie „Absentii" stres był większy?

– Ten plan był niby kompletnie inny, a jednak taki sam. Z każdym projektem tak jest. Praca przy „1983", przy „Watasze" i „Absentii" to zupełnie inne doświadczenia, ponieważ te seriale mają inną atmosferę i są realizowane w innych geograficznych wyzwaniach.

A podejście do kobiety na krześle reżyserskim jest inne w produkcji amerykańskiej?

– To troszeczkę inaczej, gdy wchodzisz do ekipy, która przez pierwszy sezon zdążyła się ze sobą zżyć. Przez pierwsze kilka dni na każdą nową osobę patrzą spode łba, niezależnie od tego, czy jesteś kobietą, czy mężczyzną. Bardzo szybko jednak te wątpliwości się rozwiały, bo Bułgarzy są niezwykle profesjonalni. Od lat mają zachęty finansowe dla amerykańskich producentów, więc zdążyli się wyspecjalizować w pracy dla Hollywood.

W Polsce niedawno rząd też w końcu podpisał ustawę o zachętach.

– Rychło w czas. Nasze zniżki nie są jednak aż tak atrakcyjne jak w Bułgarii albo w Czechach, gdzie można sobie odliczać preprodukcję i biura od podatku. Tym, co Sofia ma, a my nie zbudowaliśmy – czego bardzo żałuję, bo był taki moment, że mogliśmy to zrobić – są prawdziwe studia filmowe. Przestrzeń, gdzie miały one stanąć w Polsce, sprzedaliśmy deweloperom, którzy zbudowali tam bloki mieszkalne. W Sofii mają natomiast budynki, które udają i Nowy Jork, i antyczny Rzym, gdzie kręcono „Spartakusa" i seriale *peplum.* Tam da się zaadaptować wszystko na potrzeby produkcji amerykańskiej.

U nas takich nie można wybudować?

– To ogromna inwestycja. Musiałby przyjechać „Harry Potter" albo jakaś inna wielka produkcja i postawić coś podobnie spektakularnego. W Bułgarii też nie wybudowali miasteczka od razu, tylko każda kolejna produkcja coś dokładała, rozbudowywała. Mam nadzieję, że podpisanie ustawy o zachętach uruchomi nasze ekipy, bo mamy specjalistów na hollywoodzkim poziomie.

Ustawa była długą walką środowiska filmowego. Uważasz, że ono zdaje egzamin jako wspierająca się grupa zawodowa?

– Wydaje mi się, że strajk w obronie PISF w 2017 r. był na to dowodem. Oczywiście trzeba pamiętać, że filmowcy to bardzo zajęci ludzie. Sama przegapiłam 50. urodziny kuzyna, bo kręciłam w Bieszczadach trzeci sezon „Watahy". Jeździmy po festiwalach, kręcimy filmy, naprawdę brakuje nam czasu, żeby zwoływać kolejne zebrania. Mamy teraz projekt z czterema reżyserkami filmu – erotycznej antologii kobiecej. Bardzo to będzie fajne, ale jest problem, żeby w czwórkę się spotkać. To graniczy z cudem! Od pół roku nam się nie udaje.

Czyli jest praca – dobrze!

– Tylko się cieszyć, ale trzeba zrozumieć, jak jest czasochłonna. Aktorzy są jeszcze bardziej zajęci.

Czyli to, że nie każdy zabrał głos w obronie PISF, nie znaczy, że środowisko jest zachowawcze?

– Niektórzy być może nie chcą albo boją się wypowiadać – to jest absolutnie ich prawo. Żyjemy w wolnym kraju. Są też artyści, którzy nie chcą zabierać głosu publicznie, bo mają medium i z jego pomocą się wypowiadają.

A ty jak wolisz?

– Wolę przez to, co robię. Nie czuję się dobrze po drugiej stronie kamery ani w świetle reflektorów. To dla mnie zawsze niekomfortowa sytuacja. A niektórzy to uwielbiają. Wszystko zależy od osobowości. Ale konsolidacja środowiska jest ważna nie tylko ze względów politycznych, lecz przede wszystkim z powodu pracy – żeby wypracować system zawodowy.

Czyli uważasz, że u nas stopień zaangażowania filmowców w walkę o idee jest OK?

– Sytuacja w kraju jest bardzo trudna. Kiedy ktoś zaczyna palić książki na publicznym placu, to już jest bicie na alarm. Trzeba się zainteresować tym, co się dzieje w naszym kraju oraz w życiu politycznym, i artyści powinni to robić.

Czy do palenia książek o Harrym Potterze można w ogóle podejść poważnie?

– Trudno o coś poważniejszego. Dużo ludzi czuje bezradność. Reakcje nie są szczególnie mądre, głównie są emocjonalne. Można albo płakać i się denerwować, albo co innego zrobić? Chyba tylko iść i głosować. Do czasu wyborów zostaje oglądanie seriali.

Dużo ich przyswajasz?

– Do niedawna nie mogłam niczego oglądać w Bieszczadach, bo tam nie działał dobrze internet. Teraz w końcu podciągnęli światłowód. W ogóle to miejsce się zmieniło, odkąd tam weszliśmy z ekipą. Teraz jest już nawet piwo Wataha, można też pojechać na wycieczkę śladami planu.

„Wataha" na pewno zapisze się w historii polskich seriali. A które zapisały się w twojej prywatnej historii?

– Pierwszym nowatorskim serialem pod względem opowiadania był „Ostry dyżur", w którym pierwszy raz użyto steadicamu (systemu stabilizacji kamery) w opowiadaniu telewizyjnym i zbudowano niesamowite postacie, przynajmniej w pierwszych dwóch sezonach. Kręcili to wybitni reżyserzy: Mimi Leder, Spike Lee, a nawet Quentin Tarantino. Potem był „Prezydencki poker", genialnie napisany. Następnie „Battlestar Galactica" – arcydzieło pod każdym względem, dalej „Prawo ulicy", a teraz „Gra o tron".

Lubujemy się w atakowaniu ofiar, wywoływaniu w nich poczucia winy, podważaniu ich zeznań.

Twoja mama Agnieszka Holland kręciła kilka odcinków „Prawa ulicy".

– Pojechałam z nią na plan! Byłam już wielką fanką serialu, więc to bardzo podniecające.

Czekasz na finał „Gry o tron"?

– Bardzo, ale poczekam, aż będą dostępne wszystkie odcinki, bo nie wyobrażam sobie oglądania jednego tygodniowo. Myślę, że HBO wkrótce będzie wrzucać całe sezony naraz.

Oglądasz sama czy w towarzystwie?

– Z Olgą, moją partnerką. Ostatnio jednak tak mało się widziałyśmy, że musiałyśmy oglądać wspólne seriale same. Obejrzałam „Chilling Adventures of Sabrina", świetnie zrobiony, zwłaszcza wizualnie, z kapitalnymi aktorami. Bardzo też mi się podobało „Sex Education". Niestety, jestem do tyłu, jeśli chodzi o produkcje HBO, bo nie mogę zainstalować na swoim iPadzie HBO GO i to już jest wykluczenie cyfrowe! Mam mnóstwo do nadrobienia!

Artur Zaborski

eprasa.pl 213724a6c4

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Przyczynek do onomastyki polskiej

Z pomnikowego „Słownika nazwisk współcześnie w Polsce używanych" Kazimierza Rymuta dowiadujemy się, że zamieszkuje w kraju 38 290 obywateli noszących nazwisko Duda (w czym mieszczą się oczywiście Dudowe, Dudówny i inne odmiany rodzinne). Najwięcej jest Dudów w Krakowie, Tarnowie i okolicach, ale znajdą się nawet na Suwalszczyźnie, co pozwala wpisać ich pomiędzy gatunki ogólnopolskie.

Wbrew pozorom miano osobowe Duda nie pochodzi od ludowego aerofonu stroikowego, zwanego też kozłem, bąkiem lub gajdami, ale bardziej po ludzku od określenia lichego grajka, fałszującego muzykanta, cymbała, fujary, głupca (*vide* „Słownik języka polskiego" pod redakcją Witolda Doroszewskiego i „Nazwiska Polaków" Kazimierza Rymuta). Mówi np. bohater „Cudzoziemczyzny" Aleksandra Fredry: „Młody śmieje się w duszy, drwinki sobie stroi, a stary kiwa głową i jak duda stoi". W „Zabobonniku" Franciszka Zabłockiego znajdujemy z kolei: „A ty smorgońska dudo! znaj, żem z ciebie drwiła". Zresztą badając pochodzenie nazwisk, na niemałe natrafiamy niespodzianki. Na przykład Kaczyński (11 188 osobników w Polsce) nie ma nic wspólnego z utrwalonym już w języku narodowym kaczorem – bierze się z kaczania, czyli taczania się, przewracania, chlapania wodą, drażnienia. Tylko kaczydło, czyli bajoro, zbliża Kaczyńskich do ptaków wodnych („Słownik etymologiczny języka polskiego" Aleksandra Brücknera). Kukiz (tylko 50 osób w Polsce, najwięcej w Wałbrzychu) wprawdzie od kukania pochodzi, ale raczej nie kukułczego, tylko od kukać – narzekać, być w marnej sytuacji. Biedroń (1636 egzemplarzy między Odrą a Bugiem) to w niektórych dialektach ludowych męska wersja biedronki siedmiokropkowej (*Coccinella septempunctata*), odnotowana przez Oskara Kolberga, albo pstry byk („Słownik etymologiczny języka polskiego" Franciszka Sławskiego). Z Morawieckimi (sztuk 385) spore kłopoty. Najczęściej nazwiska od krain i dużych miast nadawano przechrztom (Jan S. Bystroń, „Nazwiska polskie"). Istnieją jednak w Polsce dwie wsie Morawice. Jedna zaledwie 4 km od krakowskiego lotniska Balice, druga pod Kielcami, przy drodze na Pińczów, bogata w zespół dworski z XIX w. Ich dziedzice mogli też nosić miana przypominające o posiadanym majątku. Same Morawice pochodzą od morawy – terenu podmokłego, podobnie jak czeskie Morawy, ale to już od Morawieckich rzecz odległa.

Wspomnieliśmy, że Kukizów w Rzeczypospolitej tylko 50. Owa elitarność jest wśród polityków naszych wręcz powszechna. Wprawdzie Kosiniaków żyje w ojczyźnie 126, a Kamyszów aż 426, ale Kosiniaków-Kamyszów jest już ledwie 10. Giertychów mamy 73 – prawie wszystkich z Wielkopolski, Macierewiczów – 31, przeważnie warszawiaków, Jakich – 16, w tym sześciu z Opola, Czaputowiczów – 13. Z tej perspektywy 720 Tusków to już potęga, chociaż 15,5 razy mniej niż Kaczyńskich, 53 razy mniej niż Dudów, a nawet prawie cztery razy mniej niż Szydeł i trzy razy niż Ziobrów, czyli żeber. Cóż dopiero mówić o trzech tylko w całej Polsce Kennedych i Newtonach, dwóch Achillesach, Mahometach, Molierach, Neronach i Carterach... Ale nawet zupełnie osamotniony Kasandra w okolicach Warszawy, Bonaparte w Zielonogórskiem, Casanova w Bielskiem czy Gagarin w Chełmskiem to jeszcze coś wobec Schetyny.

Nikogo bowiem takiego jak Schetyna w Rzeczypospolitej nie ma, po prostu nie ma. Jest jeden Szetyna w Częstochowskiem, 55 Szetyńskich, dwóch Setterów, jeden Setonowicz, 15 Schererów, 16 Schewiorów, 33 Schewów i osamotniony Setorek. Jest nawet w Warszawie Setoguchi, w Jeleniogórskiem Satyna... Schetyny, choćbyś w korcu maku szukał – nie znajdziesz.

Stawia to wiele bolesnych i trudnych pytań. Dla premiera Mateusza Morawieckiego nie było przed 1989 r. Polski. Bogać tam, stare dzieje. Oto okazuje się w naszych czasach, dzisiejszych dniach i w przeddzień wyborów europejskich, że nie ma Schetyny. Nie ma go ani u Rymuta będącego w tej dziedzinie autorytetem niepodważalnym, ani u żadnego innego onomasty. No nie ma! Okazuje się Schetyna bytem wyimaginowanym i nieudokumentowanym. Oczywiście znajdą się wygrzebani skądś przez Platformę potakiwacze, którzy zarzekać się będą, że widzieli go w naturze albo w telewizorze. Z łatwością dostarczyć można jednak równą liczbę świadków, którzy istnienia Schetyny nigdy nie doświadczyli i w najlepszej nawet wierze powątpiewać mają prawo w jego istnienie. Dodajmy „historyków" z IPN, którzy przyjmą tylko drugą rzeczy wersję i zasypią księgarnie broszurami o Schetynie mniemanym. W końcu nie takich już cudów dokonywali. Oczywiście mogą go uznać za jakiś byt pośredni, gdyż zasłużył się w końcu (ale czy naprawdę on?) i jako rycerz dekomunizacji, i jako lizusek przykościelny, i wreszcie ten, który odkrył, że Auschwitz wyzwolili Ukraińcy, a nie jakaś tam okupacyjna Armia Czerwona. Gdzie go jednak szukać? Może był, ale zginął w smoleńskim zamachu i Putin zatarł po nim ślad wszelaki? Może był czerwony (koalicja z Czarzastym) i go definitywnie zdekomunizowano? Może go diabli wzięli do siebie za sojusz z feministkami? Nic do końca nie wiadomo: człowiek to czy mara? Meduza czy polityk? Byt czy niebyt? Czy istnieć mogą twory nienazwane?! W Rzeczypospolitej – powiadają – wszystko jest możliwe. Ileż to jednak zrodzi problemów, iluż pozwoli zakiełkować pełnym mowy nienawiści nowym podziałom narodowym!

Mnie to jednak nie dotyczy. Dla koalicji lepiej by zapewne było, żeby Schetyna nie istniał i nie odstraszał wyborców swoją charyzmą. Kaczyński z tych samych powodów wolałby, żeby istniał właśnie. Jest mi to najzupełniej obojętne. Jeśli Schetyna wychynie z niebytu, i tak nie odgadniesz, w jakiej formie i jakim kolorze będzie. Byle nie okazał się strzygą, bo strzygi gryzą. Na szczęście podobno też nie istnieją.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 213724a6c4

Małgorzata Kąkiel

Zaproponowane przez prezydenta i jego małżonkę utwory mogą poprowadzić nas w całkiem dobrą stronę w roku wyborczym.

Chłopski mopanek w kapitalizmie

Jaki mógł być zamysł narodowego czytania

Błoto, dużo błota, siąpi deszcz, wrona przez oko dobija się zapamiętale do „wnętrza tej czaszki, do tej ostatniej fortecy polskiego powstania". Do pługa obok krowy zaprzęgnięta została kobieta, przed nimi, w pierwszej parze, ciągnie dziewczyna i chłopak. Pod parkową ławką moknie, porzucony przez kapryśną dobrodziejkę, do niedawna salonowy piesek Elfik. Na chwilę znalazł ciepło w objęciach tak samo odrzuconej przez bogatą egoistkę Helci. Z zimna, mokrzycy i tęsknoty zachorują i pewno niebawem umrą oboje. W fabryce wybuchł kocioł, zabijając Marcysia – jedynego syna matki. Martwa cisza warszawskiego podwórka studni wpędza w depresję niewidomą dziewczynkę. Moskale zabijają Sawę (w XVIII w.) oraz Szymona Winrycha (wiek XIX). „Wszystko przełajdaczone", mówi ten ostatni, analizując aktualne stadium powstania styczniowego. Aha, jeszcze chłop – ciemna bestia – czeka, aż po wielkich cierpieniach padnie koń, to obedrze go ze skóry, jak obdarł już pierwszego konia i złupił zabitego powstańca, pozbawiając go podartych butów, postrzępionego łacha i zabłoconych onuc, w które zawinął broń.

Że co? Piszę w ataku depresji? Sabotuję wiosnę, która zalewa nas wielkanocnymi pisankami i zajączkami, wzywa na pierwszomajowe pochody lub trzeciomajowe uroczystości? Nie. Pochylam się nad utworami, które para prezydencka wybrała do tegorocznego narodowego czytania. I żeby nie było wątpliwości: wszystkie te opowiadania czy nowele bardzo cenię, bo są literacko znakomite i mądre. Ale jaki jest cel ich pomieszania i podania obywatelom na oficjalnej tacy?

Oto osiem lektur wybranych podobno z ponad stu na ósme Narodowe Czytanie: „Dobra pani" Elizy Orzeszkowej, „Dym" Marii Konopnickiej, „Katarynka" Bolesława Prusa, „Mój ojciec wstępuje do strażaków" Brunona Schulza, „Orka" Władysława Stanisława Reymonta, „Rozdzióbią nas kruki, wrony…" Stefana Żeromskiego, „Sachem" Henryka Sienkiewicza i „Sawa" (z cyklu „Pamiątki Soplicy") Henryka Rzewuskiego.

„To klasyka polskiej noweli i taki tytuł będzie miała tegoroczna edycja Narodowego Czytania", podkreślił prezydent Andrzej Duda, a Agata Kornhauser-Duda dodała, że utwory reprezentują różne epoki i style, ale „łączy je to, co najważniejsze: są na trwale wpisane w historię polskiej literatury". Owszem, prawda – te oraz wiele innych utworów składają się na polską historię literatury. Każdy wybór można skrytykować albo każdym się zachwycić, ale niechby dała się zauważyć jakakolwiek myśl przewodnia! Skoro uroczyście i oficjalnie naród ma czytać, to coś chciałoby się przez to powiedzieć, na coś zwrócić uwagę, czegoś nauczyć.

Nie oszukujmy się – bez przygotowania czytelnicze masy nie rozsmakują się w realizmie, naturalizmie, symbolizmie, grotesce czy innych literackich chwytach, a właśnie forma mogłaby tu być ważna, ciekawa i smaczna. Narodowa lektura od razu jednak kieruje myśl odbiorców ku treści. Już pojawia się kręcenie nosem, że państwo prezydentostwo takie ramoty zaproponowało, jakby nie było dobrych polskich utworów współczesnych, dotykających problemów dnia dzisiejszego. Kto wie, czy ten wybór (nieprzemyślany?) nie wyrządzi wymienionym utworom większej krzywdy, niż przyniesie pożytku, bo otwiera pole do naśmiewania się z anachroniczności realiów, archaicznego języka.

No chyba że jest inaczej. Że pomysłodawcom jednak o coś chodziło, bo kilka problemów układa się w całość. Wyjdę od wspomnianego błota – tapla się w nim bieda, główna bohaterka przywołanych utworów. To ona prowadzi do cierpień, często do degeneracji. Bohaterowie „Orki" wychodzą w kwietniowy poranek zaorać choćby pół morgi pod ziemniaki. Jeśli tego nie zrobią, zwycięży ich głód. Konia im zarekwirowano, więc poradzić musi chuda krowa i rodzina chłopa. Połowa wsi leży w gruzach, straszą kikuty postrzelonych drzew; jak okiem sięgnąć, ciągną się „plugawe, żółte groble okopów i nieskończone rzędy mogiłek". Bo „panowie sobie wojują, a chłop w skórę bierze".

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

Z motyką za pługiem ciągnie się starucha „ledwie kształtem dająca pozór człowieczy”. Najwyraźniej podobna do chłopa z opowiadania Żeromskiego, „co zbliżał się niepostrzeżenie, chyłkiem, podobny do dużej, szarej bestii”. Ten nieszczęśnik na swoim polu, „na działku, który odtąd miał do niego należeć na zawsze” (jesteśmy po uwłaszczeniu chłopów przez cara Aleksandra II), dostrzegł trupy – powstańca i konia. Modląc się, dokonał chłop grabieży, a zwłoki upchnął do wypełnionego wodą dołu na ziemniaki. Narrator sugeruje, że „bez wiedzy i woli zemściwszy się za tylowieczne niewolnictwo, za szerzenie ciemnoty, za wyzyski, za hańbę i za cierpienie ludu, szedł ku domowi z odkrytą głową, z modlitwą na ustach”.

Patrząc z perspektywy intelektualisty, pewno tak było, ale chłop po prostu z biedy brał to, co i tak by się zmarnowało. No to mamy utrwalony obraz polskiej wsi, gdzie z filantropią i patriotyzmem cieniutko. Panowie szlachta albo wykorzystują chłopstwo – „przymuszali [latem] pomagać dworom jak za pańszczyznę” („Orka”) – albo walczą z oddaniem, choć bez przekonania, jak Szymon Winrych w „Rozdzióbią nas kruki, wrony…”. Brudny, głodny, zapity powstaniec, coraz bardziej upodabniający się do zwierzęcia z przyzwyczajenia, z poczucia obowiązku ciągnie broń, szukając zabłąkanego oddziału powstańczego.

Skoro polskością i ojcowską troską o wieśniaków nie bucha żaden dworek, trzeba przenieść się do miasta. Kapitalistycznego. Pewnej starej kobiecie nawet się poszczęściło – ma izdebkę naprzeciw fabryki, w której pracuje Marcyś. Obserwując dym z komina, matka widzi, kiedy syn fasuje do fabrycznego pieca, kiedy nieco spowalnia. A on domyśla się, że matka warzy strawę, bo chudy, siwy dymek wije się nad dachem domu. W krótkiej przerwie chłopak biegnie na barszcz albo krupnik. Że młody, to i radość go rozpiera, i apetyt dopisuje. Wpadnie – pogwiżdże z kosem w klatce, zje zupę i pędem wraca do fabryki. Jeśli zostawi trochę jedzenia, matka skorzysta i się posili. Marcyś wraca nocą, pada ze zmęczenia, a świtem znów wzywa go fabryczny gwizdek. I tak płynie życie aż do wypadku przy piecu. Potem samotna matka latami widzi w dymie swojego chłopca. A było tak dobrze („Dym”).

Mularz Jan z żoną też nie najgorzej sobie żyją w Ongrodzie („Dobra pani”). Mają czwórkę dzieci i piątą wychowanicę, sierotę po kuzynach. Helcię wzięła bogaczka o złotym sercu, ale gdy się znudziła dzieckiem, to je oddała (przysyła jednak pieniądze). U mularza można godnie zjeść – zacierkę z razowym chlebem. W zaciercе pływają skwarki. Czy można powiedzieć, że źle się żyje robotnikom? Radzi też sobie mama niewidomej dziewczynki z „Katarynki”. Całymi dniami szyje coś przy maszynie, a jej przyjaciółka dzierga pończochy na sprzedaż. Czegóż im może brakować? Dobrze, że mieszkający naprzeciw ich okien mecenas Tomasz, koneser sztuki, łaskawie pozwolił grać na podwórku katarynkom, bo od jałowej ciszy dziecko popadało w beznadziejność.

Ci, co w kapitalizmie doszli do pieniędzy, umieją okazać łaskę, sypnąć groszem. O dobrej pani Ewelinie Krzyckiej już wspominałam – troską i miłością otoczyła papugę, potem zabrała z rodzinnego domu nastolatkę, obiecując otworzyć przed nią lepszy świat, a uczyniła służącą. Później przytuliła i odrzuciła pieska i Helcię. Ale koloniści niemieccy nie byli tacy chimeryczni („Sachem”). Najpierw wymordowali nocą Indian z plemienia Czarnych Węży (łącznie z kobietami i dziećmi), ale doszedłszy do majątku, hojnie obdarzyli ostatniego potomka królów Czarnych Węży, gdy ten z cyrkowymi występami przybył na cmentarzysko przodków. Ów sachem (wódz) był pojętny i szybko przyjął reguły nowego świata – zagrał żądzę zemsty, a potem poprosił o datki.

Czyli jaki mógł być zamysł tegorocznego narodowego czytania? Dzięki sile literatury dokładnie postrzegamy mroczne oblicze kapitalizmu? Lepiej rozumiemy własną mentalność, postawy, bo obserwujemy naszych przodków w ich codziennym życiu? Przodków skrzywdzonych oraz krzywdzących? Przyznam, że nie spodziewałam się takiej przenikliwości i takiego radykalizmu społecznego po parze prezydenckiej. Szacunek.

Jest jeszcze – z zupełnie innej literackiej bajki – opowiadanie Schulza. Cóż powiedzieć? Przypomina o istnieniu żydowskiego mieszczaństwa (Jakub miał sklep bławatny, niebanalną wyobraźnię i wiele marzeń albo… alzheimera). Dla narodowej równowagi podrzucono nam także jedną z gawęd szlacheckich Henryka Rzewuskiego. „Sawa” opowiada o Kozaku, który tak się zasłużył walecznością dla Rzeczypospolitej, że został szlachcicem. Sawa – chłop – przyjął nasz obrządek i naszego języka się nauczył, co obok dzielności też mu drogę do zaszczytów utorowało. Poza tym, biorąc udział w konfederacji barskiej, mawiał: „Ten tchórz Poniatowski”, czyli swój on człowiek – ma stosowną, właściwą zdrowemu trzonowi społecznemu, pogardę dla ludzi kultury i nauki (do tego oświeceniowej, tfu). Powiało uniwersalizmem.

Narrator, upajając się wolnością oraz równością szlachecką (szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie), sarka tylko, że po klejnot szlachecki coraz częściej sięgają niczym nieuprawnieni. „Dowiedziałem się, że JW Potocki, wojewoda kijowski, został handlarzem i do swojego miasteczka Machnówki pościągał do tych różnych buchalterii, do których szlachta nasza niezdatna (*sic*!), różnych przekrztów a Popowiczów, a mieszczuków: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. A oni, nazbierawszy grosza, szlachtą się porobili (…) i nosy do góry zadzierają ich synowie. I cóż może być dobrego z takich?”.

Czyli jest tak: Francuzów nauczyliśmy jeść widelcem, Stanom Zjednoczonym daliśmy wzór konstytucji, ale do buchalterii podgolone łby zdolności nie miały i cierpliwości do zgłębiania ksiąg im brakowało. Za to mniemanie o sobie, ho, ho! Czy to nam zostało? Czy powstała współczesna hybryda mopanka sczepionego z ciemnym chłopem? Obgryzana przez kapitalizm, jakże oczekiwany. Czy to chce się nam uświadomić w narodowym czytaniu? Jako żywo jest nad czym się zastanowić.

Literatura to wielka nauczycielka życia. Zaproponowane przez prezydenta i jego małżonkę utwory mogą poprowadzić nas w całkiem dobrą stronę w roku wyborczym. Wystarczy tylko uważnie czytać i myśleć. ■

Już pojawia się kręcenie nosem, że państwo prezydentostwo takie ramoty zaproponowało.

eprasa.pl 213724a6c4

KURTYNA W GÓRĘ

W SYRENIE NA POWAŻNIE

Jak przekonuje Teatr Syrena, musical może podejmować tematy trudne i niekoniecznie musi służyć prostemu pocieszaniu czy uciesze. W „next to normal", opowieści o wysokich kosztach psychicznych ponoszonych przez osobę cierpiącą na chorobę dwubiegunową i jej najbliższych, nie brakuje elementów charakterystycznych dla musicalu. Ale ta forma całkiem trafnie przylega do poważniejszej tematyki.

Spektakl wyreżyserowany i przetłumaczony przez Jacka Mikołajczyka – chociażby ze względu na tematykę i wyjątkowo skromną obsadę jak na musical – nie oszałamia efektami widowiskowymi. Oferuje więcej do myślenia niż zazwyczaj, ale przy tym wprawia w podziw dyspozycją wokalną wszystkich wykonawców. Katarzyna Walczak, mimo pewnego skrępowania scenicznego (jak to bywa na premierze) prowadzi rolę z biegłością, świadoma, że dźwiga na sobie ciężar przedstawienia. Z wielką energią wciela się w postać nieżyjącego syna debiutujący w Syrenie Marcin Franc (Gabe), a zaskakujące akcenty komiczne wprowadza Maciej Maciejewski jako nadgorliwy psychiatra. Zresztą wszyscy są na swoim miejscu: Dan, obdarzony cierpliwością wyrozumiały mąż (Przemysław Glapiński), dorastająca córka w tzw. trudnym wieku (Karolina Gwóźdź) i sekundujący jej chłopak (Michał Juraszek).

Kolejna, ale utrzymana w klimacie zupełnie odmiennym od poprzednich, premiera Syreny potwierdza, że „stara buda na Litewskiej" tchnie młodością.

Tomasz Miłkowski

Tom Kitt, Brian Yorkey, „next to normal", tłumaczenie i reżyseria Jacek Mikołajczyk, kierownictwo muzyczne Tomasz Filipczak, Teatr Syrena, premiera 6 kwietnia 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

Kate Morton
CÓRKA ZEGARMISTRZA

tłum. Anna Dobrzańska
Albatros, Warszawa 2019

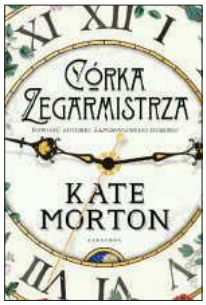

Pewien dom w zakolu Tamizy budzi fascynację wykraczającą poza zwykłe zainteresowanie historyczną budowlą w malowniczej okolicy. Jest w nim muzeum XIX-wiecznego malarza, ale też właśnie tu narzeczona artysty została zamordowana, zniknął wtedy również rodowy klejnot, a złodziejka o fałszywej tożsamości najpewniej uciekła do Ameryki. W dodatku to nawiedzony dom. Byli jednak tacy, którzy znajdowali w nim schronienie. Aż w końcu przyciągnął do siebie młodą archiwistkę z Londynu.

Trochę się obawiam, że opisywane już na początku doznania starej torby, która nie może się doczekać ujawnienia swojej zawartości, będą sitem, które przepuści jedynie najbardziej romantyczne dusze. Nic złego jednak w tym, że przydepczemy na moment racjonalizm. Ta książka o miłości, o duchach i o tym, że prawdziwą wartość przedmiotom nadają dopiero nasze emocje, jest znakomita akurat na teraz, na ławeczkę w słońcu, pod kwitnącymi bzami.

Aleksandra Pańko

BYLIŚMY

OPEROWE „REQUIEM"

Verdi nierozerwalnie kojarzy się z operą i tylko wytrawni melomani wiedzą, że napisał też „Requiem". Choć w dziele tym nie brakuje religijnych treści, symboli, uniesienia, nawet niezbyt uważny słuchacz zorientuje się, że pewne frazy, linie melodyczne są mu znane. Z oper! W tym dziele więcej jest operowego Verdiego niż klasycznego requiem, rodem z XVII czy XVIII w. I żeby była jasność – nie jest to zarzut, jedynie konstatacja. Opery Verdiego są wielkimi dziełami, więc odnoszące się do nich „Requiem" także musi nim być. I jest. Do tego znakomicie wykonanym przez śpiewaków i muzyków Opery Krakowskiej pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka. Soliści: Katarzyna Oleś-Blacha, Anna Lubańska, Mihail Mihaylov i Wołodymyr Pańkiw świetnie wprowadzili widzów w wielkanocny nastrój. To samo można powiedzieć o chórze, który mocno zaakcentował swoją obecność.

Paweł Dybicz

Giuseppe Verdi, „Requiem", Opera Krakowska, 14 kwietnia 2019

MONIUSZKO W INDIACH

Dla Stanisława Moniuszki, który nigdy nie był w Indiach, historia zawarta w sztuce francuskiego autora Casimira Delavigne'a „Paria" była okazją do wzruszeń nad dramatami ludzi z niższych sfer lub kast. Kultura ani wierzenia mieszkańców odległych krajów nie interesowały go w większym stopniu. Podobny konflikt ukazał w „Halce". „Paria" nie zyskała takiej popularności, a dziś niektórzy sobie dworują, że Hindusi tańczą w niej w rytmie mazura lub kujawiaka. Dobrze, że w Roku Moniuszki operę zaprezentowano w ramach Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena w Warszawie. Wykonano ją w międzynarodowej obsadzie, we włoskiej wersji językowej, co może się przyczynić do jej spopularyzowania za granicą, jeśli zostanie nagrana na płycie.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Paria", kierownictwo muzyczne Łukasz Borowicz, Orkiestra Filharmonii Poznańskiej, soliści i chór Filharmonii Narodowej w Warszawie, wykonanie koncertowe 10 kwietnia 2019 w ramach Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena

eprasa.pl 213724a6c4

NA EKRANACH

VOX LUX

reż. Brady Corbet, prod. USA, w kinach od 26 kwietnia

Natalie Portman jako Celeste, megagwiazda pop, ma muchy w nosie, ale film Brady'ego Corbeta ma większe ambicje niż krytyka celebrytów. Reżyser przygląda się drodze artystki, która zdobyła popularność, gdy zaśpiewała pieśń żałobną na cześć kolegów zastrzelonych w czasie masakry w szkole. Trauma jako fundament kariery nie pozwala na łatwe oceny. Tożsamość Celeste, kokon, którym obrosła, jak i jej emocjonalne reakcje spotykają się na przemian z radykalną krytyką albo pełnym politowania tłumaczeniem, że biedaczka tyle przeszła. Choć stara się wyjść poza te ramy, ani media, ani fani nie chcą dostrzec jej innego oblicza. Dzięki zjawiskowej Natalie Portman kreacja Celeste jest skomplikowana. To jednocześnie silna kobieta, która pogubiła się w narzuconej roli, i dzikie zwierzę, które rozszarpie wszystko, co stanie mu na drodze – ten aspekt podkreślają ekstrawaganckie stroje sceniczne. Wygląda w nich jak przybysz z innej planety, który bynajmniej nie pojawił się na Ziemi, by słuchać jej mieszkańców. Przeciwnie – to Celeste ma głos. I nie zawaha się go użyć.

Artur Zaborski

ZASŁUCHAJ SIĘ

Sunhwa Park
DREAMING
Piano works by women composers
DUX

Koreańska pianistka Sunhwa Park nagrała płytę feministyczną, aby pokazać, że kompozytorki też mają ciekawy dorobek. Dlaczego jednak twórczość trzech pań wybranych do prezentacji nie zdobyła takiej popularności jak dorobek ich uzdolnionych braci i mężów? Clara Schumann była pianistką i kompozytorką, ale to jej mąż Robert wszedł do historii muzyki. Podobnie było ze starszą siostrą Feliksa Mendelssohna, Fanny. Pamiętamy o niej ze względu na brata. Do tego dochodzą kompozycje fortepianowe Amerykanki Amy Beach, która była zakochana w muzyce Roberta Schumanna i starała się tworzyć podobnie. Płyta z miłą dla ucha muzyką romantyczną została zatytułowana „Dreaming", czyli „Śnić". Czy chodzi o to, że panie śniły o karierze muzycznej, czy koreańska pianistka zachęca nas, by zanurzyć się w marzeniach? Odbiorcy ocenią sami.

Bronisław Tumiłowicz

ZAJRZYJ TU

SZTUKA TO WARTOŚĆ Z KOLEKCJI PKO BANKU POLSKIEGO

Kolekcja sztuki współczesnej PKO Banku Polskiego powstała w 1998 r., a wybór dzieł powierzono Andzie Rottenberg, która zgromadziła powstałe w połowie lat 90. XX w. prace wybitnych polskich artystów trzech pokoleń. Zbiór dzieli się na trzy części. Pierwsza stawia w centrum nestorów, takich jak Stefan Gierowski, Jacek Sempoliński, Jan Tarasin czy Zbigniew Makowski. Druga – artystów, których dyplomy przypadały na lata 70. To Krzysztof Bednarski, Tomasz Ciecierski, Edward Dwurnik, Łukasz Korolkiewicz, Zofia Kulik, Teresa Murak. Trzecia zaś tych, którzy kończyli studia w trakcie stanu wojennego lub tuż po nim: Ryszarda Grzyba, Jarosława Modzelewskiego, Włodzimierza Pawlaka, Tomasza Tatarczyka, Mariusza Kruka.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, DO 30 CZERWCA

BEKSIŃSKI OD FOTOGRAFII DO WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI

W roku 90. urodzin Zdzisława Beksińskiego Fundacja Beksiński wraz z Muzeum Historycznym w Sanoku przygotowała wystawę ponad 100 prac artysty – fotografii, fotomontaży i grafik komputerowych. Wydarzeniu towarzyszą pokaz obrazów w stereoskopii (3D), mapping obrazów z lat 70., pokazy wirtualnej rzeczywistości (w specjalnych okularach będzie można wejść do środka obrazów Beksińskiego), wykłady multimedialne oraz prezentacje filmów dokumentalnych ze zbiorów samego artysty.

WARSZAWA, CENTRUM PRASKIE KONESER, DO 2 CZERWCA

GRY. PRACE Z KOLEKCJI GALERII STARMACH

W 2019 r. mija 30 lat, odkąd Teresa i Andrzej Starmachowie założyli w Krakowie galerię, a jubileusz to dobry pretekst do zaprezentowania kolekcji w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie. Wystawa została pomyślana tak, aby nie powielać dotychczasowych schematów. Zbudowana jest z grup prac zestawionych w nieoczywisty sposób i prowadzących grę z odbiorcą. A oglądać można dzieła Magdaleny Abakanowicz, Nobuyoshiego Arakiego, Stanisława Dróżdża, Władysława Hasiora, Tadeusza Kantora, Jerzego Nowosielskiego, Romana Opałki i Andy'ego Warhola.

SOPOT, PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI, DO 23 CZERWCA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. JACEK WRZESIŃSKI, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 213724a6c4

„Wielka Gra" bez powrotu

Teleturnieje wiedzy nie mają już takiej siły przebicia jak legendarna „Wielka Gra", ale nadal wciągają polskiego widza

Marek Książek

Kiedy próbował przekonywać kolejnych prezesów Telewizji Polskiej do wznowienia „Wielkiej Gry", Wojciech Goljat zawsze spotykał się z argumentem, że miała słabą oglądalność i że w dzisiejszych czasach trzeba robić zupełnie inną telewizję. – Co więc mogłem na to poradzić? – pyta retorycznie ten siedmiokrotny zwycięzca teleturnieju, prezes Stowarzyszenia Sympatyków Teleturnieju „Wielka Gra", powołanego zaraz po jej zdjęciu z anteny w 2006 r., podczas spontanicznego spotkania ok. 40 laureatów.

Determinację tej grupy potwierdzają dwa segregatory pism, które Goljat regularnie wysyłał do prezesów TVP, począwszy od Bronisława Wildsteina. Do Jacka Kurskiego pojechał nawet z posłanką PiS, ale przyjął ich jedynie wygadany dyrektor jednej z komórek organizacyjnych.

Legendy telewizji

Autorstwo „Wielkiej Gry" przypisuje się Ryszardowi Serafinowiczowi z redakcji teleturniejów. Pomysłodawca wzorował się na zagranicznych programach, np. z telewizji włoskiej, tworząc rodzimy format, którego start nastąpił 25 listopada 1962 r. Teleturniej szybko zdobył uznanie rosnącej widowni, a prowadzący, przystojny 40-latek, stał się idolem kobiet. Mężczyźni łaskawszym okiem spoglądali na asystentkę Serafinowicza Joannę Rostocką. I to ona zagrała samą siebie w filmie telewizyjnym z 1974 r. „Gra" z cyklu „Najważniejszy dzień życia", w którym jako uczestniczka teleturnieju wystąpiła Ryszarda Hanin.

Jak pisze Maciej Bernatt-Reszczyński w książce „Wielka Gra Serafinowicza" (Warszawa 2016), początkowo zawodnicy odpowiadali na pytania przy stoliku, a po etapie wstępnym byli prowadzeni przez Rostocką do kabiny dźwiękoszczelnej, gdzie walczyli o główną nagrodę w wysokości 25 tys. zł. Kariera Serafinowicza skończyła się na fali antysemityzmu 1968 r. i z rozpędu zastąpiła go Joanna Rostocka. Potem krótko był Janusz Budzyński, a wreszcie – od 1975 r. – Stanisława Ryster, która broniła się przed tym, jak mogła, ale dostała wyraźne polecenie od prezesa Macieja Szczepańskiego. W tym czasie, za sprawą Wojciecha Pijanowskiego, zmieniono również zasady gry; w pierwszym etapie dwóch zawodników toczyło pojedynek, w drugim – pytania zadawali eksperci, a w trzecim – gracz wybierał jeden z dwóch zestawów znajdujących się na kole.

Zawodowcy i amatorzy

Zawsze jednak obowiązywała podstawowa zasada: gracz nie mógł startować w dyscyplinie, którą uprawiał zawodowo. Co najwyżej mogło to być jego hobby i z wieloma takimi zapaleńcami przez 44 lata „Wielkiej Gry" mieliśmy do czynienia. Na przykład Jan Wolniakowski (18 wygranych!) był z zawodu ekonomistą, a mierzył się z postaciami literackimi i historycznymi. Jego atutem była fotograficzna pamięć, szybko się uczył, bez względu na okoliczności. Znana jest anegdota o tym, jak został zaproszony na nagranie do „Wielkiej Gry" podczas odbywania służby wojskowej po studiach. Armia nie tylko nie czyniła mu wstrętów, ale jeszcze wydelegowała porucznika, aby asystował pchor. Wolniakowskiemu w przyswajaniu wiedzy w wojskowej bibliotece. W zamian dowództwo jednostki zażyczyło sobie kilku miejsc na widowni w studiu.

Stanisława Ryster to cała epoka w historii „Wielkiej Gry".

W podobnych tematach startował również Mariusz Machnikowski, matematyk z Trójmiasta, który odpowiadał na pytania o życie i twórczość Żeromskiego, Mickiewicza, Lermontowa, Steinbecka, Michała Anioła czy Giuseppe Verdiego. W sumie od początku lat 90. wygrał 10 razy. Czy należał do pupilków Stanisławy Ryster? – Jeśli znany zawodnik i nowicjusz uzyskali tę samą liczbę punktów, zawsze wybierała „świeżą twarz" – odpowiada Machnikowski. Natomiast zdarzało się, że wznawiając trudny temat, powierzała go doświadczonemu zawodnikowi, wiedząc, że się nie wystraszy. Tak było z Wojciechem Goljatem, któremu dwa lata przed końcem teleturnieju przydzieliła temat „Księstwo Warszawskie".

Pieniądze to nie wszystko

Pochodzący z Olsztyna zawodnik skończył kierunek budowa okrętów na Politechnice Gdańskiej, ale że miał stypendium fundowane przez Olsztyńskie Zakłady Opon Samochodowych, zaczął pracę w tym największym przedsiębiorstwie regionu. Chciał jednak ubarwić sobie życie, więc zgłosił się do „Wielkiej

eprasa.pl 213724a6c4

Pierwszym prowadzącym „Wielką Grę" był Ryszard Serafinowicz.

Gry". A że historią interesował się od dziecka, pojechał na eliminacje z tematu „Polska Piastów". Zabrakło mu kilku punktów, nieudany był też start z bitew morskich i dopiero za trzecim podejściem trafił przed kamery – temat: „Imperium mongolskie od Czyngis-chana do Tamerlana". Dziś śmieje się, że w pojedynku miał pecha, pewnie dlatego, że jego rywalem był Mariusz Paech. Wreszcie w 1987 r. Wojciech Goljat wygrał program z tematu „Wawel", otrzymując 100 tys. zł. Kupił za to lodówkę i małą wódeczkę do opicia nagrody.

– Po tym zwycięstwie odnotowałem kolejny sukces, tym razem zawodowy. Dostałem awans na szefa zaopatrzenia w fabryce opon – pamięta Wojciech Goljat, choć nie jest pewny, czy była to konsekwencja wygranej w teleturnieju, czy raczej kierownictwo doceniło jego talent organizacyjny. Później jeszcze sześć razy z rzędu odbierał główną wygraną, zyskując na popularności oraz powiększając stan konta.

Nagrody wzrastały w miarę inflacji, by w 1994 r. dojść do 100 mln zł. Po denominacji było to 10 tys. zł, a w 2006 r. już 40 tys. zł. Nawet przy 10-procentowym podatku to kupa forsy, praktycznie przeciętny roczny zarobek. Zawodnicy zaprzeczają jednak, by jeździli na Woronicza zarabiać pieniądze. „Wielką Grę" traktowali jako wielkie wyzwanie, sprawdzenie wiedzy i umiejętności radzenia sobie ze stresem przed kamerami.

– To była pozytywna grupa ludzi odbiegających od przeciętnej – wspomina Stanisława Ryster. – Nigdy sobie nie zazdrościli, a raczej doradzali, jeśli ktoś wcześniej startował z podobnego tematu. Kiedy grał Jan Majewski z Olsztyna, wszyscy mu kibicowali. Chociaż wygrał jedynie dwa razy, zgłaszał się na każde eliminacje, w których tylko mógł brać udział. Owszem, zwycięzcy „Wielkiej Gry" dzwonili do mnie, że za wygraną pojechali na wycieczkę do Hiszpanii lub innego kraju, odwiedzili jedno muzeum czy drugie, ale pieniądze nie były dla nich celem samym w sobie.

Wiedza i trochę szczęścia

Legenda TVP, bo za taką trzeba uznać Stanisławę Ryster, potwierdza, że chociaż lubiła swoich „etatowych" zawodników, nigdy nie ułatwiała im drogi do finału. Przyznaje natomiast, że preferowała kobiety, których zgłaszało się bardzo mało. Jeśli więc któraś uzyskała w eliminacjach tyle samo punktów co mężczyzna, była wyznaczana do zasadniczej gry. Ot, taki parytet. Jedną z laureatek była Mirosława Konik-Obst, nauczycielka nauczania początkowego z Czempinia w Wielkopolsce, siedmiokrotna laureatka „Wielkiej Gry". Startowała od lat 90., głównie z tematów literackich oraz jednego malarskiego (Francisco Goya). Gdy usłyszała o eliminacjach, zgłaszała się i w ciągu dwóch tygodni czytała wszystko, co znalazła na ten temat, robiąc z lektury notatki. Zawsze z książek, choć z czasem pojawił się internet. Jednak ani ona, ani eksperci nie uznawali tego źródła za wiarygodne.

– Przede mną kobiety już wygrywały, chociaż cały czas dominowali mężczyźni. Tak jak chyba i w innych teleturniejach wiedzy, co nie znaczy, że są od nas mądrzejsi – podkreśla pani Mirosława. Dla niej samo wystąpienie w telewizji i sprawdzenie swojej wiedzy w oczach środowiska, gdzie każdy zna każdego, było dużym wyzwaniem. Doceniano jej sukces czy zazdroszczono wygranej? – Głośno mnie doceniano, a w zazdrość nie wnikam – odpowiada dyplomatycznie.

Jedynym zawodnikiem, który publicznie przyznawał się, że w teleturniejach występuje dla pieniędzy, był Marek Krukowski, filozof z Warszawy, zwycięzca 15 edycji „Wielkiej Gry", przede wszystkim z tematów muzycznych. W wywiadach ujawniał nawet, że przy uczeniu się, co w jego wypadku oznaczało słuchanie symfonii i koncertów, zażywał miękkie narkotyki. Bo lepiej tę muzykę wówczas wchłaniał. Krukowski nie poprzestawał zresztą na „Wielkiej Grze", zgłaszał się także do innych teleturniejów, w których mógł zarobić. Na przykład do „Miliarda w rozumie" prowadzonego przez Janusza Weissa. W latach 1993-2004 toczyli tam boje prawdziwi gladiatorzy, a Krukowski wystąpił – zwykle z sukcesem – aż 15 razy. Był to typowy teleturniej wiedzy rodzimej produkcji, w odróżnieniu od dziesiątków programów, w których o zwycięstwie częściej niż wiedza decydowały los lub szybkość reakcji. Tak jak w programie na amerykańskiej licencji „Va Banque", prowadzonym przez Kazimierza Kaczora, gdzie po usłyszeniu pytania trzeba było jak najszybciej przycisnąć guzik.

Milionerzy są wśród nas

Jako najbardziej nieprzewidywalny i emocjonujący teleturniej w Polsce reklamowano „Awanturę o kasę" (2002-2005), program ATM

eprasa.pl 213724a6c4

Grupy prowadzony w Polsacie przez Krzysztofa Ibisza. Rywalizowały w nim trzy czteroosobowe drużyny, z których jedna zdobywała mistrzostwo, by bronić tytułu w następnych programach. Oprócz wiedzy z różnych dziedzin liczyła się umiejętność licytacji pytań, a obie te cechy posiedli młodzi zawodnicy jednej z drużyn, zajmując miejsca w loży mistrzów aż 22 razy. Wygrali w sumie 274 tys. zł i kluczyki do siedmiu samochodów osobowych oraz dwa... ogórki kiszone. Licencję „Awantury" sprzedano potem do Nowej Zelandii.

Teleturniejem mieszanym można nazwać „Postaw na milion" w TVP oraz oparty na brytyjskiej licencji program „Milionerzy" w TVN. Ten drugi gościł na ekranach w latach 1999-2003, potem 2008-2010, by wrócić w lutym 2017 r. W krótszej formule, ale z tym samym prowadzącym – Hubertem Urbańskim. Trzeba najpierw przejść casting (można drogą internetową), potem wygrać eliminacje w studiu, a wreszcie w świetle jupiterów zasiąść na fotelu. Niektórych zżera trema, ale zdarzają się zawodnicy, którzy wykazują rażący brak wiedzy i nie pomaga im nawet możliwość wyboru odpowiedzi spośród czterech wariantów ani korzystanie z kół ratunkowych: pytania do publiczności, 50:50 i telefonu do przyjaciela („przyjaciel" jest odizolowany od pomocy naukowych). W polskiej edycji po 1 mln zł wygrali: Krzysztof Wójcik (2010), Maria Romanek (2018) i Katarzyna Kant-Wysocka (2019).

Wojciech Goljat wygrał „Wielką Grę" siedmiokrotnie. Potem bezskutecznie walczył o powrót teleturnieju na antenę.

Do łask wróciło też „Koło Fortuny", zapoczątkowane w TVP przez Wojciecha Pijanowskiego na zagranicznej licencji w 1992 r. Przetrwało sześć lat, po przerwie prowadzili je Stanisław Mikulski i inni aktorzy, a od półtora roku gospodarzem jest piosenkarz Rafał Brzozowski. To zabawa raczej dla krzyżówkowiczów; kiedyś literki haseł na tablicy odkrywała Magda Masny, a teraz równie zmysłowa Izabella Krzan. Tyle że literki są już elektroniczne, no i prowadzący śpiewa piosenki.

Po zdjęciu z anteny „Wielkiej Gry" typowym teleturniejem wiedzy pozostał praktycznie tylko „Jeden z dziesięciu", oparty na brytyjskim formacie, prowadzony od 1994 r. przez Tadeusza Sznuka. Dziennikarz ten, o dużej kulturze byciai i obdarzony radiowym głosem, stwarza klimat, który od lat przyciąga widzów i graczy. Chociaż np. Marek Krukowski w wywiadzie dla portalu naTemat.pl twierdził, że „to zupełne szaleństwo, wszystko tam się robi po omacku", Tadeusz Sznuk mówi: – Pewnie każdy teleturniej wymagający od uczestników odpowiedzi na pytania, jest teleturniejem wiedzy. Choć „Jeden z dziesięciu" nie zapowiada milionów, nie ma komputera losującego pytania, a od graczy wymaga się tylko odpowiedzi na wcześniej przygotowane pytania. Oraz opanowania nerwów. No i refleksu, bo czas do namysłu krótki.

Teleturniej jest trudny, mimo to – jak podkreśla Tadeusz Sznuk – wciąż przyciąga nowych zawodników, a „zawodowcy" tacy jak Krukowski stanowią 15-20%, mogąc ponownie startować po czteroletniej karencji. Reguły są proste, a widzowie chętnie sprawdzają swoją wiedzę przed ekranem. Pewnie to jest receptą na sukces. Aczkolwiek Wojciech Goljat uważa, że do utrzymania „Jednego z dziesięciu" przyczyniła się walka jego stowarzyszenia o przywrócenie „Wielkiej Gry". Byli gracze od Stanisławy Ryster zrobili bowiem taki raban, że kierownictwo TVP wolało nie ryzykować zdjęcia podobnego teleturnieju, oglądanego średnio przez prawie 2 mln widzów.

Marek Książek

MOJA PRZYGODA Z TELETURNIEJEM

Miałem okazję dwukrotnie być uczestnikiem teleturnieju, a raz towarzyszyłem koledze. Krzysztof Celej z Olsztyna już w 1994 r. zaprosił mnie jako partnera do programu „Gra", prowadzonego w TVP Wrocław przez aktora Pawła Królikowskiego. Zabawa przypominała ping-pong, tylko w wersji elektronicznej, a po wygraniu punktu zawodnik rozwiązywał jedno hasło krzyżówki. W finale zmierzyliśmy się z małżeństwem z Poznania i wygraliśmy... 100 mln zł, czyli – po denominacji – 10 tys. zł brutto (podatek 10%). Gdy wręczano nam nagrodę, zapytałem bezczelnie prowadzącego, czy to prawdziwe pieniądze. On gorączkowo potwierdził, ale przejąłem plik od kolegi, przeczesałem palcami i okazało się, że banknoty były tylko z wierzchu, a w środku – czyste kartki. Opisałem to potem w lokalnej gazecie, ale nie mogłem tego zrobić wcześniej niż po emisji programu. Podpisaliśmy bowiem zobowiązanie, że do tego czasu nie będziemy ujawniać kulis teleturnieju. Prawdziwe pieniądze też dostaliśmy dopiero po emisji „Gry" na antenie.

Drugi raz z tym samym kolegą pojechałem – jako osoba towarzysząca – na teleturniej ATM Grupy „Życiowa szansa", prowadzony przez Krzysztofa Ibisza w latach 2000-2002. Kolega nie wszedł do głównej rozgrywki (śmiał się, że jest mało telewizyjny, a pod tym kątem wybierał psycholog), został za to „graczem pod telefonem". Jeśli zatem główny zawodnik nie znał odpowiedzi na pytanie, mógł zadzwonić do „pana z Warszawy", „pani z Krakowa" czy „pana z Olsztyna", choć wszyscy oni czekali na połączenie w... korytarzu przed studiem. Potem ujawniłem tę drobną mistyfikację w gazecie, co mi ostro wypomniał jeden z producentów, gdy spotkałem go ponownie już w czasie nagrywania „Awantury o kasę". Każda drużyna otrzymała na początek 5 tys. zł, a nasz kapitan Krzysztof Celej już w pierwszym pytaniu postawił całą stawkę *va banque*. Dzięki takiej ryzykownej grze doszliśmy do finału, lecz nie daliśmy rady mistrzom, którzy przebijali nas nie tyle wiedzą, ile większym stanem konta.

Marek Książek

FOT. ADAM JAGIELAK/EAST NEWS, ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS, MAREK KSIĄŻEK, ARCHIWUM PRYWATNE WOJCIECHA GOLJATA

eprasa.pl 213724a6c4

Oikodespota i polskie recepty

Edward Mikołajczyk

Pewnie dopiero po latach, kiedy ktoś z Episkopatu oceni, że Polska jest już zbawiona, przyjdzie czas na odpowiedź, jakąż to funkcję w państwie sprawował człowiek, który doprowadził do stanu zbawienia. Nieuchronność nadeszła, kiedy pojawił się problem, co napisać na postumencie bliźniaczego pomnika na placu Piłsudskiego. Toruńska grupa narodowców ciągle nie godzi się na zbawcę. Argumentuje, że nie ma takiego stanowiska w konstytucji, ale i tak wszyscy wiedzą, że Toruń chce zachować tytuł dla własnego salwatora, też już ciosanego w kamieniu specjalnie sprowadzonym z Kalabrii.

Wnuk byłego premiera, teraz poseł klubu Kukiz 66, przypomina, że jego dziadek kiedyś używał terminu gospodarz, włodarz albo jakoś tak, i może to słowo by się nadało na podpis pod figurą. Zaprotestował poseł PSL, domagając się przy okazji powrotu do macierzy obu słów ukradzionych Stronnictwu podczas wojny hybrydowej, która wybuchła na wsi wkrótce po ogłoszeniu przez Jarosława Kaczyńskiego, że PiS jest partią wiejską.

W debacie zauważono, że Kaczyńskiemu zabrakło do kompletu tylko jednego tytułu, jakim zwyczajowo wdzięczne narody obdarzają najukochańszych wodzów i nauczycieli. Niesłusznie nie został Wielkim Językoznawcą, którym w istocie był.

Przez całe lata co miesiąc trafnym słowem obdarzał cykliczną golgotę, która go zaprowadziła do prawdy, od kościoła do pałacu, między szpalerami mord zdradzieckich. Zapobiegł ucieczce z naszego języka ważnych słów o wielkim ładunku emocjonalnym, niezbędnych do siania wzajemnej miłości i potrzebnych do krzepienia wspólnoty narodowej. Najważniejsze z nich: DYFAMACJA, ANIHILACJA i OIKOFOBIA. Kto wie, co znaczą, musi przyznać, że wymagają niezwykłej giętkości języka i twardości kręgosłupa, aby mogły służyć jako instrument do wprowadzania powszechnego dobra w ojczyźnie.

Przypomniał także Kaczyński słynne *Vox populi, vox Dei*, kiedy posłom obniżył pensje, karząc… członków rządu za przyznanie sobie niemal orlenowskich nagród. Sam Pan Bóg by nie wpadł na tak wyrafinowany koncept, musiał więc go ktoś zastąpić na ziemi. Zdziwi się pan Jarosław na sądzie ostatecznym, kiedy zamiast pochwały za tę wyrękę usłyszy reprymendę, że widocznie czegoś nie doczytał albo był na wagarach na Marymoncie, gdy stosowny materiał przerabiano w jego szkole. Bo Panu Bogu chodziło o coś skrajnie przeciwnego do tego, co mu chciała wmówić duszyczka z Żoliborza, a mianowicie o to, aby nie słuchać tych, którzy mówią, że głos ludu to głos Boga.

Ludzie nie chcieli niczego od niebios, domagali się tylko od najliczniejszego w Europie rządu, żeby oddał pieniądze. W jakim trybie Kaczyński jął przemawiać *per procura*, w imieniu Boga, wyjaśni dopiero św. Piotr. Dzisiaj nie da się odgadnąć, kiedy przyszły zbawca słucha. Na przykład kiedy lud odzywa się głosem nauczycieli, wiadomo, że Kaczyński nie pomaga Panu Bogu.

Jarosław Kaczyński nie dostał jeszcze tytułu Wielkiego Językoznawcy, którym w istocie był.

Zachowuje się jak agnostyk, któremu to wisi i powiewa.

Lepiej niż z łaciną poszło Kaczyńskiemu z greką. Z taką łatwością rozstrzygać, kto nienawidzi ojczyzny (rodzinnego domu), czyli jest oikofobem, potrafi tylko ktoś, kto czuje się prawdziwym oikodespotą, czyli właśnie gospodarzem kraju, jak w zachwyceniu powtarza premier Morawiecki.

I to byłoby najwłaściwsze słowo, jakie współcześnie można zarekomendować przyszłemu twórcy pomnika. Troskliwy oikodespota zapowiedział właśnie NIE dla euro, co ma podziałać jak waleriana na polskie serce Europy. Zostało już niewiele sobót na ozdrowieńcze konwencje przed wyborami do europarlamentu. Pierwszą po Wielkanocy warto poświęcić ogłoszonej wcześniej rechrystianizacji Unii Europejskiej w pięciu prostych krokach. Jedną należałoby też przeznaczyć na lustrację i weryfikację zasad tamtejszego savoir-vivre'u.

W roku 1925 było tak: nasz ambasador napisał do marszałka Macieja Rataja, że uważałby za „wysoce pożądany" przyjazd delegacji Sejmu do Bukaresztu, ale zaznaczył, żeby „ delegacja była nieduża, poważna, obyta towarzysko, żeby ją można zaprosić do króla na śniadanie". Marszałek Rataj mu tego nie obiecał, ale marszałek Kuchciński nie może zrobić podobnego numeru europosłom PiS, bo oni nie potrzebują jego zgody. ■

FOT. WYKOP.PL

eprasa.pl 213724a6c4

KIBOLE

Powiedzieć „pseudokibice" to nie powiedzieć nic. To są grupy przestępcze. Gangi tak naprawdę

Młodszy aspirant Dawid Zieliński

– 13 lat służby, Wydział Kryminalny

Rozmawia Katarzyna Puzyńska

Takie ładne zdanie z internetu: „Każdy pies ma zryty beret". Zgadzasz się z nim?

– No, trochę ma. A przynajmniej każdy prawdziwy pies. Każdy prawdziwy policjant, który lubi się zajmować tą robotą. A w środowisku łowców kiboli to już w ogóle sieczka w mózgu. Tam mieliśmy inny świat, inne zabawki. Krążyła też swego czasu opinia wśród niektórych policjantów, że jesteśmy gorsi od tych, których łapiemy.

Z czego wynika ta różnica pomiędzy wami a innymi funkcjonariuszami operacyjnymi?

– Na pewno ze środowiska, którym się zajmujemy. Trochę nim przesiąkamy. Mamy trochę inny slang, inne zachowania. U nas takie niewybredne dowcipy jak psiknięcie kolegi gazem to normalka. A w sąsiednim pokoju, gdzie siedzą inni operacyjni, byłoby to nie do pomyślenia. U nas tego typu wygłupy są na porządku dziennym. I mamy świetny ubaw z siebie nawzajem. Albo kolega idzie korytarzem na komendzie i trąbi wuwuzelą.

A tak na poważnie, to kibole są straszliwie trudnym środowiskiem do rozpracowania. Są hermetyczni, ciężko się do nich dobrać. Bardzo mało policjantów chce się nimi zajmować. Ci, którzy to robią, tworzą zgraną grupę. Jak gdzieś się jedzie w Polskę, to od razu można rozpoznać innego łowcę. W dwóch zdaniach się dogadujemy. Nadajemy na zupełnie innych falach niż reszta wokół nas. (…)

Tam, gdzie prewencja kończy, my zaczynamy. Ewentualnie działamy tak, żeby tę prewencję popchnąć tam, gdzie jest potrzebna. Czyli to my ustalamy, co zrobić i jak zrobić, żeby się pojawiła na miejscu. Żeby ugasiła pożar, zanim on się rozdmucha. Żeby nie przyjechała na zgliszcza.

W przypadku grup pseudokibicowskich „zgliszcza" to chyba dobre określenie.

– Powiedzieć „pseudokibice" to nie powiedzieć nic. To są grupy przestępcze. Gangi tak naprawdę. Są bardzo zorganizowani i hermetyczni. Mają swój kodeks. I do tego ten strach przed wykluczeniem z grupy. Bo jakikolwiek kontakt z policją wiąże się z tym, że – jak w każdej zorganizowanej grupie przestępczej – ten, co go miał, odpada, a wszyscy na niego plują i traktują jak najgorsze zło. U nich hierarchia jest bardzo ścisła. Są ludzie, którzy wydają polecenia, a reszta karnie je wykonuje.

Czym oni się zajmują, nie licząc zadym na stadionach?

– Wszystkim. Pełny zakres usług, że tak się wyrażę: narkotyki, tytoń, akcyza wszelkiego rodzaju, rozboje, pobicia i włamania. Wszystko, na czym da się zarobić. Najgorszy problem jest wtedy, gdy zwalczają się kibole dwóch dużych klubów.

Kibole są straszliwie trudnym środowiskiem do rozpracowania. Są hermetyczni, ciężko się do nich dobrać.

Bywa mocno niebezpiecznie, prawda?

– No, kibole wożą w samochodach wszystko. Kije bejsbolowe, kije golfowe, maczety, toporki, trzonki od siekier, siekiery. Tak naprawdę gdy zaczynasz trzepanie samochodu, jak otworzysz bagażnik, to możesz znaleźć, co chcesz. Jeździliśmy za nimi po Polsce. Najczęściej ja i kolega, czyli dwóch policjantów w aucie. A przed nami np. osiemdziesiątka czy setka bojówki kibicowskiej. Masa wytrenowanych, wysportowanych chłopaków, którzy wiedzieli, jak używać pięści. I nie bali się ich używać.

Tylko we dwóch przeciwko nim wszystkim?

– Często się tak zdarzało. Ale czasem się też szybko i bez problemu kończyło. Mieliśmy taką sytuację w wiosce, tu pod miastem, że przyjechaliśmy na miejsce zbiórki kiboli. Było ich 80, jechali na ustawkę z inną grupą. Mieli sobie wytłumaczyć, kto jest silniejszy, kto przejmie wpływy.

A my, niestety, w mocno rzucającym się w oczy aucie. Miało uszkodzony prawy led, działał jak stroboskop. Z kilometra wiedzieli, że nadjeżdżamy. Wezwaliśmy, oczywiście, wsparcie, ale najbliższa prewencja była o jakieś 10-15 minut. Już dla nas przygotowana, ale musieli dojechać, więc trzeba było kupować czas.

Wysiedliśmy. Ja usiadłem na masce, kolega oparł się o drzwiczki i odpalił papierosa. Szef bojówki podszedł do nas. Pogadaliśmy. Kiwnął głową, odszedł i momentalnie ci

eprasa.pl 213724a6c4

jego wsiedli do aut i rozjechali się w różnych kierunkach. Byleby dalej od nas. Takich sytuacji mieliśmy sporo. „Dzień dobry, dzień dobry. My tutaj tylko przyjechaliśmy zbierać grzyby". Albo pograć w piłkę. Tylko piłka zginęła.

Czyli przestępcy czują przed wami respekt?

– Musimy sobie ten respekt wyrobić. Bo jak się okaże, że nie działamy, jesteśmy nieskuteczni albo odpuszczamy w którymś momencie, to oni wejdą nam na głowę. Albo gdy okażemy słabość. Ale jak się zadzieje, zrobi się naprawdę niebezpiecznie, to mamy służbową broń i jej użyjemy. I oni są tego świadomi. Że są super, jest ich wielu, ale nie są kuloodporni.

No bo z nami już nie ma jak z prewencją. Nie ma szarpanki, rzucania kamieniami. Prewencja ich glebuje, zatrzymuje, wyciąga, ale przy niej kibole mają jednak jakieś pole manewru w starciu. U nas byłoby krótko i na temat. Wszyscy na ziemię, a jak nie, to używamy broni.

Ci, co uciekają, no to na ile czasu? Na dwa tygodnie, trzy?

Bo najczęściej jest tak, że każdy funkcjonariusz pionu kryminalnego zajmuje się jakąś działką i w tej działce zna grupkę, z którą musi walczyć. Wtedy na ustawce też wiedzieliśmy mniej więcej, z kim będziemy mieć do czynienia. I znaliśmy ich. Oni też wiedzą, że są przez nas rozpoznawani.

Bardzo mało policjantów chce się zajmować kibolami.

Wbrew pozorom, przy prewencji oni czują się bardziej bezkarni. Bo widzą kompanię OP, tam policjanci ich nie znają. Może jakieś pojedyncze osoby, te wyróżniające się najbardziej. Rzuci taki kamieniem, płytą chodnikową, kopnie w tarczę i ucieknie. A u nas w kryminalnym tak nie ma. Gość może nawet w kominiarce biec do mnie, a ja i tak wiem, że to Nowak. No i Nowak jutro o szóstej rano ma się u mnie zameldować. A jak do mnie nie przyjdzie na wezwanie, to ja sobie go ściągnę.

Kibole mają takie podejście, że z nami jest trochę jak z gównem, że śmierdzi i można się ubrudzić. No bo jak nas tkną, to się ubrudzą. Ja przyjadę, będą zarzuty za czynną napaść, znieważenie, naruszenie nietykalności. W kryminalnym, bez munduru, to jest krótka rozgrywka. Oni o tym wiedzą. Nienawidzą nas jak ognia.

Ale jak jest taka sytuacja, że ich jest 80, a was dwóch, nawet z bronią. Nie ma lęku, że jednak przewaga liczebna jest znaczna?

– Byliśmy przygotowani, że musimy być twardsi niż oni. Pokazać, że jesteśmy górą. Bo jak się zawahamy i cofniemy, no to… Wiadomo. Raz pozwoliliśmy, żeby rutyna nas zgubiła. Ale to jeszcze w OP. Mieliśmy z kolegami polecenie zatrzymać kibiców, takie dwie połączone bojówki. Mieli jechać na mecz autokarami, ale wysiedli i poszli pieszo. Robiłem już coś koło pięciu lat w prewencji, więc czułem się pewnie. My, starzy wyjadacze, damy radę! Nawet tarcz nie wzięliśmy. I to był błąd, bo nie zatrzymali się na nasz widok, jak zazwyczaj, tylko odbyło się starcie. Ta ściana z prawie 200 osób przed naszą 15-osobową grupą. Wiedzieliśmy, że jest słabo, że nie utrzymamy tej linii. Na szczęście otrzymaliśmy w miarę szybko wsparcie innego plutonu.

W pionie kryminalnym rzadko kiedy przyjeżdża wsparcie. Zazwyczaj działamy we dwóch. Ewentualnie, jak jest gdzieś druga załoga od nas na mieście. Ale to już jest cud.

Jako funkcjonariusz operacyjny bywałeś też pewnie na stadionach podczas meczów.

O tym, jak polska policja amerykańskie śmigłowce kupowała, **przeczytasz w najnowszym tygodniku „NIE".**

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

– Tak. Kibole często pozdrawiali nas jak, jak byliśmy na trybunach. Nieraz lecą obelgi personalne. Ubliża się nam z nazwiska. Oni wiedzą, że jak krzyczy pół sektora, to są bezkarni.

Czyli wy ich znacie, ale i oni was.

– Nie jestem tu przykrywkowcem, takim – jak to się mówi w wielkich filmach – w strukturze i w ogóle. To tak nie działa. Nie wszyscy nas znają, ale jesteśmy rozpoznawani przez środowisko. Ono się nas uczy. Nas jest garstka, ich jest wielu. My potrzebujemy czasu, żeby się ich nauczyć, oni dosłownie chwili. (…)

Ale generalnie mam z kibolami dobry kontakt. Dochodziło do tego, że kłaniali mi się w sklepie. Mówili „dzień dobry". A żona to nawet kiedyś wylądowała w basenie obok ich szefa. (…) Chodzę na siłownię. Trenuję. Oni też. Jak wchodzę na salę, widzę, że jest ten czy tamten. Ale on też mnie widzi, wie, zna mnie. Skinięcie głowy, że się rozpoznaliśmy, że jesteśmy świadomi swojej obecności. Ale zazwyczaj na tym się kończy. (…)

Raz sprawcę rozboju na gorącym chwytałem. To było na tle kibicowskim. Stałem na przejściu dla pieszych i zobaczyłem, że po drugiej stronie jeden kibol drugiego szarpie. Tu akurat doszło do bójki. Musiałem z panem wymienić parę ciosów, że tak powiem. A druga sprawa to jak już wracałem do domu i pijana kobieta prawie mnie rozjechała. Pani najpierw skasowała inne auto, gdy wchodziła w zakręt. Potem gdzieś tam zahaczyła o krawężnik i był huk. Myślałem początkowo, że źle wzięła ten zakręt. Ale jak tuż przede mną skasowała słupki i zaczęła po nich jechać, to już było wiadomo. Pamiętam, że to była zima i strasznie długo czekałem na patrol.

Bo w takiej sytuacji wzywasz patrol, który jest na służbie, tak?

– Tak. Bo ja nie mam wtedy przy sobie dokumentacji. Nie mogę transportować, zabrać takiego człowieka. I tak dalej. Tak jak mówię, policjantem jest się przez całą dobę, a to niesie ryzyko. Do tej pory nic się nie wydarzyło, no ale nie można opuścić gardy i przyjąć, że się nie wydarzy. Trzeba pamiętać, że ktoś się naćpa jakichś dziwnych rzeczy, dopalaczy, czy będzie mocno upojony alkoholem. No i mu się odklei. Trzeba być przygotowanym na taką sytuację i być czujnym.

Osobę pod wpływem podobno bardzo trudno obezwładnić.

– Raz z kolegą mieliśmy takie zdarzenie, takie bardziej interwencyjne, chociaż już byliśmy w pionie kryminalnym. Dwóch ludzi szarpało się na ulicy. Na początku trochę, niestety, zabiła nas rutyna. Bo szedłem z legitymacją służbową z zamiarem pouczenia panów, wylegitymowania i wypuszczenia. Tyle że jeden pan ważył 130 kilo i miał dwa metry wzrostu. Złapał mnie za kurtkę i podniósł. No i niestety miał jeszcze brata. To znaczy brat był trochę mniejszy. Ważył tylko 100 kilo i miał metr dziewięćdziesiąt.

W tym momencie skończyła się delikatna interwencja. Do przyjazdu wsparcia trwała plus minus 15 minut. No i jeden z panów chwycił moją pałkę, jak już leżałem na nim i próbowałem go skuć. Wziął tę pałkę i wyrzucił, ot tak sobie, po prostu w ulicę. Poleciała. Ja i kolega zagazowani, obaj panowie zagazowani. Ja siedziałem na jednym, kolega na drugim. Ale skuć ważącego 100 czy 130 kilo mężczyznę, który jest pijany i pobudzony, to w pojedynkę się nie da.

I jeszcze tłum gapiów dookoła. Wszyscy nagrywają, jak to podejmujemy interwencję. Skończyło się na tym, że ja siedziałem na jednym. Kolega na drugim. Ani oni się nie mogli ruszyć, ani my za bardzo. Zdyszani, zmęczeni, spoceni. Bo każdy z nas skuł jedną rękę. Tyle się da zrobić. Ale żeby tę jedną rękę dociągnąć do tej drugiej, to już samemu bardzo ciężko, zwłaszcza jak pan jest znieczulony. Ja go próbuję przymusić, użyć siły fizycznej, żeby wykonał polecenie, ale on zupełnie inaczej odczuwa bodźce zewnętrzne. Dopóki jest pobudzony, na adrenalinie, na alkoholu. A po dopalaczach to w ogóle jest jeszcze trudniej. Człowiek nie reaguje wtedy na nic.

Przy kibolach pewnie dużo tego się zdarza.

– Jak gdzieś jadą na akcję, to zazwyczaj są w miarę trzeźwi. Bo muszą jednak myśleć, co się dzieje wokół, i oceniać sytuację. Część z nich to faktycznie neandertalczycy, takie tłuki, że jedzie tylko bić drugiego. Ale część to naprawdę inteligentni ludzie. Przy takich trzeba ostrożnie podchodzić do rozmowy i ostrożnie się zachowywać. Wiadomo, że zdarza się, że wracają z meczu naje…. Tak, że wypadają z autokarów. Ale wtedy ktoś tam zazwyczaj ich pilnuje, żeby nie zrobili awantury. Bo wiadomo, że jeden zrobi zadymę, a cały autokar stoi. Więc starają się być w miarę grzeczni. Nie zawsze im to wychodzi. No ale zazwyczaj takiego pijanego poniesie ułańska fantazja i np. biega bez spodni po stacji benzynowej. Wtedy trzeba zawołać chłopaków od niego, żeby go zaprowadzili do autokaru. Bo we dwóch na setkę no to… Oni go tam pacyfikują i odprowadzają. Pilnują, żeby już nie wychodził.

Takim autokarem rządzi jakiś ich przywódca?

– Zawsze jest ktoś, kto trzyma pieczę nad całością. Czy w autokarze, czy w grupie samochodów. Jak przyjeżdża policja i zaczyna legitymować, to też taki przedstawiciel zawsze wychodzi i rozmawia. On musi mieć ugruntowaną pozycję. Czy to z racji siły, czy jakiegoś układu, który ma wśród innych kiboli. Musi mieć pozycję na tyle mocną, że wyjdzie, coś ze mną omówi, a reszta go posłucha. W ten czy inny sposób. Albo będzie musiał użyć wobec nich siły, albo jest już na tyle wysoko w hierarchii, że może sobie pozwolić na to, żeby im po prostu powiedzieć: „Wsiadamy, jedziemy".

Oddział Rejonowy PCK w Morągu
zachęca do przekazywania
1% podatku
na zakup sprzętu rehabilitacyjnego, który będzie wypożyczany potrzebującym nie tylko z rejonu działania oddziału.
Oprócz **nr KRS 0000225587** w rubryce „cel szczegółowy" należy wpisać:
OR PCK Morąg – na sprzęt rehabilitacyjny.
POLSKI CZERWONY KRZYŻ

eprasa.pl 213724a6c4

Wspomniałeś, że chodzisz na siłownię. Twoja siła fizyczna budzi wśród nich respekt?

– Ma znaczenie. W mojej grupie wszyscy coś robili, coś trenowali albo chodzili na siłownię, więc każdy jakoś wyglądał. A to dla kiboli istotne, bo oni żyją siłą. Im ktoś lepiej się bije, lepiej wygląda, tym często ma wyższą pozycję. Może nie być superzbudowany, może nie być wojownikiem, a tak czy inaczej ją ma, ale dużo łatwiej jest mu ją osiągnąć, jeżeli ma te gabaryty i predyspozycje.

Czyli poniekąd to policjanci muszą się dostosować?

– Musimy jakoś reprezentacyjnie wyglądać. No bo gdybym miał 60 kilo wagi i okulary, jak Stępień z „13 posterunku", to niestety poziom rozmowy pomiędzy mną a kibolami byłby żaden. Wyszydziliby mnie i koniec.

Musisz mówić takim samym językiem jak ci, którymi się zajmujesz?

– Tak, tak. Wtedy jest większa szansa, że gość potraktuje mnie jak rozmówcę. Niestety, żeby dotrzeć do środowiska, trzeba trochę nim przesiąknąć. Wiedzieć, jak się zachowuje, jakie ma kodeksy. Jak ludzie stamtąd działają, czym się denerwują. Jak do nich dotrzeć w rozmowie. Bo jak pójdę do takiego jako funkcjonariusz wydziału PG [przestępczość gospodarcza] i powiem: „Proszę pana, proszę stanąć tutaj", to mnie wyśmieje. Czasem mówi się do nich na pan, ale raczej: „X, idź, stań tam".

Zdarza wam się zapewne przeklinać w takich sytuacjach?

– Zdarza się. Nie raz i nie dwa trzeba było wytłumaczyć panu soczyście, co ma zrobić. Albo że jak czegoś nie zrobi, to użyjemy wobec niego środków przymusu. Czasami sama groźba ich użycia wystarcza, żeby nasi petenci, że tak się wyrażę, zachowywali się prawidłowo. Niestety nasze słownictwo…

Prewencjusz [w slangu funkcjonariusz prewencji: patrolówki lub Oddziału Prewencji Policji] musi się bardziej pilnować, bo jest w mundurze. Łatwiej go nagrać. Chociaż nas też się nagrywa. No ale jak ja rzucę jakimś soczystym słowem, to jakby mniej jest wyciągana wobec mnie odpowiedzialność.

Prewencji też zdarza się kląć. Jak wchodzi w jakąś patologiczną uliczkę, gdzie są same elementy społeczne, to też nie powie: „Proszę pana, zgodnie z takim i takim artykułem legitymuję pana", tylko soczyście uświadomi takiemu, gdzie jest jego miejsce i że on ma zrobić tak i tak. Pan wtedy zareaguje.

Czyli brak munduru to plus?

– I plus, i minus.

A minusem jest kiedy?

– Kiedy siedzę na panu, a koleżanka z patrolu prewencji ściąga mnie z niego. Zresztą w porządku dziewczyna. No ale ściągała mnie. Zdarzyło się tak dwukrotnie. I to ten sam patrol! Raz oni nam udzielali pomocy, raz my im. I w obu przypadkach przez nich szarpany. Więc za trzecim razem, jak miałem gdzieś tam z nimi jechać, to pokazałem: „Tak wygląda moja kurtka. Tak mam z tyłu. Taką mam czapkę. Nie ściągajcie mnie".

Albo weźmy brak munduru przy działaniach otwartych, razem z pododdziałem prewencji. Dopóki mnie pamiętano, krótko po tym, jak odszedłem z prewencji do Wydziału Kryminalnego, było w porządku. Rozpoznawano mnie, ale później kadra się wymieniała. I nie raz, nie dwa trzeba było szukać legitymacji służbowej, żeby nie dostać pałką po plecach. Bo jak siadam na panu gdzieś w tłumie i go szarpię, no to dla takiego prewencjusza wyglądam tak samo jak on. (…)

Wspomniałeś o tej koleżance „w porządku". A jak jest z innymi kobietami w policji?

– Bardzo różnie, niestety. Pomijając nawet fakt, że kobiety są inaczej zbudowane fizycznie i im przy takich *stricte* starciach jest trudniej. W walce mężczyzna ma tę przewagę, że jest zazwyczaj cięższy, ma więcej tkanki mięśniowej. Pani ważąca 60 czy 55 kg to jakie ma szanse, nawet w pełnym sprzęcie, z kibolem ważącym stówę? No i mężczyzna ma chyba trochę inną psychikę. Mniej się zastanawia nad tym, co robi. Większość ma zakodowane, że facet to wojownik i trzeba walczyć. A u kobiet to bywa bardzo różnie. Ale pomijając nawet to, że czasem gabaryty zwyczajnie nie pozwalają, zdarzają się też sytuacje, że kobiety się blokują. Dostają paniki, nie chcą gdzieś wejść, uciekają z klatki schodowej. Naprawdę bywało różnie.

I wtedy zostawałeś sam?

– Najczęściej tak.

Mężczyznom nie zdarzają się takie ataki paniki?

– Mnie akurat nigdy żaden kolega z patrolu nie uciekł. Czy w oddziale prewencji, czy w kryminalnym. Wiedziałem, że człowiek, który ze mną pracuje, jest za mną. Nie musiałem się odwracać, patrzeć, że on stoi, bo wiedziałem, że on mnie ubezpiecza. I on też wiedział, że ja też zawsze pilnuję mu pleców. I jak będzie się coś dziać, to zawsze mu pomogę. Bywały podobno przypadki, że jakiś chłopak z patrolu nie wysiadał z auta, bo jakaś awantura była, a on się wystraszył. Ale ja nie miałem nigdy takiej sytuacji. A w przypadku kobiet się zdarzało.

A w środowisku łowców kiboli widziałbyś miejsce dla policjantek?

– Ciężko mi powiedzieć, jak by się sprawdziły, bo nie mieliśmy kobiety w zespole. Nie wiem, jak by ją odebrali sami petenci. Bo większość z nich traktuje kobiety przedmiotowo. Mają być, ładnie wyglądać i nie wtrącać się do interesów. To wszystko w temacie. Bo to mężczyźni robią interesy, to oni są panami sytuacji. Nie umiem ci powiedzieć, jak kobieta sprawdziłaby się w tej relacji.

Raz mi się zdarzyło pojechać do kibiców z dziewczyną. Akurat nic nie robili, palili tam sobie race, bo coś świętowali. A ta koleżanka od razu chciała, żebyśmy odjeżdżali, wycofywali się, uciekali. Dla niej to było przerażające, że oni wyszli taką dużą grupą. Narobili hałasu, krzyczeli. Pozdrawiali nas i w ogóle. „Spokojnie – mówię. – Odpalą, spakują je i się schowają". Bo wiedziałem, jak to będzie wyglądać. I tak, błysnąłem długimi, że „super, fajnie, ale pakować się". No i skończyli tę swoją zabawę. Pojechali. Ale ona była przerażona.

Kibole wożą w samochodach wszystko. Kije bejsbolowe, kije golfowe, maczety, toporki, trzonki od siekier, siekiery.

Rozmowa z książki Katarzyny Puzyńskiej *Policjanci bez munduru*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2019

eprasa.pl 213724a6c4

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Trzustka szyta na miarę

Nadzieja dla 10 tys. pacjentów z cukrzycą typu 1

Dr hab. MICHAŁ WSZOŁA
– chirurg, transplantolog, przewodniczący Rady Konsorcjum Bionic

W Polsce mamy 3 mln chorych na cukrzycę, 200 tys. choruje na cukrzycę typu 1, a rocznie wykonuje się u nas zaledwie 40 przeszczepów trzustki od zmarłych dawców. Jak wiele osób będzie mogło liczyć na wszczepienie trzustki bionicznej, jeśli wasz program przyniesie pożądane rezultaty?

– Z 200 tys. chorych na cukrzycę typu 1 wyodrębnilibyśmy osoby z ciężkimi powikłaniami. Jest ich ok. 10 tys. Zakładając, że projekt zakończy się w pełni sukcesem klinicznym, właśnie ci pacjenci będą stanowili grupę, która w pierwszej kolejności skorzysta z tego typu rozwiązania.

Konsorcjum tworzące program produkcji sztucznych, ale biologicznie aktywnych trzustek składa się wyłącznie z polskich podmiotów. Czyli cała technologia jest naszym wynalazkiem?

– Zgadza się. Program bionicznej trzustki tworzy Konsorcjum Bionic, składające się z Fundacji Badań i Rozwoju Nauki, Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, Wydziału Materiałoznawstwa Politechniki Warszawskiej, Centrum Biostruktury Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, Szpitala Klinicznego Dzieciątka Jezus w Warszawie oraz MediSpace Sp. z o.o. Projekt finansowany jest w ramach programu STRATEGMED przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, rozpoczął się w marcu 2017 r., a zaplanowany jest do końca 2019 r.

Co będzie później?

– W ramach tego przedsięwzięcia zamierzamy wykonać badania przedkliniczne, czyli tylko badania na zwierzętach. Żeby następnie wejść do programu klinicznego, będziemy musieli zdobyć kolejne finansowanie, a wszystkie wymyślone przez nas produkty będą wymagały sprawdzenia, czy są bezpieczne dla pacjenta, i certyfikacji, abyśmy mogli kolejno zastosować je w praktyce klinicznej. Z tego względu nie sądzimy, żeby pierwszy pacjent mógł skorzystać z tej metody leczenia wcześniej niż za cztery-pięć lat. Projekt, którym się zajmujemy, to tworzenie bionicznej trzustki przy pomocy druku 3D i elementów zaawansowanej bioinżynierii wykorzystujących komórki macierzyste i wyspy trzustkowe. Tworzymy funkcjonalny narząd, który będzie produkował insulinę i glukagon z żywych komórek.

Czy można oszacować, jak zaawansowany jest już ten projekt? Wszystko ma powstawać z komórek macierzystych pobieranych od pacjentów, potem laboratoryjnie namnażanych, przekształcanych w „producentów" insuliny i glukagonu i wreszcie poddawanych „drukowaniu" w gotowy narząd.

– Droga do osiągnięcia pełnego sukcesu jest daleka. Po pierwsze, technologia transformacji komórek macierzystych w komórki produkujące insulinę i glukagon nie została jeszcze w pełni dopracowana. I na pewno na tym etapie nie można by jej wykorzystać do prac klinicznych. Natomiast tym, co aktualnie mamy, jest biotusz, który wytworzyliśmy, aby imitować naturalne otoczenie wysp trzustkowych w trzustce, ponadto umiemy biodrukować układ naczyniowy. Ciągle trwają prace nad udoskonaleniem biotuszu do biodruku naczyń.

Ciekawe, z jakich substancji powstaje taki biotusz…

– Tego nie mogę zdradzić, bo myślimy o opatentowaniu całej metody i zastosowanej technologii.

Drukujecie także naczynia krwionośne?

– Tak. Mamy już w tym pewną wprawę. Przecież narząd wszczepiany pacjentowi musi być odżywiany przez jego organizm lub wcześniej przez bioreaktor. Trzeba poprzez krew dostarczać do komórek tlen i glukozę.

Czy na waszej drukarce można także tworzyć inne części ludzkiego organizmu, np. elementy układu kostnego albo chrzęstnego?

– Tak. Wszystko zależy od rodzaju materiału zastosowanego w biotuszu i wprowadzenia odpowiedniego wzoru do drukarki. To są zwykle bardzo skomplikowane procedury. Na przykład aby wydrukować płaty trzustki, trzeba wprowadzić ok. 40 tys. komend.

Co w projekcie stanowi barierę trudną do przeskoczenia?

– Przez pół roku prac wykonaliśmy ponad 1000 prób wydruku, aż wreszcie 14 marca br. udało nam się wydrukować cały prototyp bionicznej trzustki. Udało nam się również potwierdzić, że po podłączeniu tak wydrukowanego narządu do bioreaktora, który też jest naszym prototypem, uzyskamy przepływ przez układ naczyniowy. Taka próbna trzustka żyje na razie w sztucznym otoczeniu. Jak

eprasa.pl 213724a6c4

mówiłem, wytworzyliśmy także biotusz, który stanowi naturalne otoczenie wysp trzustkowych. Natomiast przed nami ciągle dużo zadań, jeśli chodzi o produkcję płynu do przechowywania bionicznej trzustki oraz dokończenie prac nad transformacją komórek macierzystych w kierunku komórek produkujących insulinę i glukagon.

Te wszystkie kosztowne prace będą zatem trwały kolejne kilka lat.

– Tak. Poważnym wyzwaniem będzie zdobycie kolejnych środków na wdrożenie i przeprowadzenie fazy klinicznej.

Czy w przypadku niedoboru środków konsorcjum będzie się starać o pieniądze z zagranicy, a może przeniesiecie badania do innego kraju?

– Nie widzę powodu do podejmowania takich decyzji. Naszym celem jest kontynuowanie badań w Polsce, aby projekt wspierał rodzimą służbę zdrowia i naszą gospodarkę. Nie wykluczamy udziału partnera zagranicznego, który chciałby zainwestować w nasze badania w kraju. Chyba że będą nam rzucane kłody pod nogi…

Brał pan udział w przeszczepianiu trzustek od dawców. A także w pierwszym w świecie przeszczepie przeprowadzanym zupełnie nową metodą. Czy to operacja trudniejsza niż przeszczep nerki albo serca?

– Endoskopowe przeszczepienie wysp trzustkowych, które zostało wdrożone pod moim kierunkiem do praktyki klinicznej w 2013 r., jest z założenia metodą małoinwazyjną, co spowodowało duże zainteresowanie ośrodków z całego świata. Jako transplantolog kliniczny mogę powiedzieć, że każdy rodzaj przeszczepienia – czy będzie to serce, czy nerka, czy trzustka, czy wątroba – jest zabiegiem trudnym i wymaga zgrania wielu czynników organizacyjnych oraz długoletniego szkolenia zespołu medycznego. To bardzo skomplikowane procedury. Z kolei wszczepienie bionicznej trzustki już z założenia ma być zabiegiem małoinwazyjnym, w którym będziemy starali się ograniczyć do minimum ryzyko dla pacjenta.

Nie jesteście jedynymi, którzy chcą przyśpieszyć leczenie chorych na cukrzycę. W USA produkuje się sztuczne trzustki, m.in. w firmie Medtronic. Czy nasza będzie lepsza?

– Urządzenia, o których pan wspomina, na pewno znacznie ułatwią leczenie cukrzycy. Sztuczna trzustka MiniMed firmy Medtronic to urządzenie mechaniczne jak kilka innych podobnych na rynku. W żadnym wypadku ich nie deprecjonuję, wręcz kibicuję ich producentom. Jednak należy sobie uświadomić, że te urządzenia mają swoje ograniczenia. Tak naprawdę badają cukier nie w krwiobiegu, tylko w płynie międzytkankowym. Różnica w glikemii pomiędzy krwią a płynem międzytkankowym może wynosić ok. 25 minut. Jeżeli więc spada nam poziom glukozy w krwiobiegu, minie prawie pół godziny, zanim płyn tkankowy to „zaobserwuje". To jest niepokojące i niebezpieczne.

Czy to jedyna różnica?

– Druga to fakt, że MiniMed przy zastosowaniu bardzo zaawansowanego algorytmu podaje tylko insulinę, a nie glukagon. Ryzyko niedocukrzenia ciągle więc istnieje. Dokładność pomiarów sięga 80-90%, czyli 10% pomiarów dziennie jest niepewnych przy pomiarze co pięć minut – daje to przy ok. 300 pomiarach dziennie od 30 do 60 pomiarów niezgodnych z prawdą. Dlatego nie możemy mówić o całkowitym wyleczeniu cukrzycy – jedynie o umożliwieniu osobom z cukrzycą dobrego funkcjonowania. I nie dotyczy to chorych z ciężkimi powikłaniami – takimi, które będą wskazaniami do leczenia naszą bioniczną trzustką. Nie ma jeszcze jednoznacznych danych, ale najprawdopodobniej zastosowanie sztucznej trzustki pozwoli ograniczyć występowanie powikłań cukrzycowych. Mówię najprawdopodobniej, bo tak naprawdę nikt z nas nie wie, na ile rzeczywiście pompy i te wszystkie urządzenia będą w stanie zmniejszyć ryzyko rozwoju powikłań. To bez wątpienia bardzo dobre urządzenia, o wiele lepsze od tego, co było do tej pory, ale ciągle nie zapewniają tyle insuliny, ile rzeczywiście potrzeba naszemu organizmowi. W sytuacji krytycznej może to mieć ogromne znaczenie. Na przykład kiedy ktoś prowadzi samochód.

Bioniczna trzustka będzie produkowała insulinę i glukagon z żywych komórek.

Czy nasza bioniczna trzustka będzie bardziej zaawansowana technologicznie i uchroni pacjentów przed takimi przypadkami?

– Dopiero nasz projekt, czyli trzustkę wydrukowaną w 3D, z użyciem elementów zaawansowanej bioinżynierii wykorzystujących komórki macierzyste i wyspy trzustkowe, można będzie uznać za prawdziwie funkcjonalny narząd produkujący insulinę i glukagon z komórek.

Oczami wyobraźni widzi pan już produkcję trzustek dla pacjentów?

– Bioniczna trzustka nie będzie produkowana masowo. Będzie wytwarzana dla konkretnego pacjenta z jego własnych komórek. Nie stworzymy składów bionicznych narządów. Pacjenci wymagający tego typu postępowania będą się zgłaszali do ośrodka transplantacyjnego, gdzie zostanie przygotowany dla nich konkretny narząd i wykonany zabieg wszczepienia. Zakładając, że nasz projekt zakończy się pełnym sukcesem i biorąc pod uwagę wyzwania, jakie jeszcze nas czekają, faza badań klinicznych nie zacznie się wcześniej niż za wspomniane kilka lat. I to tylko jeśli będziemy mieć jednoznacznie dobre wyniki z fazy przedklinicznej. Na razie zrobiliśmy krok w dobrą stronę, ale do sukcesu ciągle daleko.

Życzę powodzenia na każdym etapie rozwoju projektu. ■

Komórki macierzyste to pierwotne, niewyspecjalizowane komórki, które mają olbrzymi potencjał do namnażania się oraz wyjątkowe zdolności przekształcania się w wyspecjalizowane komórki, tworząc w ten sposób tkanki. Dzięki temu wykorzystuje się je od lat w medycynie, odbudowując lub zastępując uszkodzone komórki. Pierwszym źródłem komórek macierzystych był szpik (tzw. przeszczepienia szpiku to właśnie przeszczepienia komórek macierzystych ze szpiku), obecnie częściej wykorzystuje się do terapii komórki macierzyste z krwi pępowinowej. Innym źródłem komórek jest krew obwodowa pobierana od dawców po wcześniejszej farmakologicznej mobilizacji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 213724a6c4

Paweł Drąg

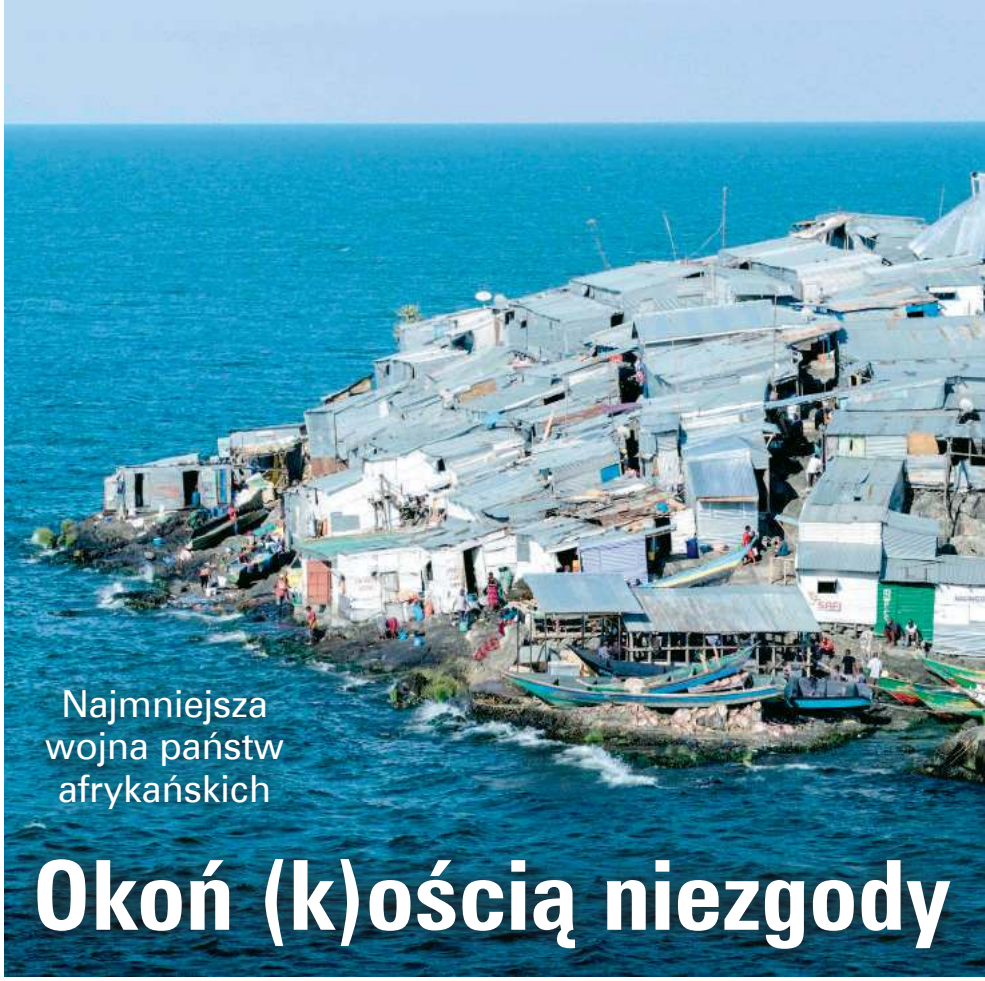

Najmniejsza wojna państw afrykańskich

Okoń (k)ością niezgody

Migingo to prawdopodobnie najgęściej zaludniona wyspa na świecie. Atrakcji dostarcza tam kilkanaście barów, domy publiczne i kasyno.

Nie byłoby wielką przesadą stwierdzenie, że ten konflikt to wiele hałasu o nic. Wszak Migingo jest tylko skalistą wyspą wielkości połowy boiska piłkarskiego, bardzo gęsto zabudowaną chatynkami z blachy falistej. Nic godnego uwagi. Mimo to jest bezpośrednim powodem poważnego sporu między Ugandą a Kenią, które roszczą sobie do niej pełne prawo. Większość map wskazuje, że rybacka wyspa na Jeziorze Wiktorii wprawdzie minimalnie, ale znajduje się po stronie wód terytorialnych Kenii. Nawet najbliższe miasto w Kenii jest oddalone zaledwie o dwie godziny drogi łodzią, a Ugandyjczycy muszą podróżować co najmniej 14 godzin, aby dotrzeć do brzegu ich kraju. Mimo to ugandyjscy rybacy są przekonani, że powinni być bezwarunkowo dopuszczeni do połowów w dyskusyjnej lokalizacji. Jako główny argument przytaczają fakt, że wody Ugandy znajdują się w odległości zaledwie 500 m od wyspy.

I trudno się dziwić, że sięgają po wszelkiego rodzaju uzasadnienia, bo okoliczne wody są bardzo bogate w wyjątkowo cennego tutaj okonia nilowego.

Historia tych ryb jest równie niecodzienna jak sama geneza zasiedlenia Migingo. Ponad 50 lat temu do Jeziora Wiktorii wpuszczono 35 przedstawicieli latesa nilowego (*Lates niloticus*), bardziej znanego jako okoń nilowy lub okoń Wiktorii. Zapewne nikt wtedy nie przypuszczał, że okonie rozmnożą się na niespotykaną skalę, przyczyniając się do wyginięcia ok. 250 innych gatunków. Dorosły okoń może ważyć nawet do 200 kg i mierzyć do dwóch metrów, więc rywalizacja innych gatunków z nimi była z góry skazana na porażkę. Nieszczęście jednych stało się szczęściem drugich. Rybacy zyskali na swoich terenach duże i pyszne ryby, które każdego dnia stanowią posiłek kilku milionów ludzi. Także dzięki eksportowi do krajów Unii Europejskiej. Tyle że głębokie wody, gdzie się je łowi, znajdują się przy brzegu ugandyjskim, a płytkie, gdzie ryby się rozmnażają, to terytorium Kenii.

Spór rozgorzał w 2009 r., kiedy okoliczni piraci zaczęli okradać rybaków z połowów, pieniędzy oraz silników łodzi. Reakcja była niemal natychmiastowa. Przedstawiciele policji z obu krajów przeprowadzili się na wyspę, by na bieżąco kontrolować sytuację. Wkrótce jednak oficerowie z Ugandy zaczęli się domagać, aby Kenijczycy mieszkający na Migingo wykupili specjalne zezwolenia na połów ryb. Konflikt doprowadził do strzelaniny, w której kilka osób zostało rannych. Ostatecznie strony zawarły porozumienie, w ramach którego kenijskim rybakom umożliwiono prowadzenie działalności na wodach Ugandy. Kraje postanowiły też utworzyć wspólną, niezależną komisję w celu ustalenia, gdzie znajduje się granica wodna. Próbowano oprzeć się na mapach z lat 20. XX w., jednak ich interpretacja prowadziła do dalszych sporów.

Niestety, koncepcja ugody legła w gruzach. By zapobiec kolejnym napięciom, stworzono jednostkę zarządzania złożoną z urzędników z Kenii i Ugandy, której zadaniem było rozwiązywanie konfliktów na wyspie. Można to nazwać wyborem mniejszego zła, ponieważ uznano, że dwustronna komisja lepiej się sprawdzi niż funkcjonariusze policji z obu krajów, których władza na Migingo stawała się prawie nieograniczona.

Nikt nie ma jednak wątpliwości, że wszelkie nowe pomysły tylko na chwilę ostudzą negatywne emocje. Umowy zawarte w przeszłości nigdy bowiem nie były dotrzymywane i z biegiem czasu utarło się określenie, wielokrotnie używane w prasie, że to najmniejsza wojna państw afrykańskich.

eprasa.pl 213724a6c4

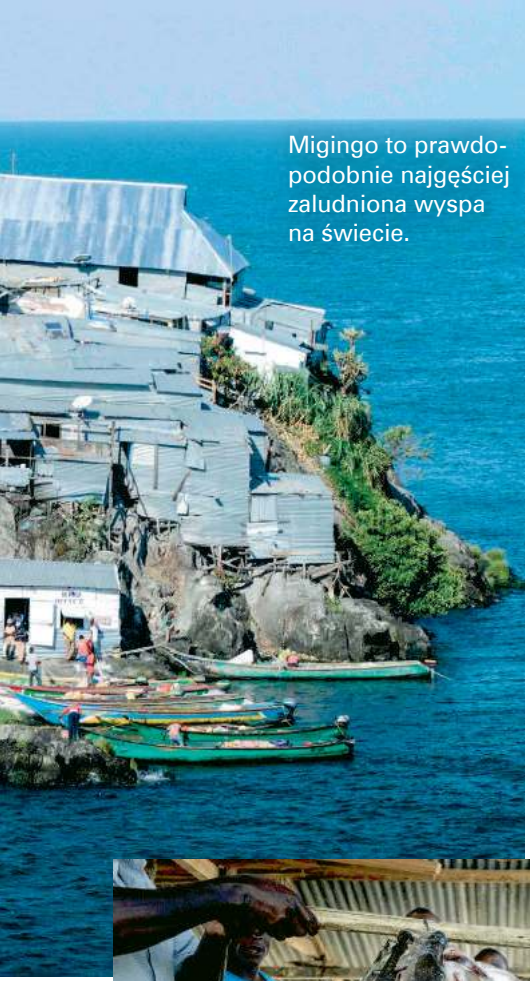

Migingo to prawdopodobnie najgęściej zaludniona wyspa na świecie.

Okolica jest bardzo bogata w wyjątkowo cennego tu okonia nilowego.

Namiastką normalności stało się utworzenie w połowie zeszłego roku pierwszego kenijskiego przedszkola na wyspie. Placówka jednak nie działała długo. Ugandyjscy oficerowie siłą zmusili Kenijczyków do jej zamknięcia. – To przedszkole zostało założone z myślą o dzieciach tutejszych mieszkańców, ale niestety urzędnicy ugandyjscy je zamknęli, twierdząc, że uruchamiając je, Kenia chciała zawłaszczyć wyspę – tłumaczyła Esther Masaku, zastępczyni zarządcy regionu Migingo.

Według oponentów Kenia nie miała uprawnień do założenia przedszkola przed zasięgnięciem opinii ugandyjskiego rządu. Zdecydowano się więc uszanować nakaz zamknięcia placówki, aby uniknąć kolejnej eskalacji napięcia między skonfliktowanymi stronami. Największymi przegranymi są dzieci, które nie mają dostępu do zorganizowanej nauki.

W zeszłym roku ponownie dała o sobie znać wzajemna niechęć. Kenijczycy próbowali wywiesić na wyspie swoją flagę, mimo że do tej pory powiewała tam wyłącznie ugandyjska. Nadciągające kłopoty udało się wtedy raz jeszcze ugasić jedyną możliwą wtedy decyzją – rezygnacją z wywieszania jakiejkolwiek flagi.

– Ugandyjskie siły bezpieczeństwa nadal aresztują naszych ludzi, którzy prowadzą interesy na wyspie. Prezydent Uhuru Kenyatta musi ponownie rozpatrzyć tę sprawę ze swoim ugandyjskim odpowiednikiem Yowerim Musevenim, skoro przysiągł chronić wszystkie kenijskie granice jako dowódca – powiedział wtedy kenijski parlamentarzysta Tom Odege. – Obecnie nie są ważne roszczenia obu stron, liczy się właściwe wytyczenie linii granicznych – tak o sytuacji na wyspie mówił z kolei Patrick Mugoya, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Ugandy.

Jeszcze w latach 90. nikt nie mieszkał na wyspie. Według spisu ludności w 1991 r. teren ten na krótko zasiedliło dwóch rybaków. Że wyspa jest bezludna, mówił w 2004 r. inny rybak, Joseph Nubuk, który twierdził, że kiedy tam przybył, nikogo nie spotkał. Od tego czasu minęło jednak 15 lat i dziś na Migingo jest naprawdę ciasno. Mieszka tam według różnych danych od 400 do nawet 800 osób stłoczonych w prowizorycznych chatach, które zajmują niemal całą powierzchnię.

Wbrew pozorom życie tu nie koncentruje się wyłącznie na połowach ryb. Codzienny rytm wyznacza działalność barów, domów publicznych, kasyna z kilkoma podstawowymi grami, kościoła, salonu kosmetycznego i apteki. Podstawowym problemem są rozwiązania sanitarne. Na Migingo znajduje się tylko kilka latryn, więc dbanie o higienę jest utrudnione. Każdej nocy na wyspę docierają zastępy prostytutek z Ugandy, Kenii i Tanzanii, odsetek zachorowań na kiłę i AIDS jest tu bardzo wysoki, a w związku z tym śmierć zbiera obfite żniwo. Trudne warunki bytowe nie zniechęcają jednak obywateli obu krajów do życia na wyspie. – Moi przyjaciele, którzy byli tu wcześniej, wracali do domu z połowów z mnóstwem smakołyków – tłumaczył reporterowi news24 jeden z nich.

Niestety, zmiany klimatyczne spowodowały na tych terenach wzrost średniej temperatury oraz spadek ilości opadów. Tym samym więcej wody paruje z Jeziora Wiktorii, niż do niego wpływa, co ma negatywne skutki dla ekosystemu. W okolicach Migingo każdego dnia wciąż handluje się mniej więcej trzema tonami ryb. Jednak nie sposób już się natknąć na przeszło dwumetrowe okazy. Ryb średnich rozmiarów jest również coraz mniej. Według badań WWF zniknęło 80% występujących tu wcześniej gatunków ryb. Ponadto wycięto 70% okolicznych lasów. Nie pomógł też masowy rozrost hiacynta wodnego, który zablokował transport na jeziorze i dostęp do portów. Rozwiązania problemu nie ma, to proces nieodwracalny.

Paradoksem jest fakt, że tuż obok Migingo znajduje się kilka niezasiedlonych wysp, w tym o wiele większe Usingo. Ale według miejscowych mieszka tam nieprzyjazny demon, więc rybacy omijają wyspę szerokim łukiem. Również strach przed piratami sprawia, że ludzie decydują się na życie w większym skupisku, by zneutralizować szanse napastników na skuteczny rabunek. Zamiast więc urządzić się na gęsto zalesionej, żyznej ziemi, tłoczą się na Migingo. Dopóki ryb jest sporo, nie ma przecież czym się przejmować. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

eprasa.pl 213724a6c4

Jak to robią Francuzi

Na długą majówkę proponuję chwilę wytchnienia. W sprawie obsady ambasad różne gry toczą się bowiem nie tylko w Polsce, ale praktycznie na całym świecie – także we Francji, co opisuje tamtejsza prasa.

Nad Sekwaną głośny stał się ostatnio list 21 deputowanych z partii prezydenta, La République en marche, skierowany do ministra Jeana-Yves'a Le Driana. Podpisała go także Mireille Clapot, wiceprzewodnicząca komisji spraw zagranicznych, a dotyczy on braku parytetów płci we francuskim MSZ. Podpisani pod listem oburzają się, że trzy czwarte ambasadorów to mężczyźni, a postęp na drodze zwiększenia roli pań w strukturach francuskiego MSZ jest niewystarczający. Istnieje więc wielka przepaść między słowami a czynami. Bo oficjalnie deklarowana jest wola parytetu płci, ale w realu wygląda to zupełnie inaczej.

Gorzej – zapowiada się, że te dysproporcje będą jeszcze większe. Tego lata we Francji ma dojść do wymiany 64 ambasadorów, co będzie jak trzęsienie ziemi. Zwłaszcza że chętnych jest więcej niż miejsc. A ponadto będzie na nich stempel prezydenta Macrona.

Zmiany obejmą również najważniejsze i najbardziej prestiżowe placówki, jak ambasada w Waszyngtonie. Na emeryturę odchodzi obecny ambasador Gérard Araud. Zastąpić go ma radca prezydenta do spraw dyplomatycznych Philippe Étienne. Ale ponieważ Francja organizuje w sierpniu w Biarritz szczyt G7, ta wymiana nastąpi dopiero jesienią. Zmiana nastąpi też w ambasadzie przy ONZ w Nowym Jorku. Ta placówka jest dla Francji jako stałego członka Rady Bezpieczeństwa bardzo ważna. Ma ją przejąć Nicolas De Rivière, dyrektor generalny ds. politycznych i bezpieczeństwa we francuskim MSZ, który pracę przy Quai d'Orsay zaczynał w roku 1992, w departamencie ds. ONZ. Do wymiany dojdzie też w Moskwie, bo na emeryturę odchodzi Sylvie Bermann. Jest ona zaliczana do grona najsłynniejszych francuskich ambasadorów, w karierze zajmowała również stanowisko ambasadora w Pekinie i w Londynie. Reprezentowała więc Francję w trzech państwach, które są stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa. Takiego CV we Francji nie ma nikt.

A po jej odejściu na emeryturę jedyną kobietą pełniącą służbę na jednej ze strategicznych placówek pozostanie Anne-Marie Descôtes, ambasador w Berlinie.

Porównajmy to z Polską. Jak widzimy, we Francji strategiczne placówki obsadzane są przez zawodowych dyplomatów. I to najlepszych, którzy odnosili sukcesy i za rządów prawicy, i za rządów lewicy. Nikt ich za to później nie potępiał ani nie wyrzucał, mogli planować swoją karierę.

A w Polsce? O ambasadorze w Berlinie nie ma co wspominać. Dla ambasadorów w Londynie, Paryżu i w Waszyngtonie to pierwsza praca w dyplomacji. Wcześniej jeden był radnym, a drugi pełnił funkcję zastępcy dyrektora Biura Dyrektora Generalnego w Małopolskim Urzędzie Wojewódzkim. Na szczęście w ONZ mamy zawodowca (i kobietę!).

No i teraz wyobraźmy sobie to zderzenie amatorów z zawodowcami. Czy to takie trudne przewidzieć, jak przebiegałby mecz reprezentacji krakowskich szkół wyższych z Paris Saint-Germain? Niestety, w dyplomacji jest podobnie.

Attaché

Aktywiści Greenpeace Africa protestują przed fabryką Nestlé w Nairobi w Kenii. Szwajcarski gigant rynku spożywczego w zeszłym roku wyprodukował 1,7 mln ton opakowań z tworzyw sztucznych.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 213724a6c4

JOLKA

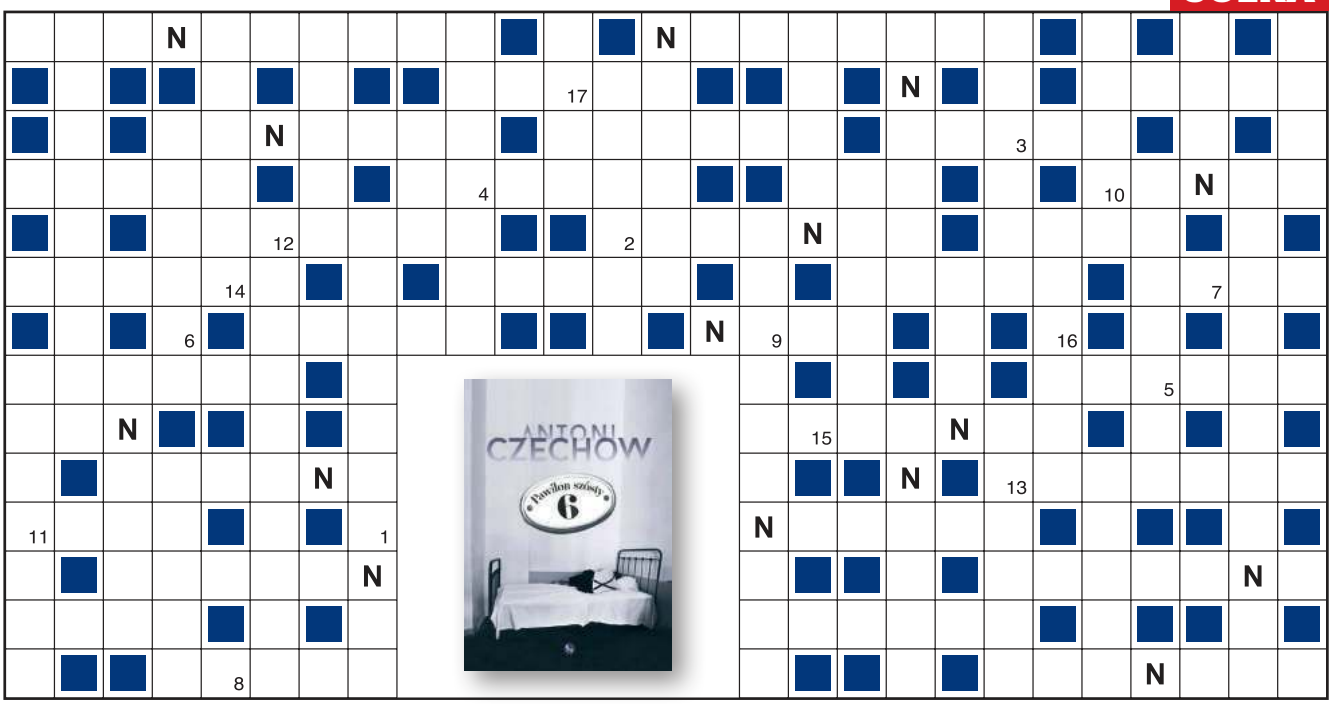

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- otrzymywany przez syntezę z azotu i wodoru
- mniejsza od Stambułu
- tętnica główna
- impertynencki typ
- chwały, diamentów lub reflektorów
- kunsztowny drobiazg
- nieraz pryska bardzo szybko
- oddane na przechowanie pieniądze, kosztowności
- do odprowadzania nadmiaru wód gruntowych
- czasem zatrzaskiwane przed nosem
- gromada hałaśliwych przedszkolaków
- cechuje polityka z gładką gadką
- zawiera informacje o literówkach
- rozmiary książki, papieru, zdjęcia
- Horusowe w starożytnym Egipcie
- pobieranie pieniędzy z tytułu weksli, czeków
- i po co on tu przyszedł?!
- fryzura punka
- Yb wśród lantanowców
- naturalny lub owocowy w kubeczku
- powstał na bazie kontredansa
- w garderobie gejszy
- ozdoba ucha i sprężynujący spinacz
- bałkański albo parowy
- trafny pomysł, szczęśliwa myśl
- pięść lub bogaty chłop
- foliowy, pruski albo solny
- zboże rosnące na zagonie
- i adwokat, i protektor sztuki
- cytat, aforyzm przed tekstem utworu
- stalaktyt, stalagmit lub stalagnat
- od 1 maja nowy cesarz Japonii
- najstarszy wódz w wojnie trojańskiej
- zmęczony nimi powłóczy
- westchnień lub użyteczności publicznej
- kameralna albo symfoniczna
- z szerszeniem w rodzinie
- w żłoby mu dano
- zapusty
- żyletki lub satyry
- duża drewniana skrzynia
- złą należy przerwać jak najszybciej
- nauka o wychowaniu i kształceniu
- flamaster
- trudny do odzyskania od szatniarza w „Misiu”
- automatyczna albo frania
- można je na kimś wieszać
- grupa zwierząt w obrębie gatunku
- Lacjum albo Liguria we Włoszech
- mieszkania, małżeństwa, szczątków
- styl na wzór stroju polujących w Afryce
- ogier albo knur
- startuje w zawodach strongmanów
- Rosetta, ale ta w kosmosie
- przybył na zmówiny
- „Lew, czarownica i stara…”
- przenoszony przez hemoglobinę
- głęboki – dawniej zwany reweransem
- uprawianie kajakarstwa, windsurfingu
- najemne walczy za pieniądze
- prasowy, gdy w ruch poszły nożyczki
- jak Otello Szekspira
- co na jego wagę, bardzo cenione

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-906”. Do rozlosowania książki „Pawilon szósty” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 maja 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-903” z 7 kwietnia: *Pozory siły to już siła*. Nagrody otrzymują: Maria Król z Krakowa, Janina Pyra ze Stalowej Woli, Grzegorz Szustak z Wrocawia.

eprasa.pl 213724a6c4

PENETRACJE

HENRYK MARTENKA, PUBLICYSTA

Podział zaczyna się w samej szkole, w której działają trzy związki zawodowe, a jeden z nich, o mylącej nazwie Solidarność, z rządem porozumienie już podpisał. Nazwa jest myląca, bo naiwnie można by pomyśleć, że chodzi o solidarność ludzi oświaty, tymczasem chodzi o solidarność z rządem, a przypadek p. Proksy, lidera tej koślawej solidarności, jest podręcznikowym przykładem tzw. pożytecznego idioty pojawiającego się w każdym systemie politycznym. Bolesnym dowodem podziału jest list nauczycieli krakowskiej szkoły, w której pracowała Agata Kornhauser-Duda, pełen goryczy, a skierowany do wyniośle separującej się od własnego środowiska First Lady.

MAŁGORZATA SŁOWIK, PSYCHOLOG I PSYCHOTERAPEUTKA

Terapeuta i pomoc psychologiczna stały się normą. W stolicy działa ok. 300 grup Anonimowych Alkoholików. A w całej Polsce jest ich 3 tys.! Ludzie pracują przez Skype'a. Organizują się samopomocowo dużo lepiej niż kiedyś. Nałogi substancjalne – alkohol, narkotyki, leki, dopalacze najszybciej zabijają. A najwięcej samobójstw popełniają hazardziści. Dopada nas wszechogarniająca niepewność jutra, dziś większa niż pół wieku temu. Obecnie mamy stałe poczucie niepewności. Bardziej cenimy poczucie bezpieczeństwa niż wolność bez granic.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYC, KIEROWCA RAJDOWY

Pamiętam, na treningu lecę toyotą ze dwie stówy, na siedzeniu pilota znany olsztyński ginekolog, źle wyskakuję na górce, samochód leci 30 m w powietrzu, przed nami las, nic nie mogę zrobić. Lecimy w drzewa. Huk, gwizd, świst, myślę, że koniec. Ale żyję. Ginekolog mruczy: „Zobacz, jak mi z brody krew leci". Ja: „Spierdalamy, zaraz będzie się palić". Oglądam się, a tam wozu nie ma. Za siedzeniem urwało. Przyjechałem tam na drugi dzień, bo morderca zawsze przyjeżdża na miejsce zbrodni. Widok, jakby jakiś potwór rozrzucił pudełko gigantycznych zapałek. Kołki na 100 m poleciały, jakby wybuch był.

GABRIELA MUSKAŁA, AKTORKA

Nikt mnie na ulicy nie rozpoznawał. Ale kiedy zagrałam w czterech odcinkach „Złotopolskich", pani w sklepie za ladą, jak mnie zobaczyła, to z wrażenia wypadł jej z rąk ser. Ludzie zaczepiali mnie. I wtedy sobie pomyślałam: Jezus Maria, to o to w tym chodzi?! Jeden z wybitnych polskich aktorów opowiedział kiedyś przepiękną historię o festiwalu w Międzyzdrojach. Przyjechał, zajął pokój w hotelu, zjechał windą na dół do lobby, a tam dziki tłum młodych ludzi pędzi w jego stronę. Podbechtało to jego próżność, ale tylko na chwilę, gdyż tłum go wyminął i pobiegł parę metrów dalej, gdzie szedł znany z popularnej telenoweli aktor amator.

Zapaśnik sumo podczas uroczystego pokazu w sanktuarium Yasukuni w Tokio.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. ADAM CHMIELEWSKI O ANDRZEJU DUDZIE

Nie omija żadnej okazji, by się ośmieszyć.

ZYGMUNT FRANKIEWICZ O KONTROLACH W SAMORZĄDZIE

W niektórych urzędach różne służby są praktycznie non stop i szukają tak długo, aż coś znajdą.

LUCYNA KIRWIL O MĘŻU JERZYM BRALCZYKU

Mawia o sobie „nie jestem najgorszy". Moim zdaniem nie pasuje do niego porównywanie się do dołu.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ O RZĄDZIE PiS

Cztery lata rządów łapczywych nepotów, niekompetentnych karierowiczów i kolesiów.

MARCIN KĄCKI O TADEUSZU RYDZYKU

Zakonnik w habicie o dość ograniczonym potencjale intelektualnym ma wpływ na władzę.

DR LESZEK MELLIBRUDA O CHCIWOŚCI

Nie znam osoby, która przyznałaby się do tego, że jest chciwa.

IWONA HARTWICH O BEACIE KEMPIE

Wysyłała mi SMS-y z życzeniami na święta! Koleżanka… A teraz, kiedy jest u władzy, już mnie nie zna.

JERZY IWASZKIEWICZ O WOJCIECHU MALAJKACIE

Zanim został rektorem, prowadził kino i café w Mikołajkach. To, co trzeba, zawsze było dobrze zamrożone.

PROF. TERESA HOŁÓWKA O MĘŻU JACKU

Nie wisimy na sobie cały czas. Bo na stare lata nasze wady i zalety robią się bardziej wypukłe. Trzeba sobie odpuszczać, ponieważ najszybciej traci się cierpliwość do najbliższych.

STANISŁAW KARCZEWSKI O PRACY DLA IDEI

Ja pracowałem dla idei, pracuję dla idei, będę pracował dla idei (zarabia 19,7 tys. zł).

BOŻENA DYKIEL O SEKSIE

Seks po pięćdziesiątce może być lepszy niż po dwudziestce, bo już nie trzeba się niczego bać, wstydzić. Daje tylko radość.

eprasa.pl 213724a6c4

Niezły z niego herbatnik!

Na aukcję w Wielkiej Brytanii trafi ponadstuletni herbatnik. Pochodzi on z łodzi, która uczestniczyła w akcji ratunkowej po zatopieniu przez Niemców brytyjskiego liniowca „Lusitania". Uważa się, że zachowały się jedynie dwa ciastka będące pamiątkami po słynnej katastrofie z 1915 r. – drugie jest wystawione w irlandzkim muzeum. Szacowana wartość herbatnika wynosi od 3920 do 6533 dol. Chcieliśmy to jakoś skomentować, ale przychodzą nam do głowy same suchary.

Majonez z niespodzianką

Z okazji Wielkanocy marki Heinz i Cadbury połączyły siły i stworzyły majonez o smaku jajek z czekolady. Ściśle limitowanej edycji Cadbury Creme Egg Mayo mieli okazję skosztować przedstawiciele portalu The Stylist, którzy donoszą m.in., że jak na produkt czekoladowy zbyt mocno pachnie majonezem. Zapewne majonezowi ortodoksi również czują się zrobieni w jajo.

No to na drugą nóżkę!

Nowym hitem Instagrama jest profil @preacherssneakers, poświęcony amerykańskim duchownym ze słabością do luksusowych butów i ubrań. Na zdjęciach można podziwiać m.in. pastorów w adidasach wartych kilka tysięcy dolarów czy w spodniach marki Gucci. Nas to nie dziwi ani nie oburza, w końcu w Księdze Jeremiasza stoi jak byk: „Uważaj na swoje nogi, aby nie stały się bose, i na swoje gardło, aby nie wyschło".

Po rzodkiewkach ich poznacie

Naukowcy z Uniwersytetu w Innsbrucku przepytali 1000 dorosłych na temat ulubionych posiłków i preferencji smakowych, a następnie poddali ich testom osobowości. Na tej podstawie stwierdzili m.in., że osoby ze skłonnością do zachowań psychopatycznych lubią gorzki smak. Wśród chętnie wybieranych przez nie smakołyków znajdują się czarna kawa, rzodkiewki i tonik. Nowym znajomym warto zatem patrzeć nie tylko głęboko w oczy, ale także w siatki z zakupami.

Przepraszam, czy tu biją (rekordy)?

Do menu sieci restauracji Australia's 400 Grafi trafiła pizza z rekordową liczbą gatunków sera. Twórca dania zarzeka się, że nie poszedł wyłącznie na ilość, lecz zadbał, by każdy ze 154 serowych wybrańców „dał od siebie coś ciekawego, uzupełniał smak dania". W Księdze rekordów Guinnessa placek z antypodów będzie sąsiadował m.in. ze Stevem Langleyem, który w pół minuty otoczył łańcuchem z baniek mydlanych aż 13 osób.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Zielono im

Znamy wyniki globalnych badań ulubionych kolorów i związanych z nimi emocji i skojarzeń. Wśród 26 596 respondentów z ponad 100 krajów najwięcej fanów miały „zielony" i „niebieski" – otrzymały odpowiednio 7143 oraz 6379 wskazań. Więcej na temat ustaleń badaczy i psychologii koloru jako takiej na worldsfavouritecolour.info; polecamy zwłaszcza tym, którzy nie wiedzą, dlaczego nazwy obu barw zapisaliśmy w cudzysłowie.

eprasa.pl 213724a6c4

Kwiatowe pola w Holandii i rynek kwiatów w Moskwie.

Na Fejsie wszystko jest prostsze

Kibic AS Roma, Marco Nicolai, skomentował na Facebooku bramkę zdobytą przez zawodnika tej drużyny słowami „nawet ja bym to strzelił". Działacze rzymskiego klubu powiedzieli „sprawdzam": zaprosili go na Stadio Olimpico, a następnie niespodziewanie wręczyli strój z jego imieniem i publicznie wezwali do odtworzenia akcji Cengiza Ündera. Chłopak podjął trzy próby zdobycia gola, jednak wszystkie okazały się nieskuteczne. Usprawiedliwia go nieco fakt, że strzelał w zwykłych butach, a nie piłkarskich.

Jedz, nie gadaj

Rozwija się japońska sieć restauracji dla introwertyków – 81. lokal pod marką Ichiran właśnie otworzył podwoje na nowojorskim Times Square. Każdy klient ma tam do dyspozycji osobną budkę, w której może zjeść ramen w izolacji od reszty gości. Samą zupę zamawia się za pomocą specjalnego formularza, a odbiera w okienku, dzięki czemu można również uniknąć kontaktu z obsługą.

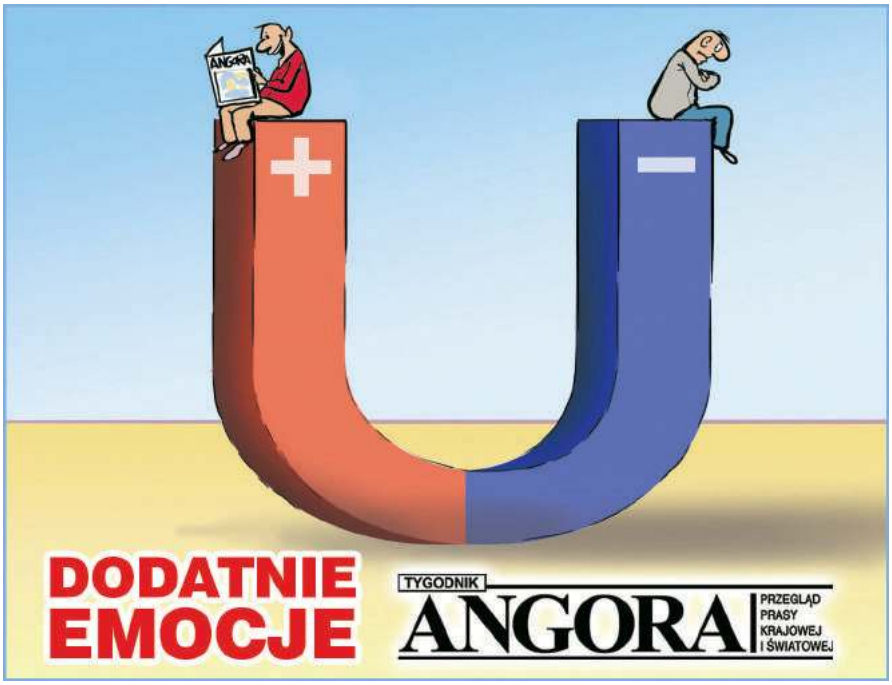

FOT. MEMNEWS.PL, RADUCH TWITTER, FB/NIESPIEWSTAJEZKOLAN, AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 213724a6c4

Willy Verginer, Równowaga ekologiczna

Yoshihiro Suda, Azalia

PATRONAT **PRZEGLĄDU**

Deborah Sengl, Zabity dla mody

Natura w sztuce

Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie MOCAK, ul. Lipowa 4

Od 26 kwietnia do 29 września

Deborah Sengl, I cięcie!

Człowiek jako jedyny gatunek na Ziemi zapanował nad naturą. Przez tysiąclecia było to panowanie drapieżcy rozkoszującego się swoją siłą. Na szczęście ludzie zaczęli dostrzegać wrażliwość przyrody. Mniej więcej sto lat temu pojawiła się refleksja, że istnienie człowieka ściśle zależy od stanu środowiska. Eksploatacja stopniowo przechodziła w poszukiwanie balansu. Ten powolny proces bardzo wiele o nas mówi. Nic dziwnego, że stał się ważnym polem komentarzy artystycznych. Wystawa współczesnych prac ponad 70 artystów z wielu krajów została podzielona na pięć części: piękno, ekologia, konfrontacja, materia i symbol.

Małgorzata Markiewicz, Kwiaty

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 213724a6c4

NATALIE PORTMAN
VOX LUX
W KINACH 26 KWIETNIA
cojestgrane24
wysokieobcasy
AKTIVIST
polki.pl
empik
sens
MY COMPANY
KOBIETA.pl
Gala
STRÖER

TEATR KOMEDIA

Instytucja Kultury m.st. Warszawy

Terence Frisby

Powiedzmy miłość

/Funny About Love/

Tłumaczenie – **Elżbieta Woźniak**
Reżyseria – **Tomasz Dutkiewicz**
Scenografia – **Wojciech Stefaniak**

Premiera **4 maja** 2019

Joanna Koroniewska
Marta Wierzbicka
Mateusz Banasiuk /Mikołaj Krawczyk
Jan Jankowski /Tomasz Dutkiewicz

www.teatrkomedia.pl

eBilet.pl naszemiasto. Party flesz RADIO 103FM kolor! Przegląd

eprasa.pl 213724a6c4